

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Iwan Turgieniew

Wiosenne wody

Tower Press Gdańsk 2002
Copyright by Tower Press

Wesołyje gody
Szczęśliwyje dni,
Kak wieszniye wody
Promczaliś oni...

O radosne lata
I szczęśliwe dni,
Jak wody wiosenne
Przemknęłyście wy...

(Ze starego romansu)

...O drugiej w nocy wrócił do swego gabinetu. Odesłał służącego, który zapalił świecę – i padłszy na fotel obok kominka, zasłonił twarz rękami.

Nigdy jeszcze nie czuł takiego znużenia – fizycznego i duchowego. Cały wieczór spędził z miłymi paniami, z wykształconymi mężczyznami. Niektóre panie były piękne, wszyscy prawie mężczyźni odznaczali się rozumem i talentem – on sam mówił z dużym powodzeniem i nawet w olśniewający sposób, a przy tym wszystkim nigdy jeszcze owo *taedium vitae*, o którym mówili już Rzymianie, ten wstręt do życia – nie ogarniał go z taką nieodpartą siłą, nie dławił tak mocno. Gdyby był trochę młodszy – rozplakałby się ze smutku, z nudy, z rozdrażnienia: gorycz paląca i gryząca niby gorycz piołunu wypełniła całą jego duszę. Coś natrętnie przykrego, ciężkiego aż do obrzydzenia otoczyło go ze wszystkich stron jak jesienna ciemna noc; i nie wiedział, jak pozbyć się tej ciemności, tej goryczy. Na sen nie było co liczyć; wiedział, że nie zaśnie.

Zaczął rozmyślać... powoli, niechętnie, ze złością.

Rozmyślał o marnocie, niepotrzebności i płaskim fałszu wszystkiego, co ludzkie. Całe jego życie stopniowo przesunęło się przed wzrokiem jego myśli (niedawno skończył 52 lata) i dla żadnego okresu nie znajdował litości. Zawsze to samo ustawiczne przelewanie z pustego w próżne, to samo pływanie z prądem, to samo na pół świadome oszukiwanie samego siebie – niech dziecko cieszy się czym chce, aby tylko nie płakało – a potem nagle jak śnieg na głowę spadnie starość – a wraz z nią ten wciąż rosnący, przepalający wszystko i podcinający strach przed śmiercią... i buch w przepaść! Dobrze jeszcze, gdy życie potoczy się w ten sposób! Bo może się zdarzyć, że przyjdą przed końcem jak rdza po żelazie – choroby, cierpienia... Nie burzliwymi falami pokryte wydawało mu się, jak to opisują poeci, morze życia, nie, wyobrażał sobie to morze jako niezmacone, gładkie, nieruchome i przejrzyste aż do samego ciemnego dna; on sam siedzi w małej kołyszącej się łódce – a tam, na ciemnym, mulistym dnie, niby olbrzymie ryby, ledwie widnieją obrzydliwe potwory – wszystkie życiowe niedomagania, choroby, gorycze, szaleństwo, nędza, ślepoty... Patrzy: i oto jeden z tych potworów wypływa z mroku, unosi się wyżej i wyżej, staje się coraz wyraźniejszy, coraz bardziej wstrętny... Jeszcze chwila – i wywróci łódkę! Ale oto znowu jakby mętnieje, oddala się, opuszcza na dno – i leży tam zaledwie poruszając grzbietem... Ale dzień wyznaczony nadejdzie – i potwór obali łódkę.

Potrząsnął głową, zerwał się z fotela, przeszedł się ze dwa razy po pokoju, siadł przy biurku i wyciągając szufladę za szufladą zaczął grzebać w swoich papierach, w starych, przeważnie kobiecych listach. Sam nie wiedział, po co to robił; nie szukał niczego, chciał po prostu ubocznym zajęciem pozbyć się trapiących go myśli. Rozłożywszy na chybił-trafił kilka listów (w jednym był zasuszony kwiatek, przewiązany spleśniałą wstążeczką), wzruszył tylko

ramionami, spojrzął na kominek i odrzucił papiery na bok mając zapewne zamiar spalić te niepotrzebne śmiecie. Wsuwając pospiesznie ręce to do jednego, to do drugiego pudełka, otworzył nagle szeroko oczy, powoli wyjął małe, ośmiokątne, staromodne puzderko i odchylił jego pokrywkę. W puzderku pod podwójną warstwą żółtego bawełnianego papieru, leżał mały krzyżyk z granatów.

Przez chwilę z niepojętym zdumieniem oglądał ten krzyżyk – i nagle cicho krzyknął... coś na kształt żalu czy też radości przebiegło po jego twarzy. Podobny wyraz ma człowiek, gdy spotka się nagle ze znajomym, którego dawno stracił z oczu, którego kochał niegdyś czule i który nagle ukaże się ten sam, ale zupełnie zmieniony przez lata.

Wstał i wróciwszy do kominka siadł znowu na fotelu i znów zasłonił twarz rękami... „Dlaczego dzisiaj, właśnie dzisiaj?”, pomyślał i przypomniał sobie wiele dawno przeszłych zdarzeń.

Oto, co sobie przypominał...

Ale przede wszystkim trzeba wymienić jego imię i nazwisko. Nazywał się Sanin, Dymitr Pawłowicz.

Oto, co przypominał sobie:

I

Działo się to w lecie 1840 roku. Sanin skończył 22 lata i znalazł się we Frankfurcie w drodze powrotnej z Włoch do Rosji. Majątek miał niewielki, ale był niezależny, i prawie bez rodziny. Po śmierci dalekiego krewnego stał się posiadaczem kilku tysięcy rubli – postanowił wydać je za granicą przed wstąpieniem na służbę, przed ostatecznym włożeniem na siebie tego rządowego chomąta, bez którego zabezpieczenie bytu wydawało mu się nie do pomyślenia. Sanin dokładnie wykonał swój zamiar i spisał się tak dzielnie, że w dniu przybycia do Frankfurtu miał akurat tyle pieniędzy, ile było potrzeba, by dotrzeć do Petersburga. W roku 1840 kolei żelaznych było bardzo niewiele; panowie turyści jeździli w dylizansach. Sanin zakupił miejsce w „beiwagenie”, ale dylizans odchodził dopiero o 11 wieczorem. Miał jeszcze wiele czasu. Na szczęście pogoda była piękna i Sanin, po spożyciu obiadu w znanym podówczas hotelu „Pod Białym Łabędziem”, udał się na wędrowkę po mieście. Wstąpił, żeby obejrzeć „Ariadnę” Danneker, która mu się niezbyt podobała, odwiedził dom Goethego, z którego dzieł znał zresztą tylko „Wertera” i to w przekładzie francuskim; pospacerował po brzegu Menu, ponudził się, jak przystało na solidnego podróżnika; wreszcie o szóstej wieczorem, zmęczony, z zakurzonymi butami, znalazł się na jednej z mało znanych ulic frankfurckich. Ulicy tej nie mógł później długo zapomnieć. Na jednym z nielicznych jej domów ujrzał napis: „Cukiernia włoska, Giovanni Roselli”, zapraszający przechodniów. Sanin wstąpił do niej, żeby wypić szklanekę lemoniady; ale w pierwszym pokoju, gdzie za skromną ladą, na półkach pomalowanej szafy stało jak w aptece kilka butelek ze złotymi etykietkami i tyleż szklanych słoików z sucharami, czekoladowymi pastylkami i karmelkami – w pokoju tym nie było nikogo; tylko szary kot mrużył oczy i mruczał przebiegając łapkami na wysokim plecionym krześle przy oknie – i jaskrawo płonął w ukośnym promieniu wieczornego słońca duży kłębek czerwonej wełny, leżący na podłodze obok przewróconego koszyka z rzeźbionego drzewa. Niewyraźny hałas dochodził z sąsiedniego pokoju. Sanin postął, odczekał, aż dzwonek u wejścia dodzwieczał do końca, i rzekł donośnym głosem:

„Czy tu nie ma nikogo?” W tej samej chwili drzwi od sąsiedniego pokoju otworzyły się i Sanina mimo woli ogarnęło zdumienie.

II

Do cukierni z rozrzuconymi na obnażonych ramionach ciemnymi kędziorami, z wyciągniętymi przed siebie rękami, wbiegła gwałtownie dziewiętnastoletnia może dziewczyna i ujrawszy Sanina od razu rzuciła się ku niemu, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą powtarzając zdławionym głosem: „Prędszej, prędszej, tutaj, niech go pan ratuje!” Nie z niechęci usłuchania je, lecz po prostu z nadmiernego zdumienia Sanin nie podążył za nią od razu – i jakby wrósł w podłogę: nigdy w życiu nie widział podobnej piękności. Zwróciła się do niego i z taką rozpaczą w głosie, w spojrzeniu, w ruchu ściśniętej ręki, konwulsyjnie podniesionej do bladego policzka, wyrzekła: „Niechże pan idzie, niechże pan idzie!” – że Sanin natychmiast rzucił się za nią do otwartych drzwi.

W pokoju, do którego wbiegł za dziewczyną, na staromodnej kanapie z końskiego włosia leżał bez kropli krwi w twarzy, biały z żółtawym odcieniem jak wosk albo jak starożytny marmur, chłopiec lat około czternastu, uderzająco podobny do dziewczyny, widocznie jej brat. Oczy miał zamknięte. Cień od czarnych gęstych włosów padał jak plama na skamieniałe jakby czoło, na nieruchome, delikatnie brwi, spoza zsiniałych warg widać było zaciśnięte zęby. Zdawało się, że nie oddychał; jedną rękę opuścił na podłogę, drugą zarzucił na głowę. Chłopiec był ubrany i zapięty; ciasny krawat ścisnął mu szyję.

Dziewczyna z jękiem rzuciła się do niego. – On umarł, umarł! – zaczęła krzyczeć – przed chwilą siedział tutaj, rozmawiał ze mną i nagle padł nieruchomy... Mój Boże! Czy nie można mu pomóc? I mamy nie ma. Pantaleone, Pantaleone, cóż doktor? – dodała nagle po włosku: – Czyś chodził po doktora?

– Signora, nie chodziłem, posłałem Luizę – rozległ się ochrypły głos za drzwiami i do pokoju utykając wszedł na krzywych nóżkach mały staruszek w fioletowym fraku z czarnymi guzikami, wysokim, białym halsztuku, nankinowych krótkich spodniach i granatowych, wełnianych pończochach. Drobną jego twarzyczką ginęła zupełnie pod strzechą siwych włosów o barwie żelaza. Wznosząc się ze wszystkich stron stromo do góry i spadając z powrotem rozrzuconymi kosmykami nadawały one postaci staruszka podobieństwo czubatej kury, podobieństwo tym bardziej uderzające, że pod ich ciemnoszarą masą można było rozróżnić tylko zaostroszony nos i okrągłe żółte oczy.

– Luiza prędszej pobiegnie, a ja biegać nie mogę – ciągnął staruszek po włosku, podnosząc po kolei płaskie nogi podagryka, obute w wysokie trzewiki z kokardkami – ale za to przyniosłem wody.

Suchymi, pokrzywionymi palcami ścisnął długą szyjkę butelki.

– Ale Emil tymczasem umrze! – krzyknęła dziewczyna i wyciągnęła rękę do Sanina: O, mój panie, o *mein Herr!* Czyż pan nie może pomóc?

– Trzeba mu spuścić krew – to udar – zauważył staruszek o imieniu Pantaleone.

Chociaż Sanin nie miał najmniejszego pojęcia o medycynie, to jedno wiedział z pewnością: czternastoletni chłopcy udarów nie miewają.

– To zemdlenie, nie udar – powiedział zwracając się do Pantaleone. – Czy macie państwo szczotki?

Staruszek wznosił swą twarzyczkę.

– Co?

– Szczotki, szczotki – powtórzył Sanin po niemiecku i po francusku. – Szczotki – dodał udając, że czyści ubranie. Staruszek na koniec zrozumiał.

– A, szczotki! *Spazette!* Jakby mogło nie być szczotek!

– Niech pan je przyniesie; zdejmujemy z niego marynarkę i będziemy go rozcierać.

– Dobrze! – *Benone!* A wody na głowę nalać nie trzeba?

– Nie... potem, niech pan idzie prędszej po szczotki.

Pantaleone postawił butelkę na podłodze, wybiegł i momentalnie wrócił z dwiema

szczotkami, z jedną do włosów i jedną do ubrania. Towarzyszył mu kędzierzawy pudel, który kręcąc usilnie ogonem, z ciekawością przyglądał się starcowi, dziewczynie i nawet Saninowi – jakby chcąc wiedzieć, co oznacza ten niepokój.

Sanin zdjął z ręcznie marynarkę z leżącego chłopca, rozpiął mu kołnierz, zakasał rękawy jego koszuli i uzbrojony w szczotki zaczął z całej siły trzeć mu piersi i ręce. Pantaleone z taką gorliwością tarł drugą szczotką do włosów – jego trzewiki i spodnie. Dziewczyna rzuciła się na kolana przed kanapą i chwyciwszy oburącz głowę, nie mrugając powiekami, wprost wpiła się w twarz brata.

Sanin tarł, a z ukosa spoglądał na nią. Mój Boże! Co to była za piękność!

III

Nos miała trochę duży, ale piękny, orli, górną wargę ocieniał lekko puszek; za to cera twarzy równa i matowa, rzekłbyś, kość słoniowa lub mleczny bursztyn; włosy miała faliste jak Judyta Allegriego w Palazzo Pitti – a przede wszystkim oczy, ciemnoszare, z czarnym obramowaniem dookoła źrenicy, wspaniałe, triumfalne oczy – nawet teraz, gdy przestrasz i zmartwienie przyćmiły ich blask... Saninowi mimo woli przyszedł na myśl cudowny kraj, z którego wracał... Ale i we Włoszech nie spotkał się z czymś podobnym! Dziewczyna oddychała rzadko i nierówno; miało się wrażenie, że wciąż czekała, kiedy brat jej zacznie oddychać.

Sanin tarł go w dalszym ciągu, ale patrzył nie tylko na dziewczynę. Oryginalna postać Pantaleone zwróciła także jego uwagę. Starzec osłabł zupełnie i dostał zadyszki; przy każdym uderzeniu szczotką podskakiwał i głośno stękał, a ogromne kosmyki włosów mokrych od potu chwiały się ciężko z boku na bok jak korzenie wielkiej rośliny, podmyte przez wodę.

– Niech pan przynajmniej zdejmie z niego trzewiki – chciał mu powiedzieć Sanin...

Pudel, zapewne podniecony niezwykłością tego, co się działo, przypadł nagle na przednie łapy i zaczął szczekać.

– *Tartaglia – canaglia!* – zasyczał na niego starzec...

Ale w tej chwili twarz dziewczyny uległa zmianie. Brwi się podniosły, oczy stały się jeszcze większe i zajaśniały radością...

Sanin obejrzał się... Twarz młodzieńca poczerwieniała; powieki się poruszyły... Nozdrza drgnęły. Wciągnął powietrze przez jeszcze ciągle zaciśnięte zęby, westchnął...

– Emilu! – krzyknęła dziewczyna. – *Emilio mio!*

Powoli otworzyły się duże, czarne oczy. Patrzyły jeszcze tępo, ale już się lekko uśmiechnęły; ten sam lekki uśmiech przemknął po bladych wargach. Potem poruszył zwisającą ręką i z rozmachem położył ją sobie na piersiach.

– *Emilio!* – powtórzyła dziewczyna i wstała. Miała twarz tak pełną wyrazu i żywą, że zdawało się, oto zaraz poleją się łzy albo się roześmieje.

– Emilu! Co ci się stało? Emilu! – rozległ się głos za drzwiami i do pokoju szybkim krokiem weszła schludnie ubrana dama z srebrzysto-siwymi włosami i smagłą twarzą. Za nią szedł starszy mężczyzna; głowa służącej mignęła za jego ramieniem.

Dziewczyna podbiegła do nich.

– Uratowany, mamó, żyje! – krzyknęła ściskając konwulsyjnie przybyłą.

– Ale co takiego? – powtórzyła pani. – Wracam... i nagle spotykam doktora i Luizę...

Dziewczyna zaczęła opowiadać, co się stało, a doktor podszedł do chorego, który coraz bardziej i bardziej przychodził do siebie i wciąż się uśmiechał; wyglądało, że się wstydi z powodu sprawionego niepokoju.

– Panowie, jak widzę, nacierali go szczotkami – zwrócił się doktor do Sanina i Pantaleone – i doskonale panowie zrobili... Myśl bardzo dobra... A no, zobaczmy, jakie tu środki jeszcze...

Zbadał puls młodzieńca.

– Hm! Proszę mi pokazać język!

Pani troskliwie pochyliła się nad chłopcem. Uśmiechnął się jeszcze szczerzej, wzniosł w jej stronę oczy i zarumienił się...

Sanin pomyślał, że staje się bezużyteczny i wyszedł do cukierni. Ale nie zdążył ująć klamki od drzwi wejściowych, gdy dziewczyna znów się ukazała i zatrzymała go.

– Pan odchodzi – zaczęła, patrząc mu serdecznie w twarz – nie zatrzymuję pana, ale musi pan koniecznie przyjść dzisiaj do nas wieczorem: jesteśmy panu tak zobowiązani – pan, być może, uratował brata – chcemy panu podziękować – mama chce. Pan musi nam powiedzieć, kim pan jest, musi się pan z nami cieszyć...

– Ależ ja dzisiaj odjeżdżam do Berlina – zająknął się Sanin.

– Pan jeszcze zdąży – odparła żywo dziewczyna. – Proszę przyjść do nas za godzinę na filiżankę czekolady. Dobrze? A ja muszę znowu do niego! Ale pan przyjdzie?

Cóż miał robić Sanin?

– Przyjdę – odpowiedział.

Piękność uściśnęła mu szybko rękę i uleciała – a on znalazł się na ulicy.

IV

Gdy Sanin po półtorej godzinie wrócił do cukierni Rosellich, przyjęto go tam jak krewniaka. Emilio siedział na tej samej kanapie, na której go rozcierano; doktor zapisał mu lekarstwo i radził zachowywać „wielką ostrożność w doświadczaniu wrażeń”, gdyż jest chłopcem nerwowym i skłonny do chorób sercowych. Chłopiec i dawniej tracił przytomność, ale nigdy atak nie trwał tak długo i nie był taki silny. Zresztą doktor oświadczył, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Emil, jak przystało na rekonwalescenta, ubrał się w obszerny szlafrok; matka okręciła mu szyję błękitną wełnianą chusteczką, ale wygląd miał wesoły, prawie świąteczny; zresztą wszystko miało tu wygląd świąteczny. Przed kanapą na okrągłym stole, nakrytym czystym obrusem, wznosił się olbrzymi porcelanowy dzban do kawy napełniony wonną czekoladą; otaczały go filiżanki, karafki z syropem, biszkopty i bułki, a nawet kwiaty; sześć smukłych woskowych świec płonęło w dwóch starych srebrnych kandelabrach; po jednej stronie kanapy wolterowskich foteli otwierał swe miękkie objęcia – i Sanina usadowiono właśnie na tym fotelu. Obecni byli wszyscy mieszkańcy cukierni, z którymi się poznał w tym dniu, nie wyłączając pudła Tartaglii i kota; wszyscy wydawali się niewypowiedzianie szczęśliwi; pudel nawet kichał z zadowolenia; kot tylko po dawnemu wciąż krygował się i mrużył oczy. Sanin musiał opowiedzieć, jakiej jest narodowości, skąd pochodzi i jak się nazywa, gdy powiedział, że jest Rosjaninem – obie panie zdziwiły się nieco i nawet krzyknęły – ach – a potem jednogłośnie oznajmiły, że mówi doskonale po niemiecku, ale jeśli mu wygodnie posługiwać się francuskim, może używać i tego języka, gdyż obie rozumieją go i dobrze go znają. Sanin natychmiast skorzystał z tej propozycji.

„Sanin? Sanin?” Panie były zaskoczone, że rosyjskie nazwisko można tak łatwo wymawiać. Imię jego „Dymitr” także bardzo im się podobało. Starsza pani zauważyła, że w młodości była na pięknej operze: „Demetrio e Polibio” – ale Dymitri to brzmi daleko lepiej niż „Demetrio”.

W ten sposób Sanin rozmawiał z godzinę. Ze swej strony panie wtajemniczyły go we wszystkie szczegóły własnego życia. Więcej mówiła matka, pani o siwych włosach. Sanin dowiedział się, że nazywa się Leonora Roselli; że jest wdową po Giovannim Battiscie Rosellim, który dwadzieścia pięć lat temu osiadł we Frankfurcie jako cukiernik, że Giovanni Battista pochodził z Vicenzy i że był bardzo dobry, choć trochę gwałtowny i zadzierzysty

człowiek, a przy tym republikanin! Mówiąc to pani Rościli wskazała na olejny portret wiszący nad kanapą. Należy przypuszczać, że malarz, „również republikanin”! – jak to wzdychając zauważyła pani Roselli – niezupełnie umiał uchwycić podobieństwo, gdyż na portrecie nieboszczyk Giovanni Battista wyglądał jak ponury i surowy rozbójnik w rodzaju Rinalda-Rinaldini! Sama pani Roselli była dzieckiem „starożytnej i pięknej Parmy, gdzie znajduje się taka cudowna kopuła, którą malował nieśmiertelny Corregio! Ale wskutek długiego pobytu w Niemczech uległa prawie zupełnemu zniemczeniu. Potem, kręcąc smutnie głową, dodała, że nie ma nikogo więcej prócz tej o t o córki i t e g o o t o syna (to mówiąc wskazała na nich kolejno palcem) – że córka nazywa się Gemma, a syn Emilio, że to bardzo dobre i posłuszne dzieci – zwłaszcza Emilio... („Ja nie jestem posłuszna!” – wtrąciła w tym miejscu córka. – „Och, tyś także republikanka!” – odparła matka) – że interesy ich, ma się rozumieć, idą teraz daleko gorzej niż za życia męża, który w zakresie cukiernictwa był mistrzem (*un grand uomo!* – poważnie dodał Pantaleone); ale że jednak żyć jeszcze, dzięki Bogu, można!

V

Gemma słuchała matki – i to śmiała się, to wzdychała, to głaskała jej ramię, to groziła jej palcem, to spoglądała na Sanina; potem wstała, objęła matkę i pocałowała ją w szyję – w wycięcie sukni, z czego ta śmiała się długo i nawet piszczała. Pantaleone także przedstawiono Saninowi. Okazało się, że był niegdyś śpiewakiem operowym, barytonem, ale dawno już przerwał swe zajęcia teatralne i pozostawał w rodzinie Rosellich jako coś pośredniego między przyjacielem domu a służącym. Mimo długiego pobytu w Niemczech, źle opanował język, w którym umiał tylko przeklinać, przekręcając niemiłosiernie nawet przekleństwa. *Fer-roflucto spicciebubbio!* wyzywał niemal każdego Niemca. Wymowę włoską miał doskonałą, gdyż pochodził z Sinigalii, gdzie panuje *lingua toscana in bocca romana!* – Emilio pieścił się wyraźnie i oddawał przyjemnym uczuciom człowieka, który dopiero co uniknął niebezpieczeństwa albo przychodził do zdrowia, a prócz tego ze wszystkiego było widać, że domownicy go psuli. Podziękował nieśmiało Saninowi, a zresztą więcej uwagi poświęcał syropowi i cukierkom. Sanina zmuszono do wypicia dwóch dużych filiżanek doskonałej czekolady i spożycia mnóstwa biszkoptów; zaledwie połknął jeden, a już Gemma podawała mu drugi – a odmówić było niesposób! Wkrótce czuł się jak w domu i czas upływał z niewiarygodną szybkością. Musiał opowiadać dużo – o Rosji w ogóle, o klimacie rosyjskim, o społeczeństwie, o chłopie – zwłaszcza o Kozakach; o wojnie dwunastego roku, o Piotrze Wielkim, o Kremlu, o pieśniach rosyjskich, o dzwonach. Obie panie miały słabe pojęcie o ogromnej i oddalonej ojczyźnie Sanina; pani Rościli lub, jak ją częściej nazywano – Frau Lenore zdumiała go nawet zapytaniem, czy istnieje jeszcze w Petersburgu słynny dom lodowy, zbudowany w ubiegłym stuleciu, dom, o którym niedawno przeczytała jakiś interesujący artykuł w jednej z książek należących do nieboszczyka męża: „*Bellezze delle arti*”. A gdy Sanin krzyknął: „Cóż to pani przypuszcza, że w Rosji nigdy nie ma lata?” – Frau Lenore odparła, że wyobrażała sobie Rosję w ten sposób: wieczny śnieg, wszyscy chodzą w futrach i wszyscy są wojskowi – ale gościnność nadzwyczajna i wszyscy chłopcy są bardzo posłuszni! Sanin postarał się udzielić jej i córce wiadomości bardziej ścisłych. Gdy zaczęto mówić o muzyce rosyjskiej, poproszono go zaraz, aby zaśpiewał jakąś arię rosyjską, i wskazano mu stojący w kącie mały fortepian z czarnymi klawiszami zamiast białych i z białymi zamiast czarnych. Usłuchał bez dalszego wymawiania się i akompaniując sobie dwoma palcami prawej i trzema (dużym, środkowym i małym) lewej ręki – zaśpiewał cienkim, nosowym tenorem najpierw „Sarafan”, potem „Po ulicy brukowanej”. Panie pochwałyły jego głos i muzykę, ale najbardziej zachwyciły się miękkością i dźwięcznością języka rosyjskiego i zażądały przetłumaczenia słów. Sanin spełnił ich prośbę –

ale ponieważ zarówno wyraz „Sarafan”, a zwłaszcza „Po ulicy brukowanej” (*sur une rue pavée une jeune filie allait à l'eau* – tak oddał sens oryginału) nie mogły dać słuchaczkom wielkiego wyobrażenia o poezji rosyjskiej, przeto najpierw zadeklamował, potem przetłumaczył, wreszcie zaśpiewał puszkiniowskie „Pamiętam cudną chwilę” z muzyką Glinki, którego minorowe kuplety z lekka sfalszował. Panie wpadły w zachwyty – Frau Lenore odkryła nagle w języku rosyjskim zadziwiające podobieństwo do włoskiego: *mgnowienije – o, vieni, so mnoj – siam noi*. Nawet nazwiska:

Puszkina (wymawiała Pussekina) i Glinka brzmiały jej swojsko. Sanin ze swej strony poprosił panie, żeby coś zaśpiewały; one również się nie drożyły. Frau Lenore siadła przy fortepianie i razem z Gemmą zaśpiewały kilka „duetów” i „stornellów”. Matka miała niedyś ładny kontralt; głos córki był dość słaby, ale przyjemny.

VI

Lecz Sanin rozkoszował się nie głosem Gemmy, tylko nią samą. Siedział nieco z tyłu i z boku i myślał, że żadna palma – nawet w wierszach modnego wówczas poety Bieniediktowa – nie może rywalizować z wytworną smukłością jej figury. A gdy przy nutach uczuciowych wznosiła oczy ku górze, zdawało mu się, że nie ma takiego nieba, które nie otworzyłoby się przed takim wzrokiem. Nawet stary Pantaleone, który oparty plecami o futrynę drzwi, z brodą i ustami wetkniętymi w obszerny halsztuk, słuchał poważnie z wyrazem znawcy – nawet ten rozkoszował się i zachwycał obliczem prześlicznej dziewczyny – a przecież, zdawałoby się, powinien był już do niego przywyknąć! Skończywszy swe „duettino” z córką Frau Lenore zauważyła, że Emilio ma głos doskonały, prawdziwe srebro – ale teraz przechodzi mutację (istotnie, mówił jakimś wciąż załamującym się basem) – i dlatego nie wolno mu śpiewać; a oto Pantaleone mógłby dla uczczenia gościa przypomnieć dawne czasy! Pantaleone przybrał od razu niezadowolony wyraz twarzy, nachmurzył się, wzburzył włosy i oznajmił, że wszystko już dawno rzucił, choć rzeczywiście w młodości mógł pokazać, co umie – a zresztą należał do tej wielkiej epoki, w której istnieli prawdziwi, klasyczni śpiewacy – nie to, co dzisiejsze piszczące koguty – i prawdziwa szkoła śpiewu; że jemu, Pantaleone Cippatola z Varese, ofiarowano pewnego razu w Modenie wieniec laurowy i nawet z tego powodu puszczono w teatrze kilka białych gołębi; że między innymi pewien książę rosyjski, Tarbuski – *ii principe Tarbuski*, z którym pozostawał w bardzo przyjaznych stosunkach, wciąż przy kolacji zapraszał go do Rosji, obiecywał góry złota, góry!... ale że on nie chciał rozstać się z Włochami, krajem Dantego – *il paese del Dante!* – potem, oczywiście, zaszyły... nieszczęśliwe okoliczności, sam był nieostrożny... Tu starzec przerwał, westchnął głęboko dwa razy, spuścił oczy – i znowu zaczął mówić o klasycznej epoce śpiewu, o znakomitym tenorze Garcia, dla którego żywił bogobojny nieograniczony szacunek. – To był człowiek! – krzyknął. – Nigdy wielki Garcia, *il gran Garcia*, nie zniżył się do tego, żeby śpiewać jak dzisiejsze tenorki-*tenoracci* – falsetem; tylko piersiami, piersiami, *pocę di petto, si!* – Starzec mocno uderzył małą, suchą piąstką po własnym żabocie. – I co za aktor! Wulkan, *signori miei*, wulkan, *un Vesuvio!* Miałem zaszczyt i szczęście śpiewać w operze *dell' illustrissimo maestro Rossini* – w Otellu! Gracia był Otellem, ja – Jagonem i gdy on wymawiał tę frazę...

Tu Pantaleone upozował się i zaśpiewał drżącym i zachrypniętym, ale wciąż jeszcze patetycznym głosem:

L'i... ra daver... so daver... so il fato
Io piû no... no... no... non temerô!

– Teatr drżał, *signori miei!* ale i ja nie pozostawałem w tyle, i ja również za nim:

L'i... ra daver... so daver... so il fato
Temer piû non dovro!

I nagle on – jak błyskawica, jak tygrys: „*Morro!.. ma vendicato...*”

Albo jeszcze kiedy śpiewał... kiedy śpiewał tę słynną arię z „*Matrimonio segreto*”: *Pria che spunti...* wtedy on, *il gran Garcia*, po słowach: *I cavalli di galoppo* – robił przy słowach: *Sensa posa cacciera* – posłuchajcie państwo, jakie to niesłychane, *com' é stupendo!* robił wtedy... – Starzec zaczął jakąś niezwykłą fioriturę – i na dziesiątej nucie potknął się, zaczął kaszleć i machnąwszy ręką odwrócił się mruczając: – Dlaczego mnie męczycie? – Gemma od razu zerwała się z krzesła i klaszcząc w dłonie z okrzykiem: *Bravo!.. Bravo!..* podbiegła ku biednemu, dymisjonowanemu Jagonowi i pieszczotliwie potrzepała go oburącz po plecach. Tylko Emil śmiał się Nielitościwie. *Cet' âge est sans pitie* – ten wiek nie zna litości – powiedział La Fontaine.

Sanin usiłował pocieszyć starego śpiewaka i zaczął z nim rozmawiać po włosku – (trochę poduczył się tego języka podczas swej ostatniej podróży) – wszczął rozmowę o „*paesse del Dante, dove il si suona*”. Ten frazes wraz z *Lasciate ogni speranza* – stanowił cały włoski bagaż młodego turysty; ale Pantaleone nie uległ jego przymileniom. Głębiej niż zwykle wetknął podbródek w halsztuk i wylupiając ponuro oczy upodobnił się jeszcze bardziej do ptaka, i to do ptaka rozgniewanego, kurka czy sępa. Wtedy Emil w jednej chwili rumieniąc się z lekka, jak to się zdarza rozpieszczonym dzieciom – zwrócił się do siostry i powiedział jej, że jeśli chce zabawić gościa, to nie mogłaby nic lepszego wymyślić, jak przeczytać mu jedną z komedijek Malza, które tak ładnie czyta. Gemma roześmiała się, uderzyła brata po rękę, krzyknęła: „on zawsze musi coś wymyślić!” Natychmiast jednak udała się do swego pokoju, skąd wróciła po chwili z niewielką książką, siadła przy stole przed lampą, obejrzała się, podniosła palec – że niby „milczcie teraz” – typowy gest włoski – i zaczęła czytać.

VII

Malz był to (około 1830 roku) francuski literat, który w swoich krótkich i lekko naszkicowanych komedijkach, pisanych miejscowym narzeczem, przedstawił zabawnie i zadzierzyście, choć bez głębszego humoru, miejscowe typy frankfurckie. Okazało się, że Gemma czytała naprawdę świetnie – zupełnie po aktorsku. Cieniowała każdą postać i doskonale utrzymywała się w jej charakterze dzięki mimice odziedziczonej we krwi włoskiej; kiedy musiała przedstawić jakąś zwariowaną staruszkę lub głupiego burmistrza, nie szczędząc swego delikatnego głosu ani pięknej twarzy, wykrzywiła się pociesznie, przewracała oczyma, marszczyła nos, sepleniła, piszczała... Sama nie śmiała się podczas czytania, ale gdy słuchacze (z wyjątkiem co prawda Panataleone, który natychmiast oddalił się oburzony, gdy zaczęto mówić o *quel ferroflucto Tedesco*) przerywali jej zgodnym wybuchem śmiechu, wtedy opuściwszy książkę na kolana sama zaczynała śmiać się dźwięcznie, odrzuciwszy w tył głowę – i czarne jej włosy skakały w miękkich pierścieniach po szyi i trzęsących się ramionach. Śmiech ustawał – znowu brała książkę i przybrawszy należyty wyraz twarzy zaczynała czytać dalej. Sanin nie mógł wyjść z podziwu; uderzyło go zwłaszcza (jakiemu to cudowi przypisać), że tak idealnie piękna twarz przybierała nagle taki komiczny, czasem prawie trywialny wyraz. Gorzej czytała Gemma rolę młodych panien – tak zwanych *jeunes premières*, zwłaszcza nie udawały jej się sceny miłosne; czuła to sama i dlatego nadawała im lekki odcień szyderstwa – jakby nie wierzyła w te wszystkie uroczyste przysięgi i wzniosłe słowa, od których zresztą sam autor powstrzymywał się w miarę możliwości.

Sanin nie zauważył, jak przeminał wieczór – i przypomniał sobie o czekającej go podróży dopiero wtedy, gdy zegar wybił dziesiątą. Zerwał się z krzesła jak oparzony.

– Co panu? – zapytała Frau Lenore.

– Ale przecież ja miałem dziś odjechać z Berlina – i już opłaciłem miejsce w dylizansie.
– A o której odchodzi dylizans?
– O pół do jedenastej.
– No to pan już nie zdąży – zauważyła Gemma – niech pan zostanie... poczytam jeszcze.
– Czy pan już wszystko zapłacił, czy tylko zadatkował? – zainteresowała się Frau Lenore.
– Wszystko! – ze smutnym grymasem westchnął Sanin.
– Gemma popatrzyła na niego zmrużywszy oczy i roześmiała się, a matka zaczęła jej czynić wyrzuty. – To młody pan stracił na próżno pieniądze – a ty się śmiejesz!
– Nic nie szkodzi – odparła Gemma – to go nie zrujnuje, a my postaramy się go pocieszyć.
Chce pan lemoniady?

Sanin wypił szklankę lemoniady. Gemma znowu zebrała się do Malza i wszystko poszło jak z płatka.

Zegar wybił dwunastą. Sanin zaczął się żegnać.

– Pan teraz powinien zostać na kilka dni we Frankfurcie – rzekła mu Gemma – po co się śpieszyć? W innym mieście weselej nie będzie. – Umilkła. – Naprawdę nie będzie – dodała i uśmiechnęła się. Sanin nic nie powiedział i pomyślał, że ze względu na pustkę w swej sakiewce będzie musiał chcąc nie chcąc pozostać we Frankfurcie, dopóki nie otrzyma odpowiedzi od pewnego berlińskiego przyjaciela, do którego zamierzał zwrócić się o pieniądze.

– Niech pan zostanie, niech pan zostanie – odezwała się Frau Lenore. – Poznamy pana z narzeczoną Gemmy, panem Karlem Klüberem. Nie mógł dzisiaj przyjść, bo jest bardzo zajęty w swoim sklepie... Widział pan z pewnością na Zeil największy sklep materiałów sukienkowych i jedwabnych? No, to właśnie on tam jest kierownikiem. Ale będzie mu przyjemnie przedstawić się panu.

Wiadomość ta – Bóg wie czemu – ogłuszyła z lekka Sanina. „Szczęściarz ten narzeczonej” – przemknęło mu przez myśl. Spojrzał na Gemmę i zdawało mu się, że ujrzał w jej oczach chytre, figlarne ogniki. Zaczął się żegnać.

– Do jutra? Nieprawdą, do jutra? – zapytała Frau Lenore.

– Do jutra! – rzekła Gemma nie pytającym, lecz twierdzącym tonem, jakby inaczej być nie mogło.

– Do jutra – powiedział Sanin.

Emil, Pantaleone i pudel Tartaglia odprowadzili go do rogu ulicy. Pantaleone nie ukrywał swego niezadowolenia z powodu lektury Gemmy.

– Jak jej nie wstyd! Wykrzywia się, piszczy – *una caricatura!* Powinna grać Merope albo Klitemnestrę – coś wielkiego, tragicznego, a ona przedrzeźnia jakąś wstrętą Niemkę! To i ja potrafię... Mderz, kerz, smerz – dodał ochryplym głosem, wyciągnąwszy naprzód głowę i rozcapierzając palce. Tartaglia zaszczekał na niego, a Emil się roześmiał. Starzec ostro zawrócił do domu.

Sanin wracał do hotelu „Pod Białym Łabędziem” (zostawił tam swoje rzeczy we wspólnej sali) w niewyraźnym nastroju. Cała ta niemiecko-francusko-włoska rozmowa dźwięczała mu wciąż w uszach.

– Narzeczonej! – szepnął leżąc już w łóżku w wyznaczonym mu skromnym numerze. – Tak, i jaka piękność! Ale po co ja zostałem? Nazajutrz jednak wysłał list do przyjaciela w Berlinie.

VIII

Nie zdążył się jeszcze ubrać, gdy posługacz zawiadomił go o przybyciu dwóch panów. Jednym z nich był Emil, drugim okazały i wysoki mężczyzna o sympatycznej twarzy. Herr Karl Klüber, narzeczonej pięknej Gemmy. Należy przypuszczać, że nie było wówczas w

żadnym sklepie w całym Frankfurcie podobnie uprzejmego i bez zarzutu, pełnego powagi, miłego głównego *commis*, jakim był p. Klüber. Jego nienaganna toaleta odpowiadała postawie pełnej godności, wytworności – co prawda nieco przesadnej i po angielsku opanowanej (dwa lata spędził w Anglii) – ujmującej jednak wytworności jego manier! Od pierwszego wejrzenia było oczywiste, że ten przystojny, nieco surowy, doskonale wychowany i schludny młodzieniec przywykł słuchać wyższych i rozkazywać niższym od siebie i że za ladą swego sklepu musiał bezwarunkowo wzbudzać szacunek swoich klientów! O jego nadzwyczajnej uczciwości nie można było zgoła wątpić, wystarczyło tylko popatrzeć na sztywno nakrochmalone kołnierzyki! I głos miał taki, jakiego się należało spodziewać: pełny i zarozumiały, choć niezbyt donośny, z pewnym nawet odcieniem łaskawości w brzmieniu. Głosem takim wygodnie zwłaszcza wydawać rozkazy podwładnym subiektom: „proszę pokazać tę sztukę stemplowanego aksamitu lionńskiego”, albo „proszę podać krzesło tej pani!”

Pan Klüber zaczął od tego, że się przedstawił, przy czym uklonił się z taką wytwornością, tak przyjemnie zsunął nogi i tak uprzejmie dotknął obcasem obcasa, że każdy musiał odczuć: „ten człowiek ma bieliznę i zalety ducha w najlepszym gatunku!” Wygląd prawej ręki (lewą, w szwedzkiej rękawiczce, trzymał lśniący jak lustro kapelusz, na którego dnie leżała druga rękawiczka) – wygląd tej prawej ręki, którą skromnie, ale twardo wyciągnął do Sanina – przechodził wszelkie wyobrażenia – każdy paznokieć był doskonałością w swoim rodzaju! Następnie p. Klüber oznajmił w najbardziej wyszukanej niemieczyźnie, że pragnął złożyć uszanowanie i wyrazić wdzięczność panu cudzoziemcowi, który wyświadczył taką przysługę jego przyszłemu krewniakowi, bratu jego narzeczonej; przy tym poruszył lewą ręką trzymającą kapelusz w stronę Emila, który jakby się zawstydział i odwróciwszy się do okna włożył palec w usta. Pan Klüber dodał, że byłby szczęśliwy, gdyby ze swej strony mógł uczynić coś przyjemnego dla pana cudzoziemca. Sanin nie bez pewnych trudności odpowiedział również po niemiecku, że jest bardzo zadowolony... że usługa jego była drobiazgiem... i poprosił gości, żeby usiedli. Herr Klüber podziękował i rozpostarłszy w jednej chwili fałdy fraka przysiadł na krzesło, ale przysiadł z taką lekkością i trzymał się na nim tak niepewnie, że od razu można było zrozumieć: „człowiek ten usiadł tylko przez uprzejmość – za chwilę sfrunie!” I rzeczywiście natychmiast sfrunął i dwukrotnie przestąpiwszy wstydliwie nogami, jak gdyby tańczył, oświadczył, że bardzo mu przykro, ale nie może pozostawać dłużej, gdyż śpieszy się do sklepu – interes przede wszystkim! – Ale ponieważ jutro jest niedziela, za zgodą więc Frau Lenore i Fraulein Gemmy zorganizował dla rozrywki przejażdżkę do Sodenu, na którą ma zaszczyt zaprosić pana cudzoziemca – i ma nadzieję, że ten nie odmówi i uświetni spacer swą obecnością. Sanin nie odmówił uświetnienia jej – Herr Klüber pożegnał się i wyszedł, wdzięcznie migocząc delikatną barwą swych groszkowych spodni i niemniej wdzięcznie skrzypiąc podszewkami nowiutkich trzewików.

IX

Emil, który stał w dalszym ciągu twarzą do okna również wówczas, gdy Sanin poprosił, by goście usiedli – jak tylko jego przyszły krewniak opuścił pokój, zrobił na lewo w tył zwrot i z dziecięcym grymasem, rumieniąc się, zapytał Sanina, czy nie mógłby u niego jeszcze trochę zostać. – „Czuję się dzisiaj daleko lepiej – dodał – ale doktor nie pozwolił mi pracować.”

– Niech pan zostanie! Nie przeszkadza mi pan zupełnie – zawołał natychmiast Sanin, który jak każdy Rosjanin, korzystał z pierwszej lepszej sposobności, żeby tylko nie być zmuszonym zabrać się do jakiejś roboty.

Emil mu podziękował i w krótkim czasie oswoił się z nim i jego mieszkaniem zupełnie; oglądał jego rzeczy, o każdą niemal z nich wypytywał, gdzie kupiona i czy jest dobra. Pomógł mu się ogolić, przy czym zauważył, że Sanin źle robi nie zapuszczając wąsów; oznajmił mu

wreszcie mnóstwo szczegółów, dotyczących matki, siostry, Pantaleone, nawet pudła Tartagli, w ogóle całego ich życia. Znikła w nim wszelka nieśmiałość, poczuł nagle nadzwyczajny pociąg do Sanina i wcale nie dlatego, że ten mu wczoraj uratował życie, ale dlatego, że ten człowiek był taki sympatyczny! Nie omieszkał też powierzyć Saninowi różnych swoich tajemnic. Ze szczególnym żarem zapewniał, że matka koniecznie chce zrobić z niego kupca, gdy on wie, wie z pewnością, że urodził się na artystę, muzyka, śpiewaka; że teatr to jego istotne powołanie; że nawet Pantaleone go zachęca, ale że pan Klüber popiera matkę, na którą ma wielki wpływ, że sama myśl, by uczynić zeń handlarza, zrodziła się właściwie w głowie p. Klübera, według którego nic na świecie nie może się równać z tytułem kupca! Sprzedawać sukno i aksamit i oszukiwać publiczność, brać od niej *Narren oder Russenpreise* (frajerskie, czyli rosyjskie ceny) – oto jego ideał¹

– No cóż! Teraz trzeba iść do nas! – zawołał, gdy tylko Sanin ukończył swą toaletę i napisał list do Berlina.

– Jeszcze za wcześnie – stwierdził Sanin.

– Nic nie szkodzi – powiedział Emil przymilając się do niego.

– Chodźmy. Wstąpimy na pocztę, a stamtąd do nas. Gemma będzie bardzo zadowolona! Pan zje z nami śniadanie... Pan może coś powie mamie o mnie, o mojej karierze...

– Więc chodźmy – rzekł Sanin i poszli.

X

Gemma istotnie ucieszyła się, i Frau Lenore powitała go bardzo życzliwie: widać było, że wywarł wczoraj na obu dobre wrażenie. Emil pobiegł zadysponować śniadanie, szepnąwszy uprzednio Saninowi na ucho: „Niech pan nie zapomni!”

– Nie zapomnę – odpowiedział Sanin.

Frau Lenore czuła się niezbyt dobrze: miała migrenę i na pół leżąc w fotelu starała się nie poruszać. Gemma miała szeroką, żółtą bluzkę, przepasaną czarnym, skórzanym paskiem; wydawała się również zmęczona i z lekka pobladła; ciemne kręgi podcieniały jej oczy, lecz ich blask od tego się nie zmniejszył, a błądź nadawała coś tajemniczego i miłego klasycznie surowym rysom jej twarzy. Sanina uderzyło zwłaszcza tego dnia wytworne piękno jej rąk; gdy poprawiała i podtrzymywała nimi swe ciemne, lśniące włosy – wzrok jego nie mógł oderwać się od jej palców, giętkich, długich i oddzielonych jeden od drugiego jak u rafałowskiej Fornariny.

Na dworze było bardzo gorąco; po śniadaniu Sanin chciał odejść, ale zwrócono mu uwagę, że o tej porze najlepiej nie ruszać się z miejsca – zgodził się z tym i został. W tylnym pokoju, w którym siedział ze swymi gospodyniemi, panował chłód: okna wychodziły na niewielki ogródek zarośnięty akacjami. Mnóstwo pszczoł, os i trzmieli zgodnie i chciwie brzęczało w ich gęstych gałęziach, osypanych złocistym kwieciem; przez przymknięte okiennice i opuszczone rolety do pokoju przenikał ten nieustanny dźwięk; mówił o spiekocie rozlanej w atmosferze na zewnątrz i tym miłszy stawał się chłód zamkniętego i przytulnego mieszkania.

Sanin jak i wczoraj mówił dużo, ale nie o Rosji i nie o życiu rosyjskim. Chcąc dogodzić swemu młodemu przyjacielowi, którego zaraz po śniadaniu odesłano do p. Klübera, żeby się zaprawiał w buchalterii – skierował rozmowę na względne korzyści i braki sztuki i handlu. Nie dziwiło go, że Frau Lenore stała po stronie handlu – oczekiwał tego; ale i Gemma podzielała jego poglądy.

– Jeśli jesteś artystą, a zwłaszcza śpiewakiem – twierdziła energicznie poruszając ręką z

¹ Dawniej – a może to nie ustało i teraz – gdy począwszy od maja mnóstwo Rosjan zjawiało się we Frankfurcie – ceny we wszystkich magazynach uległy zwyżce i nazywały się: „Russen – albo niestety! – *Narrenpreise*” (przyp. autora).

góry w dół – musisz być koniecznie pierwszy, drugie miejsce już się nie liczy; a kto wie, czy potrafisz zająć pierwsze? – Pantaleone, który również brał udział w rozmowie (jako dawnemu słudze i starcowi wolno mu było nawet siedzieć w obecności gospodarzy, Włosi w ogóle niezbyt surowo przestrzegają etykiety) – Pantaleone, ma się rozumieć, całą duszą stał po stronie sztuki. Prawdę powiedziawszy argumenty jego były dość słabe; najwięcej mówił o tym, że trzeba mieć przede wszystkim *un certo estro d'ispirazione* – pewien poryw natchnienia! Frau Lenore zauważyła, że i on, oczywiście, miał to *estro*, a tymczasem... – Ja miałem wrogów – powiedział ponuro Pantaleone. – Tak, a skąd wiesz (jak wiadomo Włosi lubią się „tykać”), że Emil nie będzie miał wrogów, jeśli nawet i odnajdzie w sobie to *estro*? – No, więc róbcie z niego handlarza – rzekł Pantaleone ze złością, a Giovanni Battista tak by nie postąpił, chociaż sam był cukiernikiem! – Mąż mój, Giovanni Battista, był człowiekiem rozsądnym – i jeśli w młodości dał się porwać... Lecz starzec nie chciał już niczego słyszeć i oddalił się powiedziawszy jeszcze raz z wyrzutem: – A! Giovanni Battista!..

Gemma krzyknęła, że gdyby Emil czuł się patriotą i chciał oddać swe siły wyzwoleniu Włoch – to, oczywiście, dla takiej wielkiej i świętej sprawy można poświęcić zabezpieczoną przyszłość – ale nie dla teatru! W tym miejscu Frau Lenore uległa wzruszeniu i zaczęła błagać córkę, aby nie bałamuciła przynajmniej brata – i zadowolona tym, że sama jest tak zażartą republikanką. To mówiąc Frau Lenore zaczęła jęczeć i skarżyć się na głowę, która „gotowa była pęknąć”. (Frau Lenore ze względu na gościa mówiła z córką po francusku).

Gemma zaczęła natychmiast krzątać się przy niej, dmuchała jej lekko w czoło, zwilżywszy je uprzednio kolońską wodą, cichutko całowała policzki, podkładała pod głowę poduszki, zabraniała jej mówić – i znów ją całowała. Potem obróciła się do Sanina i zaczęła mu opowiadać na pół żartobliwym, na pół wzruszonym tonem, jaką to ona ma doskonałą matkę i jaka to była piękność! – Co mówię! Była! I teraz jest śliczna, niech pan spojrz, proszę spojrzeć, jakie ma oczy!

Gemma wyjęła nagle z kieszeni białą chusteczkę, zasłoniła nią twarz matki i powoli spuszczać rąbek z góry w dół stopniowo odkrywała czoło, brwi i oczy Frau Lenore; poczekała i poprosiła, aby je otworzyła. Ta usłuchała i Gemma krzyknęła z podziwu (oczy Frau Lenore istotnie były bardzo piękne), a przesunawszy szybko chusteczkę po dolnej, mniej regularnej części twarzy matki, znowu obsypała ją pocałunkami. Frau Lenore śmiała się, odwracała lekko i z udanym wysiłkiem odsuwała córkę. Ta znowu udawała, że mociuje się z matką, i przymilała się, nie jak kotka, nie w sposób francuski, ale z tym włoski wdziękiem, za którym zawsze wyczuwa się obecność siły.

Wreszcie Frau Lenore oświadczyła, że jest zmęczona... Wtedy Gemma natychmiast jej poradziła, żeby na chwilę zasnęła – o tu, na fotelu, a my z panem Rosjaninem – *avec le monsieur Russe* – będziemy się zachowywali tak cichutko, tak cichutko... jak myszki... *Comme des petites souris*. Frau Lenore uśmiechnęła się na to, przymknęła oczy, powzdychała trochę i pogrążyła się w drzemce. Gemma zgrabnie poruszyła się na ławeczkę obok niej i już się więcej nie poruszyła, od czasu do czasu tylko podnosiła palec jednej ręki do ust – drugą podtrzymywała poduszkę pod głową matki – i spoglądając z ukosa na Sanina psykała cichutko, ilekroć ten pozwolił sobie uczynić najmniejszy ruch. Skończyło się na tym, że i on jakby zamarł i siedział nieruchomo jak zaczarowany i wszystkimi władzami swej duszy chłonał z zachwytem obraz tego na pół ciemnego pokoju, gdzie tu i tam jasnymi punktami płonęły świeże, wspaniałe róże, wstawione do zielonych, staroświeckich szklanek – i śpiącej kobiety ze skromnie złożonymi rękoma i dobrotliwą, zmęczoną twarzą w obramowaniu śnieżnej białości poduszki i tej młodej, czujnej i dobrotliwej, rozumnej, czystej i niewymownie pięknej istoty z takimi czarnymi, głębokimi, powleczonymi cieniem, a jednak świeżymi oczyma...

Cóż to? Sen? Bajka? I co *on* tu robi?

XI

U drzwi zewnętrznych zadźwięczał dzwonek. Młody wieśniak w futrzanej czapce i czerwonej kamizelce wszedł z ulicy do cukierni. Od samego rana nie zaglądał do niej nikt z kupujących... „Taki oto handel!” – z westchnieniem powiedziała Frau Lenore przy śniadaniu. Teraz drzemała w dalszym ciągu. Gemma bała się zabrać rękę spod poduszki i szepnęła do Sanina: – Niech pan idzie i załatwi za mnie! – Sanin na palcach wyszedł do cukierni. Wieśniak chciał ćwierć funta miętowych pastylek.

– Ile ma zapłacić? – szeptem spytał Gemmę przez drzwi. – Sześć grajcarów! – odpowiedziała mu również szeptem. Sanin odważył ćwierć funta, wyszukał papier, zwinął go w trąbkę, zawinął pastylki, wysypał trochę, zawinął znowu, znowu wysypał, oddał je wreszcie, otrzymał pieniądze... Wieśniak patrzył na niego zdziwiony, mnąc czapę na brzuchu, a Gemma w sąsiednim pokoju zatkała sobie usta i konała ze śmiechu. Kupujący nie zdążył się jeszcze oddalić, jak już zjawił się drugi, potem trzeci... „Widocznie mam szczęśliwą rękę!” – pomyślał Sanin. Drugi zażądał szklanki orszady, trzeci pół funta cukierków. Sanin obsługiwał ich stukając z przejęciem łyżeczkami, przesuując spodki i niezręcznie sięgając palcami do pudełek i słoików. Przy obliczeniu okazało się, że orszadę sprzedał za tanio, a za cukierki wziął o dwa grajcarzy za dużo. Gemma nie przestawała się śmiać po cichutku, a i sam Sanin odczuwał niezwykłą wesołość, jakiś wyjątkowo pogodny nastrój. Zdawało mu się, że stałby tak za ladą przez całe życie, sprzedawałby cukierki i orszadę, a tymczasem ta miła istota patrzyłaby na niego spoza drzwi przyjaźnie drwiącym wzrokiem i letnie słońce, przedzierając się przez gęste listowie rosnących pod oknami kasztanów, napępiałoby pokój zielonkawym złotem południowych promieni, a serce pieściłby słodki bezwład lenistwa, beztroski i młodości, najświeższej młodości!

Czwarty gość zażądał filiżanki kawy; trzeba się było uciec do pomocy Pantaleone. (Emil wciąż jeszcze nie wracał z magazynu pana Klübera.) Sanin usiadł znowu przy Gemmie. Frau Lenore wciąż drzemała ku wielkiemu zadowoleniu córki.

– Podczas snu mamie zawsze migrena przechodzi – zauważyła.

Sanin zaczął opowiadać – oczywiście ciągle szeptem – o swym „handlu”. Bardzo poważnie rozpytywał o ceny różnych „cukierniczych” towarów. Gemma tak samo poważnie wymieniała mu te ceny, a tymczasem oboje śmiali się w duchu, zgodnie jakby odczuwając, że grają pocieszoną komedię. Nagle katarynka na ulicy rozpoczęła arię z *Freischütza*: „*Durch die Felder, durch die Auen...*”² Rozległy się płaczliwe dźwięki drząc i poświstując w nieruchomym powietrzu. Gemma drgnęła. „Obudzi mamę!” Sanin natychmiast wybiegł na ulicę, wsunął kataryniarzowi kilka grajcarów do ręki i zmusił go, by przestał grać i odszedł. Gdy wrócił. Gemma podziękowała mu lekkim skinieniem głowy i z zamyślonym uśmiechem sama zaczęła cichutko nucić piękną Weberowską melodię, w której Maks wyraża wszystkie zwątpienia pierwszej miłości. Następnie zapytała Sanina, czy zna *Freischütza*, czy lubi Webera, i dodała, że chociaż sama jest Włoszką, ale taką muzykę lubi najbardziej. Z Webera rozmowa zesłała na poezję i romantyzm, na Hoffmana, którego wówczas jeszcze wszyscy czytali. Frau Lenore wciąż drzemała i nawet pochrapywała z lekka, a promienie słońca wpadając przez wąskie szpary okiennic, niewidocznie, lecz stale przesuwały się i wędrowały po podłodze, po meblach, po sukni Gemmy, po liściach i płatkach kwiatów.

XII

Okazało się, że Gemma nie adorowała zbytnio Hoffmana i nawet znajdowała, że jest...nudny! Fantastyczny i mglisty, północny żywioł jego nowel mało odpowiadał jej

² Freischütza – Wolnego strzelca: „Przez pola, przez doliny...”

południowej, jasnej naturze. „To są baśnie, to wszystko dla dzieci!” – zapewniała nie bez lekceważenia. Wyczuwała też niejasno brak poezji u Hoffmana. Ale napisał jedno opowiadanie, zapomniała zresztą tytułu, które się jej bardzo podobało. Właściwie podobał się jej tylko początek tej opowieści; końca nie czytała albo zapomniała. Występował tam młodzieniec, który gdzieś – czy nie w cukierni? – spotyka zadziwiającej piękności dziewczynę, Greczynkę; towarzyszy jej dziwny i tajemniczy, złośliwy starzec. Młodzieniec zakochał się w dziewczynie od pierwszego wejrzenia; ta patrzy na niego tak żałośnie, jakby go błagała, aby ją uwolnił. Młodzieniec odchodzi na chwilę, a po powrocie do cukierni nie zastaje już ani dziewczyny, ani starca; biegnie na poszukiwanie, wciąż spotyka świeże ich ślady, ściga ich – i w żaden sposób nigdzie i nigdy nie może ich dogonić. Piękna dziewczyna znika mu na zawsze z oczu, a on nie może zapomnieć jej błagalnego spojrzenia i dręczy go myśl, że może całe szczęście jego życia wysliznęło mu się z rąk.

Rzecz wątpliwa, czy Hoffman w ten sposób kończy swe opowiadanie; ale tak się ułożyło, tak pozostało w pamięci Gemmy.

– Zdaje mi się – rzekła – że takie spotkania i takie rozłąki zdarzają się na świecie częściej, niż myślimy.

Sanin nic nie odpowiedział. A po chwili zaczął mówić... o panu Klüberze. Wspomniał o nim po raz pierwszy, nigdy o nim dotąd nie mówił.

Z kolei Gemma nic nie odrzekła i zamyśliła się, gryząc z lekka paznokieć wskazującego palca i utkwivszy wzrok w przestrzeni. Potem zaczęła chwalić narzeczonego, wspomniała o zaaranżowanym przez niego na jutro spacerze i spojrzawszy szybko na Sanina umilkła znowu. Sanin nie wiedział, o czym mówić.

Nagle wbiegł z hałasem Emil i obudził Frau Lenore... Sanin ucieszył się z jego przybycia.

Frau Lenore wstała z fotela. Zjawił się Pantaleone i oznajmił, że obiad gotów. Przyjaciel domu – eks-śpiewak i służący – pełnił również obowiązki kucharza.

XIII

Sanin został również po obiedzie. Nie puszczano go wciąż pod pretekstem straszliwego upału, a gdy żar ustał, zaproponowano przejście do ogrodu na kawę w cieniu akacji. Sanin zgodził się. Było mu bardzo dobrze – w jednostajnym i płynnym przemijaniu życia kryją się wielkie uroki – i oddawał im się z rozkoszą, nie żądając nic szczególnego od dzisiejszego dnia, lecz nie myśląc również o jutrze, ani nie wspominając o wczoraj. Ileż była warta sama bliskość takiej dziewczyny jak Gemma? Wkrótce rozstanie się z nią i prawdopodobnie na zawsze; ale póki ta sama łódź, jak w pieśni Uhlanda, niesie ich po ujarzmionym prądzie życia – ciesz się i rozkoszuj podróżniku! – I szczęśliwemu podróżnikowi wszystko wydawało się przyjemne i miłe. Frau Lenore zaproponowała mu, żeby się zmierzył z nią i z Pantaleone w *tresette*, nauczyła go tej nieskomplikowanej włoskiej gry w karty – ograła go na kilka graj carów – i Sanin był bardzo zadowolony; Pantaleone na prośbę Emila zmusił pudła Tartaglię do wykonania wszystkich sztuk – i Tartaglia skakał przez laskę, „mówił”, to jest szczekał, kichał, zamykał drzwi nosem, przyciągał zdeptany pantofel swego pana i wreszcie w starym kaszkiecie na głowie udawał marszałka Bernadotte, wysłuchującego okrutnych wymówek cesarza Napoleona za zdradę. Napoleona udawał, ma się rozumieć, Pantaleone i udawał bardzo dobrze; złożył ręce na piersiach, nasunął na oczy trójkątny kapelusz i mówił ordynarnie i ostro po francusku, lecz o Boże! Jakaż to była francuszczyzna! Tartaglia siedział przed swoim władcą, cały skulony, podwinąwszy ogon, ze wstydem mrugając oczami i mrużąc je pod daszkiem krzywo nasuniętego kaszkietu; od czasu do czasu, gdy Napoleon podnosił głos, Bernadotte stawał na tylnych łapach. *Fuori, traditore* – krzyknął wreszcie Napoleon zapominając w nadmiarze rozdrażnienia, że powinien utrzymać do końca swój francuski charakter – i Bernadotte w mgnieniu oka rzucił się pod kanapę, ale natychmiast

wyskoczył stamtąd, radośnie szczerkając, jakby na znak, że przedstawienie skończone. Wszyscy widzowie się śmiali i najbardziej Sanin.

Gemma miała szczególnie miły, nieustanny, cichy śmiech z krótkim, pociesznym popiskiwaniami... Sanina śmiech ten wprost rozczulał – wycalałaby ją za te piski!

Wreszcie nastąpiła noc. Trzeba było być dobrze wychowanym! Pożegnawszy kilkakrotnie wszystkich, powiedziałwszy wszystkim po kilka razy „do jutra” (z Emilem się nawet uściskał) Sanin udał się do domu, mając przed oczyma obraz młodej dziewczyny, to roześmianej, to zamyślanej, to cichej i nawet obojętnej – ale zawsze pociągającej! Wciąż widział jej oczy, dziwne i rozkosznie przenikające wszystkie inne w nim obrazy i wyobrażenia – to szeroko otwarte, jasne i radosne jak dzień, to na pół przysłonięte rzęsami, głębokie i ciemne jak noc.

O p. Klüberze, o pobudkach, które skłoniły go do pozostania we Frankfurcie, słowem, o tym wszystkim, co go niepokoiło wczoraj – nie pomyślał ani razu.

XIV

Ale trzeba wreszcie powiedzieć kilka słów i o samym Saninie.

– Po pierwsze, był wcale, wcale przystojny. Smukły, zgrabny, słusznego wzrostu, miał przyjemne, nieco nalane rysy twarzy, dobrotliwe, niebieskawe oczka, złociste włosy, białość i rumianość cery – a przede wszystkim ten dobrodusznie wesoły, ufny, szczerzy, na pierwszy rzut oka może nieco głupi wyraz, po którym w dawnych czasach od razu można było poznać dzieci poważnych rodzin szlacheckich, „ojcowskich” synów, dobrych paniczów, urodzonych i wzrosłych w nasze rozległe, półstepowe krainy; krok niezbyt pewny, głos przechodzący w szept, uśmiech dziecka, gdy tylko na nie spojrzysz... wreszcie świeżość, zdrowie i – łagodność, łagodność, łagodność – oto macie całego Sanina. A poza tym głupi nie był i wchłonął coś niecoś. Pozostał świeży mimo podróży za granicę: uczucie niepokoju, miotające przeważającą częścią ówczesnej młodzieży, było mu mało znane.

W literaturze naszej ostatnich czasów, po próżnych szukaniach „ludzi nowych”, zaczęto przedstawiać młodzieńców, którzy za wszelką cenę postanowili być świeżymi... świeżymi jak ostrzygi flensburskie przywożone do Petersburga... Sanin nie był do nich podobny. Skoro zeszło się już na porównania, przypominał raczej młodą, kędzierzawą jabłoń niedawno zaszczerpioną w naszych czarnoziemskich sadach – albo jeszcze lepiej! – wychuchanego, gładkiego, grubonogiego, łagodnego trzylatka z dawnych „pańskich” stadnin, którego dopiero co zaczęto ujeżdżać... Ci, którzy zetknęli się z Saninem później, gdy życie go już dobrze złamało i młody, nagromadzony tłuszcz dawno spadł, widzieli w nim już zupełnie innego człowieka.

Nazajutrz Sanin leżał w łóżku, gdy Emil już świątecznie ubrany, napomadowany i z laseczką w rękę wtargnął do jego pokoju i oznajmił, że Herr Klüber zaraz przybędzie z kareta, że pogoda zapowiada się wspaniała, że wszyscy już gotowi, ale że mama nie pojedzie, bo ją znowu rozboleła głowa. Zaczął naglić Sanina zapewniając, że nie wolno tracić ani chwili... I rzeczywiście, p. Klüber zastał Sanina jeszcze przy toalecie. Zastukał, wszedł, uklonił się, wyraził gotowość czekania, ile tylko będzie trzeba – i usiadł opierając wytwornie kapelusz o kolano. Przystojny *commis* wyelegantował się i naperfumował niemożliwie; każdemu jego ruchowi towarzyszył wzmożony napływ subtelnego aromatu. Przybył w obszernej, otwartej karecie, w tak zwanym *lando*, zaprzężonym w dwa silnie i rosłe, choć nieładne konie. Po kwadransie Sanin, Klüber i Emil uroczyście zajęchali kareta pod cukiernię. Pani Roselli stanowczo odmówiła wzięcia udziału w spacerze; Gemma chciała zostać z matką, ale ta, jak to się mówi, przepędziła ją.

– Nikogo mi nie potrzeba – zapewniała – będę spała. Wysłałabym z wami i Pantaleone – ale nie będzie komu sprzedawać.

– Czy można wziąć Tartaglię? – spytał Emil.

– Naturalnie, można. Tartaglia natychmiast z radosnym wysiłkiem wspiał się na koziół i siadł oblizując się; widać było, że to dla niego rzecz powszednia. Gemma włożyła duży, słomkowy kapelusz z cynamonowymi wstążkami; kapelusz ten zgięty był do przodu, zasłaniając prawie całą twarz od słońca. Linia cienia zatrzymywała się nad ustami; płonęły one dziewiczo i łagodnie jak płatki stulistnej róży i zęby błyskały ukradkiem – też niewinnie jak u dzieci. Gemma zajęła miejsce z tyłu obok Sanina; Klüber i Emil siedzieli naprzeciw. Błada postać Frau Lenore ukazała się w oknie. Gemma machnęła jej chusteczką – i konie ruszyły.

XV

Soden – małe miasteczko oddalone o pół godziny drogi od Frankfurtu. Leży w pięknej okolicy na odnogach Taunusu i znane jest w Rosji ze swych wygód, jakoby pożytecznych dla chorych na piersi. Frankfurczycy jeżdżą tam więcej dla rozrywki, gdyż w Sodenie jest piękny park i różne „wirtschafty”, gdzie w cieniu wysokich lip i klonów można się napić piwa i kawy. Droga od Frankfurtu do Sodenu ciągnie się wzdłuż prawego brzegu Menu i cała wysadzana jest drzewami owocowymi. Gdy karetą toczyła się gładko po doskonałej szosie, Sanin obserwował ukradkiem, jak Gemma zachowuje się przy swoim narzeczonym; po raz pierwszy widział ich oboje razem. Ona zachowywała się spokojnie i prosto, ale była nieco bardziej opanowana i poważna niż zwykle; on wyglądał na pobłażliwego zwierzchnika, który pozwolił i sobie samemu, i swym podwładnym na skromną i godziwą rozrywkę. Specjalnego nadskakiwania Gemmie, tego, co Francuzi nazywają *empressement*, Sanin w nim nie zauważył. Widać było, że pan Klüber uważał tę sprawę za załatwioną i dlatego nie miał powodu zabiegać ani się niepokoić. Ale wyrozumiałości nie mógł się pozbyć ani na chwilę! Nawet podczas dłuższego spaceru przed obiadem po lesistych górach i dolinach za Sodenem, nawet rozkoszując się pięknem przyrody, odnosił się do niej, do tej przyrody, z taką samą wyrozumiałością, poprzez którą z rzadka przebijała zwykła surowość zwierzchnika. Tak na przykład o pewnym strumieniu zauważył, że ten, zamiast zrobić kilka malowniczych zakrętów, przepływa przez dolinę zbyt prosto; nie pochwałał też zachowania się pewnego ptaka, zięby, który za mało urozmaicał swe trele. Gemma nie nudziła się i widocznie odczuwała nawet przyjemność, ale dawnej Gemmy – Sanin w niej nie poznawał; nie można powiedzieć, żeby przygasła – nigdy jej uroda nie była bardziej promienna, lecz dusza jej weszła w siebie, do wewnątrz. Otworzywszy parasolkę i nie rozpiąwszy rękawiczek spacerowała poważnie, bez pośpiechu, jak spacerują inteligentne panny, i mówiła niewiele. Emil tak samo czuł się skrępowany, a tym bardziej Sanin. Między innymi konfurowała go ta okoliczność, że rozmowę cały czas prowadzono po niemiecku. Jeden tylko Tartaglia nie upadał na duchu! Z zażartym szczekaniem uganiał za drozdami, które mu podpadły, przeskakiwał rowy, pnie, rzucał się z rozpędem do wody i chłęptał ją pośpiesznie, otrząsał się, piszczał – i z wywalonym aż na łopatkę czerwonym językiem znów pędził jak strzała. P. Klüber ze swej strony robił wszystko, co uważał za stosowne, aby zabawić towarzystwo: poprosił, aby usiedli w cieniu rozłożystego dębu i wyjąwszy z bocznej kieszeni małą książeczkę pod tytułem: „Knallerbsen – oder du solist und wirst lachen” („Petardy – albo musisz i będziesz się śmiać”) zabrał się do czytania anegdotek, którymi książeczka była wypełniona. Przeczytał ich dwanaście, niewiele jednak wywołał wesołości; tylko Sanin przez grzeczność szczyrzył zęby, no i sam Klüber po każdej anegdocie wydobywał z siebie krótki, rzeczowy a jednak pełen wyrozumiałości śmiech. Na południe całe towarzystwo wróciło do Sodenu, do najlepszej tamtejszej gospody.

Należało wydać dyspozycje w sprawie obiadu.

P. Klüber zaproponował, żeby obiad spożyto w zasłoniętej ze wszystkich stron altanie „im

Gartensalon”, ale Gemma zbuntowała się nagle i oświadczyła, że będzie jeść obiad tylko na powietrzu, w ogrodzie, przy jednym z małych stolików, stojących przed traktiernią; że znudziło jej się widzieć wciąż te same twarze i że chce popatrzeć na inne. Przy niektórych stolikach już siedziały grupy przybyłych gości.

Gdy p. Klüber, poddawszy się z wyrozumiałością „kaprysowi swojej narzeczonej”, poszedł naradzać się ze starszym kelnerem, Gemma stała nieruchomo, spuściwszy oczy i ścisnąwszy zęby; czuła, że Sanin bez przerwy i jakby pytając na nią patrzy, i to widocznie ją złościło. Wreszcie p. Klüber powrócił oświadczając, że obiad za pół godziny będzie gotowy i zaproponował tymczasem pograć w kręgle, dodając, że to bardzo pobudza apetyt – he, he, he! Grał w kręgle po mistrzowsku; rzucał kule, przybierał zadziwiająco zuchowate pozy; przepyszenie grał mięśniami, przepyszenie wymachiwał i potrzasał nogą. Był w swoim rodzaju atletą – i doskonale zbudowany! A ręce miał takie białe i ładne i wycierał je takim drogim, złocistopstrym fularem.

Nadeszła chwila obiadu i całe towarzystwo siadło do stolika.

XVI

Któż nie wie, co to jest niemiecki obiad? Wodnista zupa z kluchami jak szyszki i cynamonem, rozgotowana, sucha jak korek sztuka mięsa z białym przyrośniętym tłuszczem, obślizgłymi ziemniakami, napęczniałą ćwikłą i papką chrzanu, zsiniały węgorz z kaparami i octem, pieczeń z konfiturami i nieuchronnie *Mehlspeise*, coś w rodzaju puddingu z kwaskowatym, czerwonym sosem – ale za to wino i piwo – lepszego nie trzeba! Takim właśnie obiadem poczęstował swych gości właściciel gospody w Sodenie. Zresztą przebieg samego obiadu był pomyślny. Nie dało się wprawdzie zauważyć specjalnego ożywienia; nie przejawilo się ono nawet wtedy, gdy p. Klüber wzniósł toast za to, „co kochamy”! (*Was wir lieben!*). Wszystko to było zbyt już poważne i przyzwoite. Po obiedzie podano kawę, rdzawą lurę, po prostu kawę niemiecką. P. Klüber, jak przystało prawdziwemu kawalerowi, poprosił Gemmę, aby mu pozwoliła zapalić cygaro... Aż tu nagle zaszło coś nieprzewidzianego i już wręcz nieprzyjemnego, i nawet nieprzyzwoitego.

Przy jednym z sąsiednich stolików usadowiło się kilku oficerów z garnizonu w Meinz. Z ich spojrzeń i szeptów łatwo się można było domyślić, że olśniła ich uroda Gemmy; jeden z nich, który już zapewne bywał we Frankfurcie, wciąż na nią spoglądał jak na dobrze mu znaną osobę; widać było, że wie, kto to taki. Nagle wstał i ze szklanką w ręce – panowie oficerowie dobrze już sobie podpili i cały stół przed nimi był zastawiony butelkami – zbliżył się do stołu, przy którym siedziała Gemma. Był to młodzieńcy jasny blondyn o białych brwiach i rzęsach, i dość miłych, a nawet sympatycznych rysach twarzy; ale wypite wino zeszcpecilo je; policzki jego drgały, błyszczące, błędne oczy miały wyraz zuchwalstwa. Towarzysze z początku usiłowali go powstrzymać, ale potem zrezygnowali; co będzie, to będzie, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Chwiejąc się nieco na nogach oficer stanął przed Gemmą i zmuszając się do krzykliwego głosu, w którym mimo jego woli dało się jednak wyczuć walkę z samym sobą, powiedział: – Piję za zdrowie najpiękniejszej kawiarki we Frankfurcie, na całym świecie (jednym haustem „gołnął” szklankę) i jako nagrodę za to biorę ten kwiatek, który zerwały jej boskie paluszki! – To powiedziawszy wziął ze stołu różę, leżącą przed nakryciem Gemmy. Ta z początku zdumiała się, przeleżała i strasznie zbladła... Potem przerażenie ustąpiło miejsca oburzeniu, zaczerwieniła się nagle po same włosy i oczy jej utkwione wprost w zuchwalca pociemniały jednocześnie i błysnęły, napęliły się mrokiem, zapaliły się ogniem niepowstrzymanego gniewu. Oficera widocznie stropił ten wzrok; mruknął coś niezrozumiałego, uklonił się i odszedł do swoich. Spotkali go śmiechem i okrzykami.

P. Klüber wstał nagle z krzesła, wyprostował się cały, włożył kapelusz i z godnością, ale

niezbyt głośno oświadczył: – To niesłychane! Niesłychana bezczelność. *Unerhört! Unerhörte Frechheit!* – i zaraz ostrym głosem wezwał do siebie kelnera żądając natychmiast rachunku... Nie dość na tym; kazał zaprząć konie do karety, dodał przy tym, że porządni ludzie nie mogą tu przyjeżdżać, gdyż narażeni są na obelgi! Na te słowa Gemma, która w dalszym ciągu siedziała nieruchomo na swoim miejscu – piersi jej szybko i wysoko falowały – zwróciła oczy na p. Klübera... i spojrzała na niego zupełnie takim samym uporczywym wzrokiem jak i na oficera. Emil drżał wprost z wściekłości.

– Proszę wstać, mein Fraulein – rzekł z taką samą wciąż powagą p. Klüber: – to nie jest miejsce odpowiednie dla pań. Przejdziemy tam, do gospody!

Gemma wstała w milczeniu: nadstawił jej zgiętą rękę, ona podała mu swoją i majestatycznym krokiem, który jak i cały jego wygląd, stawał się bardzo namaszczone i dumny, im bardziej oddalał się od miejsca, gdzie jedli obiad, skierował się ku gospodzie. Biedny Emil poszedł za nimi.

Ale podczas gdy p. Klüber płacił kelnerowi, któremu za karę nie dał ani grajcara napiwku, Sanin podszedł szybko do oficcerskiego stolika i zwróciwszy się do zuchwalca, który obraził Gemmę (ten w tej chwili dawał po kolei swym towarzyszom różę do wachania) – rzekł wyraźnie po francusku: – To co szanowny pan zrobił przed chwilą, niegodne jest uczciwego człowieka, niegodne munduru, który pan nosi – przyszedłem mu oświadczyć, że jest pan źle wychowanym arogantem! – Młody oficer zerwał się, ale starszy zatrzymał go ruchem ręki, zmusił do zajęcia miejsca i zwracając się do Sanina spytał go również po francusku: – Cóż to, pan jest krewnym, bratem czy narzeczonym tej panienki?

– Jestem dla niej zupełnie obcym człowiekiem – zawołał Sanin – jestem Rosjaninem, ale nie mogę patrzeć obojętnie na takie zuchwalstwo; zresztą oto mój bilet i adres, pan oficer może mnie znaleźć.

To powiedziawszy, Sanin rzucił na stół swój bilet wizytowy i w tej samej chwili chwycił zręcznie różę Gemmy, która spadła jednemu z siedzących przy stole oficerów na talerz. Młody oficer znów chciał się zerwać z krzesła, ale kolega go znowu zatrzymał, mówiąc: – *Dönhof, spokojnie!* – (*Dönhof, sei still!*) Potem sam wstał i przykładając rękę do paska powiedział do Sanina z pewnym odcieniem szacunku w głosie i ruchach, że jutro rano jeden z oficerów pułku będzie miał zaszczyt odwiedzić go w mieszkaniu. Sanin odpowiedział krótkim ukłonem – i wrócił pośpiesznie do swych przyjaciół.

P. Klüber udał, że nie zauważył zupełnie nieobecności Sanina ani jego rozmowy z oficerami; popędzał tylko stangreta, który zaprzęgał konie, i gniewał się bardzo na jego powolność. Gemma również nie powiedziała nic Saninowi, nie spojrzała nawet na niego; po zmarszczonych brwiach, po bladych i zaciśniętych ustach, po samej jej obojętności można było zrozumieć, że nie czuje się dobrze. Tylko Emil wyraźnie pragnął wszcząć rozmowę z Saninem, chciał go rozpytać. Widział, jak Sanin podszedł do oficerów, widział, jak podał im coś białego – kawałek papieru, notatkę, bilecik... Serce biednego chłopca biło, policzki mu płonęły, gotów był rzucić się Saninowi na szyję, gotów był rozplakać się lub natychmiast iść z nim razem i obić tych wszystkich wstrętnych oficerów! Powstrzymał się jednak i zadowolił tym, że śledził uważnie każdy ruch swego szlachetnego przyjaciela, Rosjanina.

Stangret zaprzęgał wreszcie konie; całe towarzystwo wsiadło do karety. Emil wdrapał się za Tartaglią na kozioł, czuł się tam swobodniej, a i Klüber, na którego nie mógł patrzeć obojętnie, nie sterczał przed nim.

Przez całą drogę Herr Klüber gadał... i gadał sam; nikt mu nie oponował i nikt nie potakiwał. Specjalnie podkreślał, że błędem było, iż nie usłuchano, gdy proponował zjedzenie obiadu w zasłoniętej altance. Nie byłoby żadnych nieprzyjemności. Następnie wypowiedział kilka ostrych i nawet liberalnych zdań, że rząd faworyzuje oficerów, że to jest nie do

wybaczenia, nie pilnuje ich dyscypliny, nie dość szanuje element mieszczański w społeczeństwie (*das bürgerliche Element in der Sozietät!*) i że z czasem może to wywołać niezadowolenie, od którego już niedaleko do rewolucji, czego smutnym przykładem (w tym miejscu westchnął ze współczuciem, ale surowo) – smutnym przykładem jest Francja! Jednak natychmiast pośpieszył dodać, że osobiście uwielbia władzę i nigdy...nigdy rewolucjonistą nie będzie – nie może jednak nie wypowiedzieć swych... zastrzeżeń na widok takiej rozpusty! Potem dodał jeszcze kilka ogólników o moralności i braku tejże, o przyzwoitości i poczuciu godności.

Podczas tego całego „wykładu” Gemma, która już na poprzednim spacerze niezbyt była zadowolona z p. Klübera – dlatego właśnie trzymała się w pewnej odległości od Sanina, jakby onieśmielona jego obecnością – Gemma wyraźnie zaczęła się swego narzeczonego wstydzić! Pod koniec podróży po prostu cierpiała i choć po dawnemu nie wszczyniała rozmowy z Saninem, rzuciła mu nagle błagalne spojrzenie... On także czuł daleko więcej litości dla niej niż oburzenia względem p. Klübera; potajemnie nawet półświadomie cieszył się z tego, co zaszło w ciągu dnia, choć nazajutrz rano mógł oczekiwać wyzwania.

Męcząca ta *partie de plaisir* skończyła się wreszcie. Wyprowadzając Gemmę z karety Sanin bez słowa włożył jej do ręki odebraną przez niego różę. Zapłonila się cała i natychmiast schowała różę. Nie chciał wejść do domu, choć wieczór dopiero się zaczynał. Nie zaprosiła go. Przy tym Pantaleone, który się ukazał na ganku, oświadczył, że Frau Lenore spoczywa. Emil nieśmiało pożegnał się z Saninem, jakby stronił od niego: zanadto go podziwiał. Klüber odwiózł Sanina do jego mieszkania i pożegnał go z przesadną uprzejmością. Przy całej pewnością siebie, dobrze ułożony Niemiec czuł się nieswojo. I wszyscy czuli się nieswojo.

Zresztą nieprzyjemne to uczucie u Sanina wkrótce się rozwiało. Zastąpił je nastrój nieokreślony, ale przyjemny, nawet radosny. Chodził po pokoju, nie chciał myśleć o niczym, pogwizdywał i był z siebie bardzo zadowolony.

XVII

„Będę czekał na pana oficera do dziesiątej”, myślał nazajutrz rano przy toalecie, „a potem niech on mnie szuka”! Ale Niemcy wstają wcześniej. Nie wybiła dziewiąta, a już posługacz anonsował Saninowi, że podporucznik (*der Herr Seconde Lieutenant*) von Richter chce się z nim widzieć. Sanin prędko narzucił marynarkę i kazał prosić. P. Richter okazał się wbrew oczekiwaniom Sanina bardzo młody – prawie chłopiec. Starał się nadać wyraz powagi swej pozbawionej zarostu twarzy, ale nie udawało mu się to zupełnie: nie umiał nawet ukryć swego zakłopotania i siadając na krześle omal nie upadł zaczepiwszy o szablę. Jąkając się i zacinając oświadczył Saninowi w kiepskiej francuszczyźnie, że przyjechał z polecenia swego przyjaciela, barona von Dönhofa, że ten polecił mu zażądać od p. von Sanina przeproszenia za użycie dnia poprzedniego obraźliwych wyrazów i że w razie odmowy ze strony p. von Sanina – baron von Dönhof żąda satysfakcji. Sanin odpowiedział, że przeproszać nie ma zamiaru, a satysfakcję dać jest gotów. Wtedy p. von Richter wciąż się jąkając zapytał, z kim, kiedy, i gdzie będzie mógł omówić tę sprawę? Sanin odparł, że porucznik może przyjść do niego za dwie godziny i przez ten czas postara się znaleźć sekundanta. („Kogo, do licha, poproszę na sekundanta?” – pomyślał przy tym). P. von Richter wstał i zaczął się żegnać... ale na progu zatrzymał się, jakby poczuł wyrzut sumienia, odwrócił się do Sanina i powiedział, że jego przyjaciel, baron von Dönhof, nie ukrywa przed samym sobą... poniekąd własnej winy z powodu wczorajszego zajścia – i dlatego zadowoliliby się lekkimi przeprosinami (*des exghizes léchères*). Sanin odrzekł na to, że nie ma zamiaru w ogóle przeproszać, gdyż nie poczuwa się do żadnej winy.

– W takim razie – odparł p. von Richter i zarumienił się jeszcze bardziej – trzeba będzie wymienić przyjacielskie strzały (*des goups de pistolet à l’amiaple!*)

– Tego już nie rozumiem zupełnie – zauważył Sanin mamy strzelać w powietrze czy co?
– O, nie to, nie tak – wybełkotał skonfundowany do reszty podporucznik – ale przypuszczałem, że skoro sprawa zachodzi między ludźmi przyzwoitymi... Porozmawiam z pańskim sekundantem – przerwał sam sobie i oddalił się.

Po odejściu porucznika Sanin opadł na krzesło i wpatrzył się w podłogę. „Cóż to takiego? Jak to nagle życie zaczęło się kręcić?

Wszystko minione jakby nagle się zatarło – i pozostało tylko tyle, że z kimś i za coś się biję we Frankfurcie.” Przypomniał sobie pewną obłąkaną ciotkę, która, bywało tańczyła i podśpiewywała:

Poruczniku!
Ogóreczku!
Zatańcz ze mną
Kochaneczku!

Roześmiał się i zaśpiewał jak ona: „Podporuczniku, zatańcz ze mną, kochaneczku!” – Ale czas przystąpić do rzeczy, nie tracąc czasu – zawołał głośno, zerwał się i zobaczył przed sobą Pantaleone z karteczką w ręce.

– Stukałem do pana kilka razy, lecz pan nie odpowiadał, myślałem, że pana nie ma w domu – powiedział starzec i podał mu list. – Od signoriny Gemmy.

Sanin wziął list, jak to się zwykle mówi, machinalnie, otworzył go i przeczytał. Gemma pisała, że niepokoi się bardzo z powodu wiadomej sprawy i że chciałaby się z nim widzieć natychmiast.

– Signorina jest niespokojna – zaczął Pantaleone, który widocznie znał treść listu – kazała mi zobaczyć, co pan robi, i przyprowadzić pana.

Sanin spojrział na starego Włocha – i zamyślił się. Błysnęła mu przez głowę nagła myśl. W pierwszej chwili wydała mu się niemożliwie dziwna... „Jednak... dlaczegożby nie?” – zapytał samego siebie.

– Panie Pantaleone! – powiedział głośno. Starzec drgnął, wetknął podbródek w halsztuk i utkwiał wzrok w Saninie.

– Pan wie – ciągnął Sanin – co zaszło wczoraj?

Pantaleone pozuł wargami i wstrząsnął swym ogromnym czubem.

– Wiem. – (Emil, jak tylko wrócił, opowiedział mu wszystko).

– A, pan wie! W takim razie chodzi o to: przed chwilą był u mnie oficer. Ten arogant wyzywa mnie na pojedynek. Przyjąłem jego wyzwanie. Ale nie mam sekundanta. Czy p a n by nie chciał być moim sekundantem?

Pantaleone drgnął i podniósł brwi tak wysoko, że skryły się pod zwisającymi włosami.

– Czy pan musi się bić koniecznie? – rzekł wreszcie po włosku; dotąd mówił po francusku.

– Koniecznie. Gdybym zrobił inaczej, zhańbiłbym się na całe życie.

– Hm... Gdybym się nie zgodził zostać pańskim sekundantem, będzie pan szukał innego?

– Będę... Naturalnie. Pantaleone spuścił oczy. – Ale niech pan pozwoli, signor de Zanini, że go zapytam: czy ten pojedynek nie rzuci złego cienia na reputację pewnej osoby?

– Nie przypuszczam; ale gdyby nawet tak było, innej drogi nie ma.

– Hm! – Pantaleone zniknął cały w swym halsztuku. – No, a ten *ferroflucto Cluberio* – cóż on sobie myśli? – zawołał nagle i odrzucił twarz do góry.

– On? Nic.

– Ke! (Che!)³ – Pantaleone pogardliwie wzruszył ramionami. – W każdym bądź razie muszę panu podziękować, że nawet w obecnym moim położeniu potrafił pan uznać we mnie przyzwoitego człowieka – *un galant' uomo!* – postępując w ten sposób przedstawia pan samego siebie jako prawdziwego *galant' uomo*. Ale muszę zastanowić się nad pańską propozycją.

³ Włoskie wyrażenie, nie dające się przetłumaczyć. Coś w rodzaju naszego: No! (przyp. autora).

– Nie ma czasu, drogi p. Ci... Cippa...
 – ...tola – podpowiedział starzec. – Poproszę o godzinę namysłu. Tutaj wmieszana jest córka moich dobroczyńców... I dlatego muszę, mam obowiązek – zastanowić się!.. Za godzinę, za trzy kwadranse – zawiadomię pana.
 – Dobrze: poczekam.
 – A teraz... Co mam odpowiedzieć signorinie Gemmie?
 – Sanin wziął kartkę papieru, napisał do niej: „Droga przyjaciółko, proszę być spokojną, za trzy godziny przyjadę do pani – i wszystko się wyjaśni. Dziękuję serdecznie za troskliwość” – i oddał tę kartkę Pantaleone. Ten włożył ją starannie do bocznej kieszeni, powtórzył raz jeszcze: – Za godzinę! – i skierował się ku drzwiom, ale nagle odwrócił się i podbiegł do Sanina, chwycił go za rękę i przyciskając ją do swego żabotu, wznosił oczy ku niebu i zawołał: – Szlachetny młodzieńcze! O, wielkie serce! (*Nobil giovanotto! Gran cuore!*) – pozwól słabemu starcowi (*a un vecchiotto!*) uścisnąć twą mężną prawicę! – (*la vostra valorosa destra!*) Potem odskoczył nieco w tył, machnął obiema rękoma i oddalił się.
 Sanin patrzył za nim... Wziął gazetę i zaczął czytać. Ale próżno jego oczy biegały po literach – nic nie rozumiał.

XVIII

W godzinę potem kelner wszedł znów do Sanina i wręczył mu stary, zabrudzony bilet wizytowy, na którym widniały następujące wyrazy: „Pantaleone Cippatola z Varese, śpiewak nadworny (*cantante di camera*) jego księżęcej wysokości księcia Modeny”; a za kelnerem ukazał się i sam Pantaleone. Przebrał się od góry do dołu. Miał na sobie zrudziały czarny frak i pikową kamizelkę, po której wił się wyszukanie łańcuszek z tombaku; ciężka, krwawnikowa pieczętka spuszczała się nisko na wąskie, czarne spodnie. W prawej ręce trzymał czarny kapelusz z zajęczego puchu, w lewej dwie grube zamszowe rękawiczki; halsztuk zawiązał jeszcze szerzej i wyżej niż zwykle – do nakrochmalonego żabotu przypiął szpilkę z kamyczkiem, zwanym „kocim oczkiem” (*oeil du chat*). Wskazujący palec prawej ręki zdobił pierścień wyobrażający dwie złączone dłonie, a między nimi płonące serce. Od całej postaci starca tchnął zapach stęchlizny, kamfory i piżma; zafrasowana uroczystość jego postaci uderzyłaby najbardziej obojętnego widza. Sanin wstał na jego spotkanie.

– Jestem pańskim sekundantem – rzekł Pantaleone po francusku i pochylił się całym korpusem naprzód, przy czym rozstawił końce trzewików, jak to czynią tancerze. Przyszedłem po instrukcje. Czy pan chce walczyć bez pardonu?

– Dlaczegoż bez pardonu, drogi panie Cippatola? Za nic na świecie nie cofnę wczorajszych słów, ale nie jestem krwiożerczy!.. Ale niech pan poczeka, za chwilę przyjdzie sekundant mego przeciwnika. Wyjdę do sąsiedniego pokoju, a pan się z nim umówi. Proszę mi wierzyć, nigdy w życiu nie zapomnę pańskiej usługi i dziękuję panu z całego serca.

– Honor przede wszystkim – odparł Pantaleone i opuścił się na krzesło nie czekając, aż go Sanin poprosi, żeby usiadł. – Jeśli ten *ferroflucto spicceubio* – zaczął mieszając francuskie z włoskim – jeśli ten handlarz *Cluberio* nie rozumiał swego prostego obowiązku albo stchórzył, tym gorzej dla niego!.. Groszorb – i basta! Co się tyczy warunków pojedynku, jestem pańskim sekundantem i interesy pana są dla mnie święte!.. Kiedy mieszkałem w Padwie, stacjonował tam pułk białych dragonów – iż wielu oficerami byłem w bliskich stosunkach... Cały ich kodeks znam bardzo dobrze. No i z pańskim principe Tarbuski rozmawiałem o tych sprawach często... Czy ten sekundant przyjdzie prędko?

– Oczekuję go lada chwila – a otóż i on – dodał Sanin spojrzawszy na ulicę.

Pantaleone wstał, spojrzął na zegarek, poprawił swój kok i wsunął pośpiesznie do trzewika zwisającą u spodni tasiemkę. Młody podporucznik wszedł, jak za pierwszą wizytą, czerwony i zakłopotany.

Sanin przedstawił sekundantów. Mr. Richter, *souslieutenant!* Mr Zippatola – *artiste!* Na widok starca podporucznik zdziwił się nieco... O! Cóż by powiedział, gdyby mu w tej chwili ktoś szepnął, że przedstawiony mu „artysta” zajmuje się również sztuką kucharską! Ale Pantaleone miał taki wyraz twarzy, jakby udział w przygotowaniu do pojedynków był jego chlebem powszednim; prawdopodobnie pomagały w tym wypadku wspomnienia z kariery teatralnej – i grał rolę sekundanta, właśnie jako rolę. On i podporucznik milczeli przez chwilę.

– Cóż? Do rzeczy! – pierwszy przemówił Pantaleone, bawiąc się krwawnikową pieczętką.

– Do rzeczy – odpowiedział podporucznik: – Ale obecność jednego z przeciwników...

– Ja was, panowie, zostawię samych – zawołał Sanin, uklonił się, wyszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Rzucił się na łóżko i zaczął myśleć o Gemmie... ale rozmowa sekundantów dochodziła do niego przez zamknięte drzwi. Mówiono po francusku, obaj na swój sposób niemiłosiernie kaleczyli język. Pantaleone wspominał znowu o dragonach w Padwie, o principe Tarbuski – podporucznik o *exghizes lèchères* i o *goups à l’amiaple*. Ale starzec nie chciał nawet słyszeć o jakichś *exghizes!* Ku przerażeniu Sanina zaczął nagle mówić swemu współmówcy o pewnej młodej, niewinnej dziewczynie, której jeden paluszek wart jest więcej niż wszyscy oficerowie na świecie... (*Oune zeune damigella innoucenta, qu’a ella sola dans soun peti doa vale piu, que toutt le zouffissié d mondo!*) – Iz żarem powtórzył kilka razy: – To wstyd, to wstyd! – (*E ouna onta, ouna onta!*). Porucznik z początku oponował, ale później słyhać było, że głos młodzieńca drży z gniewu, gdy zauważył, że przyszedł tu nie po to, by wysłuchiwać nauk moralnych...

– W pańskim wieku wysłuchiwanie rzeczy słusznych jest zawsze pożyteczne! – krzyknął Pantaleone.

Dyskusja między pp. sekundantami kilkakrotnie stawała się burzliwa; ciągnęła się przeszło godzinę i wreszcie zakończyły ją warunki następujące: Baron von Dönhof i p. de Sanin będą pojedynkować się z odległości dwudziestu kroków jutro o godzinie dziesiątej rano w niewielkim lasku obok Hanau; każdy ma prawo wystrzelić dwa razy na znak dany przez sekundanta. Pistolety bez spustu i nie nacinane. – P. von Richter odszedł, a Pantaleone otworzył uroczyście drzwi do sypialni i oznajmiwszy rezultaty narady krzyknął znowu:

– *Bravo Russo! Braro giovanotto!* Będziesz zwycięzcą!

– Po kilku minutach obaj poszli do cukierni Rosellich. Sanin zażądał uprzednio od Pantaleone słowa honoru, że utrzyma sprawę pojedynku w największej tajemnicy. W odpowiedzi starzec podniósł tylko palec do góry, przymrużył oczy i szepnął dwukrotnie:

Segredezza! (tajemnica). Widać było, że odmłodził i ruchy miał swobodniejsze. Wszystkie te niezwykle, choć i nieprzyjemne zdarzenia przenosiły go w epokę, gdy on sam wyzywał na pojedynek i przyjmował wyzwania – co prawda na scenie. Wiadomo, że barytony mają zwykle role wojownicze.

XIX

Emil wybiegł na spotkanie Sanina – czekał na niego przeszło godzinę i szepnął mu prędko do ucha, że matka nic nie wie o wczorajszej przykrości, że nie należy jej nawet o niej wspominać i że jego znowu wysyłają do sklepu! Ale on tam nie pójdzie, tylko się gdzieś schowa! Oznajmiwszy to wszystko w ciągu kilku sekund, przypadł nagle do ramienia Sanina, pocałował go porywczo i zbiegł na dół, na ulicę. W cukierni spotkała Sanina Gemma; chciała coś powiedzieć i – nie mogła. Usta jej lekko drżały, a oczy mrużyły się i biegały. Pospieszył uspokoić ją zapewniając, że wszystko skończyło się na... głupstwie.

– Nikt u pana dziś nie był? – spytała.

– Była jedna osoba... rozmówiliśmy się i... i doszliśmy do zadowolającego rezultatu.

Gemma wróciła za ladę.

„Nie uwierzyła mi” – pomyślał... Udał się jednak do następnego pokoju i zastał tam Frau

Lenore. Migrena już przeszła, ale Frau Lenore była nastrojona melancholijnie. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, ale jednocześnie uprzedziła, że dzisiaj będzie się z nią nudził, bo nie potrafi go zająć. Przysiadł się do niej i zauważył, że powieki poczerwieniały i spuchły.

– Co pani jest, Frau Lenore? Czyżby pani płakała?

– Css... – szepnęła i wskazała głową pokój, w którym znajdowała się córka. – Niech pan tego nie mówi głośno.

– A dlaczego pani płakała?

– Ach, monsieur Sanin, sama nie wiem!

– Czy pani ma jakieś zmartwienie?

– O nie! Ogarnęła mnie nagła nuda. Przypomniałam sobie Giovann' Battista... swoją młodość... Potem, że to tak szybko minęło. Starzeję się, przyjacielu, i nie mogę się z tym pogodzić. Zdawałoby się, że jestem taka sama jak dawniej... ale oto już starość! – W oczach Frau Lenore pokazały się łezki. – Pan, widzę, patrzy na mnie i dziwi się... Ale pan też się kiedyś zestarzeje, przyjacielu, i zobaczy pan, ile w tym gorczy!

Sanin zaczął ją pocieszać, wspominać o jej dzieciach, w których zmartwychwstała jej młodość, próbował nawet żartować zapewniając, że Frau przymawia się o komplementy... ale ta bez żartów poprosiła, żeby „przestał”, i dopiero teraz po raz pierwszy mógł się przekonać, że takiego rozżalenia, rozżalenia z powodu odczuwanej starości, niczym pocieszyć ani usunąć nie można; trzeba przeczekać, aż przejdzie samo. zaproponował jej, by zagrała z nim w *tresette* – i nic lepszego nie mógł wymyślić. Zgodziła się natychmiast i jakby poweselała.

Sanin grał z nią do obiadu i po obiedzie. Pantaleone również wziął udział w grze. Nigdy jeszcze czub jego nie spadał tak nisko na czoło, nigdy podbrudek nie tonął tak głęboko w halsztuku! Każdy ruch jego tchnął taką skupioną godnością, że patrząc nań myślało się mimo woli: Cóż to za tajemnicę kryje ten człowiek tak niezłomnie?

– Ale – *segredezza! segredezza!*

Przez cały ten dzień starał się w różny sposób okazywać Saninowi najgłębszy szacunek; przy stole, pominałszy panie, uroczyście i stanowczo jemu pierwszemu podawał potrawy; podczas gry ustępował mu kart, nie śmiał go licytować; stwierdził ni stąd, ni zowąd, że Rosjanie – to naród najbardziej wspaniałomyślny, odważny i stanowczy na świecie!

„Ach ty stary komediancie!” – myślał sobie Sanin.

I nie tyle dziwił go nieoczekiwany nastrój pani Roselli, ile zachowanie jej córki w stosunku do niego. Nie to, żeby go unikała... przeciwnie, wciąż siadała w niewielkiej odległości od niego, przysłuchiwała się jego słowom, patrzyła na niego, ale stanowczo nie chciała wszczynać z nim rozmowy i gdy tylko ją rozpoczynał, wstawała po cichutku i po cichutku wychodziła na chwilę. Potem wracała znowu i znowu siadała gdzieś w kącie – i siedziała nieruchomo, jakby rozmyślała i ulegała zdumieniu... zdumieniu przede wszystkim. Nawet Frau Lenore zauważyła wreszcie niezwykłość w jej zachowaniu i zapytała dwukrotnie, co się z nią dzieje?

– Nic takiego – odparła Gemma – ty wiesz, miewam takie nastroje.

– To prawda – zgodziła się matka.

Tak upłynął cały ten długi dzień – ani ożywiony, ani apatyczny, ani wesoły, ani nudny. Gdyby Gemma zachowywała się inaczej, Sanin, któż wie – nie oparłby się może pokusie popisania się przed nią albo po prostu oddałby się uczuciu smutku w obliczu możliwej, być może wiecznej rozłąki... Ale ponieważ nie udało mu się porozmawiać z Gemmą ani razu, musiał zadowolić się tym, że przed wieczorną kawą dobierał w ciągu kwadransa na fortepianie minorowe akordy.

Emil wrócił późno i dla uniknięcia rozpytywań o p. Klübera prędko zrejterował. Przyszła kolej na Sanina.

Zaczął żegnać się z Gemmą. Przypomniał sobie, nie wiadomo dlaczego, pożegnanie Lenskiego z Olgą w „Onieginie”. Uścisnął mocno jej rękę i spróbował zajrzeć w twarz – ale

odwróciła się lekko i uwolniła palce.

XX

Gdy wyszedł na ganek, niebo już było zupełnie rozgwieżdżone. Ileż się wysypało tych gwiazd – dużych, małych, żółtych, czerwonych, niebieskich, białych! Wszystkie płonęły, roiły się wprost igrając promieniami. Księżycy nie było, lecz i bez niego każdy przedmiot widać było wyraźnie w półjasnym, pozbawionym cienia mroku. Sanin przeszedł na ulicę do końca... nie chciało mu się iść od razu do domu; czuł potrzebę przebywania na świeżym powietrzu. Wrócił i nie zdążył jeszcze zrównać się z domem, w którym mieściła się cukiernia Rosellich, gdy jedno z okien, wychodzących na ulicę, stuknęło nagle i otworzyło się – na tle czarnego czworokąta (w pokoju nie było światła) ukazała się postać kobieca – i usłyszał, że go wołają:

– Monsieur Dimitri!

Natychmiast rzucił się do okna... Gemma!

Oparła się o ramę i wychyliła z okna.

– Monsieur Dimitri! – zaczęła ostrożnym głosem – dzisiaj przez cały dzień chciałam dać panu jedną rzecz... i nie mogłam się zdecydować; ale teraz, zobaczywszy pana nieoczekiwanie, pomyślałam sobie, że widocznie tak jest sądzone...

Gemma mimo woli zatrzymała się na tym słowie. Nie mogła mówić dalej: stało się w tej chwili coś niezwykłego.

Nagle; wśród głębokiej ciszy, przy bezchmurnym niebie, zerwał się taki wiatr, że zdawało się, zadygotała pod stopami sama ziemia, zadrżało i popłynęło subtelne światło gwiazd, zakłębiło się powietrze. Nie chłodny, ale ciepły, prawie upalny wicher uderzył o drzewa, o dach domu, o jego ściany, o ulicę; zerwał nagle z głowy Sanina kapelusz, zwichrzył i rozrzucił czarne włosy Gemmy. Głowa Sanina znajdowała się na poziomie ramy okiennej, mimo woli przyłgął do niej – i Gemma chwyciła się oburącz jego ramienia i przywarła piersiami do głowy. Szum, huk i hałas trwał przez minutę. Jak stado ogromnych ptaków przemknął rozszałały wicher. Zapanowała znowu głęboka cisza.

Sanin podniósł się i zobaczył nad sobą, tak cudowną, wylęknioną, przejętą twarz, takie ogromne, straszne, wspaniałe oczy, taką piękność, że serce w nim zamarło, przyłgął ustami do cienkiej przedzwy włosów, które mu spadły na pierś – i mógł tylko wymówić: O Gemmo!

– Co to było takiego? Błyskawica? – spytała wodząc szeroko otwartymi oczami i nie zdejmując swych obnażonych rąk z jego ramienia.

– Gemmo! – powtórzył Sanin.

Westchnęła, obejrzała się za siebie w stronę pokoju, wyciągnęła szybkim ruchem zza gorsetu zwiedłą różę i rzuciła ją Saninowi.

– Chciałam panu dać ten kwiat... Poznał różę, którą zdobył wczoraj...

Ale okienko już się zatrasnęło i za ciemną szybą nic nie było widać i nic się nie uwydatniało bielą.

Sanin wrócił do domu bez kapelusza... Nawet nie zauważył, że go zgubił.

XXI

Usnął nad ranem. I nic dziwnego. Pod uderzeniem tego letniego, nagłego wichru prawie tak samo nagle odczuł – nie, że Gemma jest piękna, nie, że mu się podoba – o tym wiedział i przedtem... ale, że ją chyba pokochał. Jak nagły wicher spadła na niego ta miłość. A tu ten głupi pojedynek! Zaczęły go męczyć smutne przeczucia. No, przypuśćmy, że nie zostanie zabity... Cóż może wyniknąć z tej miłości do dziewczyny, narzeczonej innego? Przypuśćmy nawet, że ten „inny” nie jest dla niego niebezpieczny, że Gemma pokocha go sama albo już

pokochała... Cóż z tego? Jak to? Taka piękność...

Chodził po pokoju, siadł przy stole, brał arkusz papieru, pisał na nim kilka wierszy i zaraz je przekreślał... Wspomnił zadziwiającą postać Gemmy w ciemnym oknie, w promieniach gwiazd, całą rozwianą przez ciepły wicher; wspomnił jej marmurowe ręce, godne rąk olimpijskich bogiń, czuł ich żywy ciężar na swoich ramionach... Potem brał do ręki rzuconą różę, zdawało mu się, że jej półzwiedle płatki tchnęły innym, subtelnym zapachem niż zwykle różę...

– A jeśli zostanie zabity lub pokaleczony?

Nie kładł się do łóżka – i zasnął w ubraniu na kanapie.

Ktoś poklepał go po ramieniu...

Otworzył oczy i – ujrzał Pantaleone.

– Śpi jak Aleksander Macedoński w przeddzień bitwy pod Babilonem! – zawołał starzec.

– A która godzina? – spytał Sanin.

– Trzy na siódmą; do Hanau dwie godziny drogi, a musimy być pierwsi na miejscu. Rosjanie zawsze uprzedzają nieprzyjaciół. Wziąłem najlepszą we Frankfurcie karetę!

Sanin zaczął się myć. – A gdzie pistolety?

– Pistolety przywiezie ten *ferroflucto Tedesco*. Doktora też przywiezie.

Pantaleone widocznie nadrabiał miną jak i wczoraj; gdy jednak wsiadł z Saninem do karety, gdy stangret trzasnął biczem i konie żwawo ruszyły z miejsca, w byłym śpiewaku i przyjacielu dragonów padewskich zaszła nagle zmiana. Był strapiiony, nawet stchórzył. Jakby się w nim coś nagle obsunęło, jak źle zbudowany zamek.

– Ale co my właściwie robimy. Boże, *Santissima Madonna!* – nagle zawołał nieoczekiwanie piskliwym głosem i chwycił się za włosy. – Co ja robię, stary dureń, wariat, *frenetico?*

Sanin zdziwił się, roześmiał, objął lekko Pantaleone i przypomniał mu francuskie przysłowie. *Le vin est tiré – il faut le boire* – (nawarzyłeś piwa, to wypij).

– Tak, tak – odpowiedział starzec: wypijemy z panem ten kielich, a jednak jestem szalony! Szalony! Było tak cicho, spokojnie... i nagle: tra-ta-ta, tra-ta-ta!

– Niby „*tutti*” w orkiestrze – zauważył Sanin, siląc się na uśmiech. – Ale nie pan winien.

– Wiem, że nie ja! Jeszcze by też! Ale jednak... Taki szaleńczy postępek. *Diavolo! Diavolo!* – powtórzył Pantaleone trzęsąc czubem i wzdychając.

A karetą wciąż toczyła się i toczyła dalej.

Ranek był śliczny. Ulice Frankfurtu, na których ruch dopiero się zaczynał, zdawały się takie czyste i przytulne; okna domów migotały w świetle jak folia⁴, i gdy tylko karetą wyjechała za rogatkę – z góry, z błękitnego, ale jeszcze nie lśniącego nieba posypały się rozdzwoniłone głosy skowronków. Nagle na zakręcie szosy zza wysokiej topoli ukazała się znajoma postać, zrobiła kilka kroków i zatrzymała się. Sanin spojrzał... Mój Boże! Emil!

– A czyż on wie cokolwiek? – zwrócił się do Pantaleone.

– Mówiłem przecież panu, że jestem szalony – omal nie krzyknął w rozpacz biedny Włoch. – Ten nieszczęsny chłopak całą noc mi nie dał spokoju – i wreszcie dzisiaj rano powiedziałem mu wszystko.

„Oto ci *segredezza!*” – pomyślał Sanin.

Karetą zrównała się z Emilem; Sanin kazał stangretowi zatrzymać i zawołał „nieszczęsnego chłopaka”. Emil blady, tak blady, jak w dniu swego ataku, zbliżył się niepewnym krokiem. Ledwo trzymał się na nogach.

– Co pan tu robi? – spytał go surowo Sanin: – Dlaczego pan nie w domu?

– Niech mi pan pozwoli... niech mi pan pozwoli jechać z sobą – wybełkotał drżącym głosem Emil i złożył ręce. Zęby mu dzwoniły jak w febrze. – Ja panu nie będę przeszkadzał –

⁴ folia – średniow. łac. listek złoty lub srebrny, który podkłada się pod drogie kamienie dla spotęgowania blasku (przyp. tłum.).

tylko niech pan mnie weźmie!

– Jeśli pan czuje choć odrobinę przywiązania i szacunku do mnie – rzekł Sanin – wróci pan w tej chwili do domu lub do sklepu p. Klübera, nikomu nie powie ani słowa i będzie czekał na mój powrót!

– Na pana powrót! – jęknął Emil. Głos jego zadźwięczał i załamał się... – a jeśli pana...

– Emilu – przerwał Sanin i wskazał oczami na stangreta. – Niech pan oprzytomnieje. Emilu, proszę iść do domu! Posłuchaj mnie, drogi! Pan zapewnia, że mnie kocha! No, więc proszę bardzo!

Wyciągnął do niego rękę. Emil zachwiał się, chlipnął, przycisnął ją do swych ust i zeskokczywszy z drogi, pobiegł przez pole z powrotem do Frankfurtu.

– Też szlachetne serce – mruknął Pantaleone, ale Sanin spojrział na niego ponuro... Starzec wparł się w kąt karety. Czuł się winny, a nadto z każdą chwilą ogarniało go coraz większe zdumienie. Czyż to naprawdę on został sekundantem i on zdobył konie, wydał wszelkie rozporządzenia i porzucił o szóstej rano swój cichy azyl? Przy tym nogi go rozboleły i zdrętwiały.

Sanin uznał, że trzeba mu dodać otuchy – i trafił w sedno, znalazł potrzebne słowo.

– Gdzież pański poprzedni nastrój, szanowny signor Cippatola? Gdzie *il antico valor*? Signor Cippatola wyprostował się i nachmurzył.

– *Il antico valor*? – oznajmił basem. *Non è ancora spento* (nie całkiem jeszcze stracony) *il antico valor*!!

Poprawił się, zaczął mówić o swej karierze, o operze, wielkim tenorze Garcii – i przyjechał do Hanau – jak zuch. Pomyśleć tylko: nie ma na świecie nic mocniejszego... i słabszego od słowa!

XXII

Lasek, w którym miała się rozegrać walka, leżał w odległości czterech mil od Hanau. Jak przepowiedział Pantaleone, przyjechali pierwsi; kazali zatrzymać karety na skraju lasu i zagłębili się w cieniu dość gęstych drzew. Musieli czekać prawie godzinę.

Oczekiwanie nie wydało się Saninowi zbyt uciążliwe, spacerował po ścieżce tam i z powrotem, wsłuchując się w śpiew ptaków, obserwując przelatujące ważki i jak większość Rosjan w podobnym wypadku, starał się nie myśleć. Raz tylko wpadł w zadumę; napotkał młodą lipę złamaną zapewne przez wczorajszy szkwał. Drzewko po prostu umierało... Wszystkie liście na nim umierały. „Cóż to, wróżba?” – przemknęło mu przez głowę, ale natychmiast zaczął gwizdać, przeskoczył przez tę samą lipę i jął znowu chodzić po ścieżce. Co się zaś tyczy Pantaleone – ten mruczał, wymyślał na Niemców, stękał, pocierał to plecy, to kolana. Ziewał nawet ze wzruszenia, co nadawało nader pocieszny wyraz jego małej skurczonej twarzyczce. Patrząc na niego, Sanin omal nie wybuchnął śmiechem.

Wreszcie rozległ się turkot kół po miękkiej drodze. – To oni! – powiedział Pantaleone nadśluchując i wyprostował się nie bez chwilowego nerwowego dreszczu, który jednak pośpieszył zamaskować okrzykiem: brr! i uwagą, że dzisiejszy ranek jest dość chłodny. Trawa i liście nurzały się jeszcze w obfitej rosie, ale skwar przenikał już do samego lasu.

Wkrótce obaj oficerowie ukazali się pod jego sklepieniem; towarzyszył im niewielki, korpulentny człowiek o twarzy flegmatycznej i prawie zaspanej – doktor wojskowy. Niósł w jednej ręce gliniany dzbanek z wodą – na wszelki wypadek; torba z instrumentami chirurgicznymi i bandażami zwieszała mu się na lewym ramieniu. Widać było, że przywykł do podobnych wypraw, stanowiły one jedno ze źródeł jego dochodów; każdy pojedynek przynosił mu osiem dukatów – po cztery od każdej walczącej strony. P. von Richter niósł pudełko z pistoletami, p. von Dönhof kręcił w ręce, zapewne dla „szyku”, niewielką szpicrutę.

– Pantaleone! – szepnął Sanin do starca – gdybym... gdybym – wszystko może się zdarzyć – został zabity – wyjmie pan z mojej bocznej kieszeni papierek, w którym jest zawinięty kwiatek – i odnieście pan ten papierek signorinie Gemmie. Czy pan słyszy? Obiecuje pan?

Starzec spojrział na niego smętnie i skinął potakująco głową... Bóg jednak raczy wiedzieć, czy zrozumiał, o co go prosił Sanin.

Przeciwnicy i sekundanci wymienili, jak każe zwyczaj, ukłony; tylko doktor nawet brwią nie ruszył i ziewając usiadł na trawie, że to niby „nic mnie te rycerskie uprzejmości nie obchodzą”. P. von Richter zaproponował p. „Tschibadola” dokonanie wyboru miejsca; p. „Tschibadola” odrzekł, z trudnością obracając językiem – (znowu zwałił się na niego smutek) – że „niech szanowny pan działa, ja będę obserwował”...

I p. Richter zaczął działać. Znalazł niedaleko w lesie doskonałą, całą w kwiatach polanę, odliczył kroki, oznaczył dwa końcowe punkty ostruganymi naprędce kółeczkami, wy dostał z pudełka pistolety i przykucnąwszy przybił kule; pracował i krzątał się ze wszystkich sił, wycierając wciąż spoconą twarz białą chusteczką. Towarzyszący mu Pantaleone wyglądał raczej na człowieka zziębniętego. Podczas tych wszystkich przygotowań obaj przeciwnicy stali opodal, wyglądając jak dwaj ukarani uczniacy, dąsający się na swych guwernerów.

Nadeszła decydująca chwila...

Każdy wziął pistolet swój...

Ale w tym miejscu p. von Richter zwrócił Pantaleone uwagę, że ten, jako starszy sekundant, powinien zgodnie z zasadami pojedynku, zanim wypowie „raz! dwa! trzy!” zwrócić się po raz ostatni do przeciwników z radą i propozycją zgody; że chociaż taka propozycja nie pociąga za sobą żadnych skutków i w ogóle jest pustą formalnością, jednak przez wypełnienie tej formalności p. Cippatola zrzuci z siebie pewną część odpowiedzialności; że co prawda allokucja tego rodzaju należy do zwykłych obowiązków tzw. „świadka bezstronnego” (*unpartheischer Zeuge*), ale ponieważ takiego wśród nas nie ma, więc on, p. von Richter, ustępuje chętnie tego przywileju swemu szanownemu koledze. Pantaleone, który zdążył się ukryć za krzakiem tak, żeby nie widzieć zupełnie zuchwałego oficera, z początku nic nie rozumiał z całej tyrady p. von Richtera, tym bardziej że ten ją wygłosił przez nos – ale nagle ocknął się, wystąpił zręcznie naprzód i bijąc się konwulsyjnie w piersi wrzasnął ochryple w swym mieszanym narzeczu:

– *A la la la... Che bestialità. Deux zeun' ommes comme ca que si battono – perche? Che diavolo? Andate a casa!*

–ó Nie przystaję na zgodę – rzekł pośpiesznie Sanin.

– I ja również nie – powtórzył za nim jego przeciwnik.

– Więc niech pan krzyczy: raz, dwa, trzy! – zwrócił się von Richter do stojącego bezradnie Pantaleone.

Ten od razu dał znowu nurka w krzaki i dopiero stamtąd, zgarbiwszy się, ze zmrużonymi oczami i odwróconą głową zawołał na całe gardło: *Una... due...e tre!*

Pierwszy strzelił Sanin – i nie trafił. Kula jego trzasnęła w drzewo. Baron Dönhof strzelił zaraz po nim – umyślnie w bok, w powietrze.

Nastąpiło naprężone milczenie... nikt nie ruszał się z miejsca. Pantaleone słabo westchnął.

– Życzy pan sobie dalej? – rzekł Dönhof.

– Dlaczego pan wystrzelił w powietrze? – spytał Sanin.

– To nie pańska rzecz.

– Czy pan powtórnie też będzie strzelał w powietrze? – spytał znowu Sanin.

– Może. Nie wiem.

– Przepraszam, panowie, przepraszam – zaczął von Richter pojedynkujący się nie mając prawa rozmawiać ze sobą. To całkiem nie w porządku.

- Rezygnuję ze swego strzału – rzekł Sanin i rzucił pistolet na ziemię.
- Ja również nie mam zamiaru pojedynkować się dalej – zawołał Dönhof i również rzucił swój pistolet. – A przy tym, gotów jestem przyznać, że nie miałem przedwczoraj racji.
- Przestąpił z nogi na nogę i niezdecydowanie wyciągnął rękę. Sanin zbliżył się do niego i uściśnął ją. Obaj młodzieńcy popatrzyli na siebie z uśmiechem – i zarumienili się.
- *Bravi! Bravi!* – zaczął nagle jak wariat drzeć się Pantaleone i klaszcząc w dłonie wyskoczył z krzaków; a doktor, który siedział z boku na pniu, wstał, wylał wodę z dzbanka i kołysząc się leniwie, odszedł na skraj lasu.
- Honorowi stało się zadość – pojedynek zakończony – ogłosił von Richter.
- *Fuori!* (fora!) – po dawnemu jeszcze raz wrzasnął Pantaleone.

Wymieniwszy z pp. oficerami ukłony i wsiadając do karety, Sanin odczuł co prawda w całym sobie jeśli nie zadowolenie, to pewnego rodzaju lekkość, jak po udanej operacji; ale poruszyło się w nim i inne uczucie, uczucie podobne do wstydu... Pojedynek, w którym przed chwilą odegrał swoją rolę, wydał mu się błagą, umówioną z góry pańszczyzną, zwykłym oficerskim kawałem. Przypomniawszy sobie flegmatycznego doktora, przypomniał sobie, jak ten się uśmiechnął, to jest, jak zmarszczył nos, gdy go zobaczył wychodzącego z lasu prawie pod rękę z baronem Dönhofem. A potem, gdy Pantaleone wypłacał temu doktorowi należne mu cztery dukaty... Oj! Coś nieładnie!

Tak Sanin czuł trochę wyrzutów sumienia i było mu wstyd... Choć z drugiej strony, cóż miał uczynić? Nie mógł przecież nie ukarać zuchwałstwa młodego oficera, nie mógł upodobnić się do p. Klübera? Wystąpił w obronie Gammy, obronił ją. To prawda, a jednak czuł się niedobrze, robił sobie wyrzuty i nawet wstyd mu było.

Za to Pantaleone, ten po prostu triumfował! Owładnęła nim nagle duma. Z większym zadowoleniem nie rozglądałby się zwycięski generał, wracający z pola wygranej bitwy. Zachowanie się Sanina w czasie pojedynku napawało go uniesieniem. Tytułował go bohaterem i nie chciał słyszeć perswazji ani prośb. Porównywał go do marmurowego czy brązowego pomnika, do posągu Komandora w Don Juanie! Co się tyczy jego samego, przyznawał, że się nieco zmieszał. – Ale przecież ja jestem artystą – zauważył – mam naturę nerwową, pan zaś jest synem śniegów i skał granitowych.

Sanin wprost nie wiedział, jak okiełznać rozhukanego artystę.

W tym samym prawie miejscu drogi, gdzie przed dwiema godzinami spotkali Emila, chłopiec wyskoczył znowu zza drzewa i z okrzykiem radości, wymachując kaszkietem nad głową i podskakując, rzucił się wprost do karety, omal że nie wpadł pod koła i nie czekając na zatrzymanie koni wdrapał się przez drzwiczki i niemal wpił się w Sanina.

– Pan żyje, pan nie jest ranny! – powtarzał. – Niech mi pan wybaczy, że nie usłuchałem, że nie wróciłem do Frankfurtu... Nie mogłem. Czekałem na pana tutaj... Niech mi pan opowie, jak to było! Pan go zabił?

Sanin z trudnością uspokoił i usadowił Emila.

Wielosłownie, z widoczną satysfakcją, wtajemniczył go Pantaleone we wszystkie szczegóły pojedynku i oczywiście nie ominął sposobności, żeby znów wspomnieć o pomniku z brązu, o posągu Komandora! Wstał nawet z miejsca, dla utrzymania równowagi rozstawił nogi, skrzyżował ręce na piersiach i patrząc pogardliwie z ukosa – przedstawiał naocznie Komandora – Sanina! Emil słuchał go z nabożeństwem, od czasu do czasu przerywając opowiadanie okrzykiem, albo zrywał się nagle i tak samo nagle całował swego bohaterskiego przyjaciela.

Koła karety potoczyły się po bruku frankfurckim i zatrzymały się wreszcie przed hotelem Sanina. Wspinał się razem z dwoma towarzyszami po schodach na drugie piętro, gdy nagle z ciemnego korytarzyka wyszła szybkim krokiem kobieta; twarz miała zasłoniętą woalem,

zatrzymała się przed Saninem, zatoczyła się lekko, westchnęła z drżeniem, zbiegła natychmiast na ulicę i zniknęła ku wielkiemu zdziwieniu kelnera, który obwieścił, że „ta pani przeszło godzinę czekała na powrót pana cudzoziemca”. Jakkolwiek przelotnie ją widział, Sanin zdążył rozpoznać w niej Gemmę. Poznał jej oczy pod gęstym jedwabiem brązowego woalu.

– Czyżby Fräulein Gemma wiedziała... – przeciągnął niezadowolonym głosem zwracając się po niemiecku do Emila i Pantaleone, którzy szli za nim.

Emil zarumienił się i zmieszał.

– Musiałem jej wszystko powiedzieć – wybełkotał – domyślała się i nie mogłem w żaden sposób... Ale przecież teraz to nic nie szkodzi – podchwycił z żywością – wszystko skończyło się tak pięknie i ona widziała, że pan jest zdrow i cały!

Sanin odwrócił się.

– Ależ z was jednak puple! – powiedział ze złością, wszedł do pokoju i usiadł na krześle.

– Proszę, niech pan się nie gniewa – błagał Emil.

– Dobrze, nie będę się gniewał – (Sanin nie gniewał się istotnie, a zresztą wątpliwe czy pragnął, żeby się Gemma nie dowiedziała o n i c z y m.) – Dobrze, dość już tych uścisków. Idźcie teraz. Chcę zostać sam. Położę się spać, jestem zmęczony.

– Świetna myśl! – zawołał Pantaleone. – Pan musi odpocząć. Szlachetny signorze, pan w całej pełni zasłużył na odpoczynek. Chodźmy, Emilu! Na paluszkach! Na paluszkach! Szszszsz!

Mówiąc, że chce spać, Sanin pragnął tylko pozbyć się swych towarzyszy; ale gdy został sam, uczuł naprawdę zmęczenie we wszystkich członkach; poprzedniej nocy nie zmrzążył prawie oka – i rzuciwszy się na łóżko, od razu zapadł w głęboki sen.

XXIII

Kilka godzin spał bez przebudzenia. Potem zdawało mu się w półśnie, że znowu walczy w pojedynku, że stoi przed nim jako przeciwnik p. Klüber, a na jodełce siedzi papuga i papuga ta to Pantaleone, który klapiąc dziobem powtarza: raz-raz-raz! raz-raz-raz!

Raz... raz... raz...! – usłyszał już zbyt wyraźnie: Otworzył oczy, podniósł głowę – ktoś pukał do jego drzwi.

– Proszę – zawołał Sanin.

– Zjawił się posługacz i oświadczył, że jakaś pani chce się koniecznie z nim zobaczyć.

„Gemma” – przemknęło mu przez głowę... ale pani okazała się jej matką – Frau Lenore.

Gdy tylko weszła, opuściła się na krzesło i zaczęła płakać.

– Co pani, dobra, miła pani Roselli? – zaczął Sanin, przysiadł się do niej, pieszczotliwie dotykając jej ręki. – co się stało? Proszę, niech się pani uspokoi.

– Ach, Herr Dimitri, jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa!

– Pani nieszczęśliwa?

– Ach, bardzo! I czy mogłam tego oczekiwać» Nagle jak grom z jasnego nieba...

Z trudem chwytła oddech.

– Ale co takiego? Niech pani wytłumaczy! Chce pani wody?

– Nie, dziękuję – Frau Lenore wytarła oczy chusteczką i znów zaczęła gwałtownie płakać.

– Przecież wiem o wszystkim, o wszystkim!

– To znaczy, o czym wszystkim?

– O wszystkim, co zaszło dzisiaj. I znam również... powód. Pan postąpił jak człowiek szlachetny; ale jaki nieszczęśliwy zbieg okoliczności! Nie na próżno nie podobał mi się ten wyjazd do Sodenu... nie na próżno! (Frau Lenore nie mówiła nic podobnego w samym dniu przejażdżki, ale teraz zdawało się, że już wtedy „wszystko” przeczuwała). – Przyszłam właśnie do pana, jako do człowieka szlachetnego, jako do przyjaciela, choć ujrzałam pana po

raz pierwszy przed pięciu dniami... Ale przecież jestem wdową, samotną... Córka moja...

Łzy zagłuszyły słowa Frau Lenore. Sanin nie wiedział, co myśleć.

– Córka pani! – powtórzył.

– Córka moja, Gemma – wyrwało się niemal z jękiem spod zmoczonej łzami chusteczki Frau Lenore – oznajmiła dzisiaj, że nie chce wyjść za mąż za p. Klübera i że muszę mu odmówić jej ręki!

Sanin aż się cofnął lekko: nie oczekiwał tego.

– Już nie mówię o tym – ciągnęła Frau Lenore – że to hańba, jakiej nigdzie na świecie nie było, żeby narzeczona cofnęła narzeczonemu dane słowo; ale przecież, Herr Dimitri, to nas zrujnuje! Frau Lenore zwinęła starannie i mocno chusteczkę w mały, mały kłębuszek, jak gdyby chciała w nim zawrzeć całe swoje zmartwienie.

– Żyć z dochodów naszej cukierni, Herr Dimitri, dłużej nie możemy, a p. Klüber jest bardzo bogaty i będzie jeszcze bogatszy. I za cóż ma mu odmówić jej ręki? Za to, że nie wystąpił w obronie narzeczonej? Przypuśćmy, że to z jego strony nie było ładne, ale przecież to cywil, na uniwersytecie się nie kształcił i, jako solidny kupiec, powinien był odnieść się z pogardą do psoty nieznajomego oficerka. Bo czyż to, Herr Dimitri, była obelga?

– Przepraszam, Frau Lenore, pani jak gdyby mnie potępia...

– Nie potępiam pana zupełnie, zupełnie! Pan – to co innego; pan wojskowy jak wszyscy Rosjanie.

– Przepraszam, ale ja wcale...

– Pan jest cudzoziemcem w przejeździe, jestem panu wdzięczna – ciągnęła Frau Lenore nie słuchając Sanina. Zadyszała się, rozkładała ręce, znowu rozwinęła chusteczkę i wycierała nos; już z tego samego, w jaki sposób wyrażało się jej zmartwienie, widać było, że nie urodziła się pod niebem północy.

– Jakżeż p. Klüber będzie prowadził handel w sklepie, jeśli będzie się bił z klientami? To nie ma zupełnie sensu! I teraz mam mu odmówić jej ręki! Ale z czego będziemy żyć? Przedtem tylko my robiliśmy skórkę panieńską i nugaty pistacjowe – i u nas je kupowano, a teraz wszyscy robią skórkę panieńską. Niech pan pomyśli: już bez tego w mieście będą mówić o pańskim pojedynku... Bo czyż to można ukryć? I nagle małżeństwo nie dochodzi do skutku? Przecież to skandal! Skandal! Gemma – najlepsza dziewczyna; kocha mnie bardzo, ale to zazarta republikanka, nie dba o opinię. Pan tylko jeden może ją przekonać! Sanin zdumiał się jeszcze bardziej.

– Ja, Frau Lenore?

– Tak, pan jeden... Pan jeden. Dlatego właśnie przyszłam do pana; nic innego nie umiałam wymyślić; pan jest taki wykształcony, taki dobry. Pan wystąpił w jej obronie. Panu ona uwierzy. Ona musi panu uwierzyć, bo pan dla niej narażał życie! Pan jej udowodni – bo ja już więcej nic zrobić nie mogę! Pan jej udowodni, że ona zgubi i siebie, i nas wszystkich. Pan uratował mego syna – niechże pan uratuje i córkę! Sam Bóg zesłał tu pana... Na klęczkach będę pana błagała...

I Frau Lenore podniosła się już z krzesła, jakby zamierzała upaść do nóg Sanina... Ten ją powstrzymał.

– Frau Lenore! Na Boga, cóż to pani?

Kurczowo chwyciła go za ręce. – Obiecuję pan?

– Frau Lenore, niech pani pomyśli: z jakiego tytułu ja...

– Obiecuję pan? Pan nie chce, żebym tu teraz przed panem umarła?

Sanin się zmieszał. Po raz pierwszy w życiu spotkał się z płonąca krwią włoską.

– Uczynię wszystko, czego pani żąda! – zawołał. – Porozmawiam z Fräulein Gemmą...

Frau Lenore skoczyła z radości.

– Tylko doprawdy nie wiem, jaki to da rezultat...

– Ach, niech pani nie odmawia, niech pan nie odmawia! – powiedziała Frau Lenore

blagalnym głosem. – Pan już się zgodził! Rezultat na pewno będzie wspaniały. W każdym razie ja już nic więcej uczynić nie mogę. M n i e ona nie słucha!

– Czy ona tak stanowczo oznajmiła, że nie chce wyjść za p. Klübera? – spytał po chwili milczenia Sanin.

– Jak nożem uciął! Wykapany ojciec, Giovanni Battista! Szalona!

– Szalona?... Ona?... – powtórzył przeciągle Sanin.

– Tak... tak... ale to jednak anioł. Pana ona usłucha. Pan przyjdzie, przyjdzie wkrótce? O, drogi przyjacielu Rosjaninie! – Frau Lenore wstała porywczo i tak samo porywczo objęła głowę siedzącego przed nią Sanina. – Niech pan przyjmie błogosławieństwo matki – i niech mi pan da wody!

Sanin przyniósł pani Roselli szklankę wody i dał słowo, że przyjdzie natychmiast, odprowadził ją po schodach na ulicę – i wróciwszy do swego pokoju aż klasnął w dłonie i wytrzeszczył oczy.

„To ci – pomyślał – oto t e r a z zakołowało życie! Ale tak zakołowało, że aż się w głowie kręci.” Nie próbował nawet wejrzeć w siebie, zrozumieć, co się tam dzieje. Zamęt i basta. „Ależ dzionek!” – mimo woli szeptały jego usta. – „Szalona... mówi matka... I to ja mam jej radzić – jej! I co radzić?!”

W głowie Sanina istotnie panował zamęt kompletny – i nad całą wichurą różnorodnych uczuć, wrażeń, niedopowiedzianych myśli wciąż unosił się obraz Gemmy, obraz, który tak niezatarcie wbił mu się w pamięć owej ciepłej, rozedrganej elektrycznością nocy, w tym ciemnym oknie, w promieniach rojących się gwiazd.

XXIV

Niepewnym krokiem zbliżał się Sanin do domu p. Rosellich. Serce biło mu mocno, wyraźnie czuł, a nawet słyszał, jak tłukło o żebra. Co powie Gemmie, jak zacznie z nią rozmowę? Wszedł do domu nie przez cukiernię, lecz od tyłu. W przedpokoju spotkał Frau Lenore. Ucieszyła się na jego widok i przeleżała.

– Czekałam, czekałam na pana – powiedziała szeptem, ściskając to jedną to drugą ręką jego dłoń. – Niech pan pójdzie do ogrodu; ona jest tam. I niech pan pamięta, cała nadzieja w panu.

Sanin poszedł do ogrodu.

Gemma siedziała na ławce obok ścieżki i z pełnego koszyka wybierała na talerz dojrzałe wiśnie. Słońce stało nisko. Była już siódma wieczór – i w szerokich, ukośnych promieniach, które zatapiały cały ogródek pani Roselli, było więcej purpury niż złota. Rzadko, ledwie dosłyszalnie i jakby się nie spiesząc szeptały między sobą liście i przelatując z kwiatka na kwiatek brzęczały urywanie zapóźnione pszczoły; gdzieś jednostajnie i niezmordowanie gruchała synogarlica.

Gemma miała ten sam okrągły kapelusz, w którym jeździła do Sodenu. Spojrzała na Sanina spod wygiętego ronda i znowu pochyliła się nad koszykiem.

Sanin zbliżył się do Gemmy, mimo woli skracając każdy krok i... i... I nie znalazł żadnego innego tematu, tylko zapytał, po co przebiera wiśnie?

Gemma powiedziała bez pośpiechu.

– Z tych dojrzałych będą konfitury, a z tych nadzienie do placków. Pan wie, my sprzedajemy takie okrągłe placki z cukrem.

To powiedziawszy Gemma schyliła głowę jeszcze niżej i prawa jej ręka z dwiema wiśniami w palcach zawisała między koszykiem a talerzem w powietrzu.

– Można się przysiąść? – spytał Sanin.

– Można. – Gemma posunęła się trochę na ławce. Sanin siadł przy niej. „Jak zacząć?” – pomyślał. Ale Gemma wyprowadziła go z kłopotu.

– Pan się dzisiaj pojedynekował – zaczęła prędko i odwróciła od niego swą piękną, zaplonioną wstydem twarz, a jaka wdzięczność lśniła w jej oczach! – I pan taki spokojny? Więc dla pana nie istnieje niebezpieczeństwo?

– Co pani! Nie narażałem się na żadne niebezpieczeństwo. Wszystko minęło szczęśliwie, bez żadnej dla nikogo krzywdy.

Gemma przesunęła palcem przed oczami... Też charakterystyczny ruch włosów. – Nie, nie! Niech pan tego nie mówi! Pan mnie nie oszuka. Pantaleone powiedział mi wszystko!

– Ma pani komu wierzyć! Porównywał mnie do posągu Komandora.

– Wyrażenia jego mogą być śmieszne, ale nie jest śmieszne ani jego uczucie, ani to, co pan dziś uczynił. I wszystko to przeze mnie... dla mnie. Nigdy tego nie zapomnę...

– Zapewniam panią, Fräulein Gemma...

– Nigdy tego nie zapomnę – powtórzyła dobitnie, jeszcze raz popatrzyła na niego uważnie i odwróciła się...

Mógł teraz widzieć jej delikatny, czysty profil i zdawało mu się, że nigdy nie widział i nie doświadczał nic podobnego, jak w tej chwili. Dusza się w nim rozpaliała.

„A moja obietnica...?” przemknęło mu w myśli.

– Fräulein Gemma... – zaczął po chwili wahania.

– Słucham?

Nie odwróciła się do niego, w dalszym ciągu przebierając wiśnie, brała je ostrożnie koniuszkami palców za szypułki, troskliwie podnosiła listeczki... Ale jakąż pieściotliwą ufnością zabrzmiało to jedno słowo „słucham!”

– Czy mamusia nic pani nie mówiła o...

– O kim?

– O mnie?

Gemma odrzuciła nagle do koszyka wzięte stamtąd wiśnie.

– Rozmawiała z panem? – spytała z kolei.

– Tak.

– Cóż panu powiedziała?

– Powiedziała mi, że pani... że pani postanowiła zmienić... swój pierwotny zamiar.

Głowa Gemmy znów się pochyliła. Zniknęła cała pod kapeluszem; widać tylko było szyję, giętką i delikatną jak łądyga dużego kwiatu.

– Jaki zamiar?

– Zamiar pani... dotyczący... przyszłego życia.

– To znaczy... Pan mówi... o p. Klüberze?

– Tak.

– Mam powiedziała panu, że nie chcę wyjść za pana Klübera?

– Tak.

Gemma posunęła się na ławce. Koszyk się pochylił, spadł... Kilka wiśni potoczyło się na ścieżkę. Uplęła minuta, dwie...

– Po co to panu powiedziała? – rozległ się jej głos. Sanin widział jak przedtem tylko szyję Gemmy. Pierś jej podnosiła się i opadała jeszcze szybciej.

– Po co? Mamusia pani pomyślała, że skorośmy się tak prędko, rzecz można, zaprzyjaźnili i pani nabrała dla mnie pewnego zaufania, będę mógł udzielić pożytecznej rady – i że mnie pani usłucha.

Ręce Gemmy ześliznęły się na kolana... Zaczęła przebierać fałdy sukni.

– I cóż mi pan, monsieur Dimitri, radzi? – spytała po chwili.

Sanin spostrzegł, że palce Gemmy drżą na kolanach... Właśnie, żeby to ukryć, przebierała fałdy sukni. Położył łagodnie swą rękę na tych białych, drżących palcach.

– Gemma – powiedział – dlaczego pani na mnie nie patrzy?

Błyskawicznie zrzuciła swój kapelusz na ramię i utkwiała w Saninie ufne i wciąż wdzięczne

oczy. Czekala aż zacznie mówić... Ale wyraz jej twarzy onieśmielił go i jakby oślepił. Ciepły blask wieczornego słońca opromieniał jej młodą głowę – i wyraz jej był jaśniejszy i bardziej lśniący od tego blasku.

– Ja pana usłucham, monsieur Dimitri – zaczęła uśmiechając się lekko i lekko podnosząc brwi – ale cóż mi pan poradzi?

– Co poradzę? – powtórzył Sanin. – Widzi pani, mamusia pani przypuszcza, że odmówić p. Klüberowi tylko dlatego, że ten przedwczoraj nie wykazał zbytnej odwagi...

– Tylko dlatego? – powiedziała Gemma, nachyliła się, podniosła koszyk i postawiła go przy sobie na ławce.

– Że... w ogóle... odmowa z pani strony jest rzeczą nierozsądną; że to krok, którego skutki trzeba dobrze rozważyć, że wreszcie stan interesów państwa nakłada pewne obowiązki na każdego członka rodziny...

– Takie jest zdanie mamy – przerwała Gemma – to są jej słowa. Wiem o tym, ale jakie jest zdanie pana?

– Moje? – Sanin umilkł. Czuł, że go coś chwyciło za gardło i zabrakło mu tchu. – Ja też myślę – zaczął z wysiłkiem...

Gemma wyprostowała się.

– Też? Pan – też?

– Tak... To znaczy... – Sanin nie mógł, stanowczo nie mógł dodać ani słowa.

– Dobrze – rzekła Gemma. – Skoro pan, jako przyjaciel radzi mi, żebym zmieniła swą decyzję... a właściwie, żebym nie zmieniała swej dawnej decyzji – zastanowię się. – Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła przekładać wiśnie z talerza do koszyka z powrotem. – Mama spodziewa się, że pana usłucham... Cóż? Może naprawdę usłucham pana.

– Ale przepraszam, Fräulein Gemma, przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jakie pobudki skłoniły panią.

– Usłucham pana – powtórzyła Gemma, a brwi jej wciąż się zsuwały, policzki bladły, przygryzała dolną wargę. – Pan uczynił dla mnie tak dużo, że i moim obowiązkiem jest zrobić to, czego pan pragnie; muszę spełnić pańskie życzenie. Powiem mamie... pomyślę. Otóż i ona, idzie tu w samą porę.

Rzeczywiście Frau Lenore ukazała się na progu drzwi prowadzących do ogrodu. Niecierpliwość nie dawała jej spokoju, nie mogła usiedzieć na miejscu. Sanin, według niej, powinien już dawno zakończyć swą rozmowę z Gemmą, gdy tymczasem nie ciągnęła się ona i kwadrans.

– Nie, nie, nie, na Boga, niech pani jej nic nie mówi, na razie nic – pośpiesznie, prawie z przestachem rzekł Sanin. – Niech pani poczeka... Ja pani powiem, napiszę... a do tego czasu niech pani nic nie rozstrzyga... Niech pani poczeka!

Ścisnął rękę Gemmy, zerwał się z ławki i ku wielkiemu zdumieniu Frau Lenore przemknął obok niej, uchylwszy kapelusza, mruknął coś niewyraźnie i zniknął.

Podeszła do córki.

– Powiedz mi, proszę, Gemmo...

Ta podniosła się nagle i objęła matkę... – Droga mamó, możesz poczekać troszkę, odrobinę... do jutra. I z tym, żeby do jutra już ani słówka... Ach!

Zalała się nagle czystymi, nieoczekiwanymi dla niej łzami. Frau Lenore zdziwiło jeszcze bardziej to, że wyraz twarzy Gemmy nie był smutny, raczej radosny...

– Co tobie? – spytała nagle. – Ty nigdy nie płaczesz – i nagle...

– Nic, mamó, nic! Tylko zaczekaj. Musimy obie zaczekać. Nie pytaj o nic do jutra – a póki słońce nie zajdzie, przebierajmy wiśnie.

– A będziesz rozsądna?

O, ja jestem bardzo rozsądna. – Gemma pokręciła znacząco głową. Zaczęła wiązać wiśnie w małe pęczki, trzymając je wysoko przed czerwieniejącą twarzą. Łez nie wycierała, wyschły same.

XXV

Prawie pędem wrócił Sanin do swego mieszkania. Czuł, zdawał sobie sprawę, że tylko tam, tylko w samotności uświadomi sobie wreszcie, co się z nim dzieje. I rzeczywiście – nie zdążył wejść do pokoju, nie zdążył usiąść przy stole, gdy wsparłszy się oburącz o ten stół, a potem przycisnąwszy obie dłonie do twarzy – głucho krzyknął „Kocham ją, kocham szalenie!” i cały wewnątrz zapłonął jak węgiel, z którego zdmuchnie się nagle narośniętą warstwę martwego popiołu. Mgnienie... i już nie był w mocy zrozumieć, jakżesz to mógł siedzieć obok niej... obok niej! – i rozmawiać z nią, i nie czuć, że uwielbia nawet rąbek jej sukni, że gotów jest, jak wyrażają się młodzieńcy, „umrzeć u jej stóp”. Ostatnie spotkanie w ogrodzie zadecydowało o wszystkim. Teraz, kiedy myślał o niej, nie wyobrażał sobie już jej z rozwianym włosom, w blasku gwiazd. Widział ją na ławce, widział, jak nagle zrzuca kapelusz i patrzy na niego tak ufnie... dreszcz i pragnienie miłości przebiegały przez jego żyły. Przypomnił sobie różę, którą już trzeci dzień nosi w kieszeni; wyjął ją i z taką siłą gorączkową przycisnął do ust, że mimo woli zmarszczył się z bólu. Teraz już nie rozumował, niczego nie rozważał, nie liczył i nie przewidywał; oddzielił się od całej przeszłości, uczynił skok naprzód: z ponurego brzegu samotnego życia kawalerskiego skoczył do wesołego, rwącego, potężnego potoku – i nic go nie obchodzi, i wiedzieć o tym nie chce, gdzie go on wyrzuci i czy nie roztrzaska o skałę! To już nie są te ciche fale romansu Uhlanda, które go kołysały niedawno... To silne niepowstrzymane fale! Toczą się i mkną naprzód – i on leci wraz z nimi...

Wziął arkusz papieru i bez przekreśleń, prawie jednym pociągnięciem napisał:

Droga Gemmo!

Pani wie, jaką radę podjąłem się podsunąć pani, pani wie, czego sobie życzy mamusia i o co mnie prosiła – ale czego pani nie wie i co muszę teraz powiedzieć – to, że panią kocham, kocham całą namiętnością serca, które pokochało po raz pierwszy! Ogień ten wybuchnął we mnie nagle, lecz z taką siłą, że nie znajduję słów! Kiedy mamusia pani przyszła do mnie i prosiła – wtedy tlił się dopiero we mnie, gdyż jako człowiek uczciwy, odmówiłbym jej z pewnością wykonania tego zlecenia... Wyznanie, które teraz pani czynię, jest wyznaniem uczciwego człowieka... Pani powinna wiedzieć, z kim ma do czynienia, między nami nie powinno być żadnych nieporozumień. Pani widzi, że nie mogę jej nic radzić. Kocham panią, kocham, kocham – i nic nie mam więcej ani w myśli, ani w sercu!

Dm. Sanin

Sanin złożył zapieczętowaną kartkę i chciał już zadzwonić na posłańca, żeby ją zaniósł. Nie! To niezręcznie... Przez Emila? Ale to również niezręcznie. Pójść do magazynu i szukać go tam wśród innych subiektów, też niezręcznie. Zresztą już jest późno i pewnie wyszedł ze sklepu. Medytując w ten sposób Sanin włożył jednak kapelusz i wyszedł na ulicę; skrzyżował za jeden róg, za drugi – i ku nieopisanej radości zobaczył przed sobą Emila. Z torebką na ramieniu, ze zwitkiem papieru w ręce młody entuzjasta śpieszył do domu.

„Nie na próżno się mówi, że każdy zakochany ma swoją gwiazdę” – pomyślał Sanin i zawołał Emila.

Ten odwrócił się i natychmiast rzucił się ku niemu. Sanin nie pozwolił dać mu upustu zwykłym zachwytem, wręczył kartkę i wytłumaczył, komu i jak należy ją doreczyć... Emil słuchał uważnie.

– Żeby nikt nie widział? – spytał nadając swej twarzy wyraz znaczący i tajemniczy, że niby rozumiemy, o co chodzi.

– Tak, przyjacielu – rzekł Sanin i trochę się zawstydził; poklepał jednak Emila po policzku... – A jeśli będzie odpowiedź... Pan mi przyniesie odpowiedź, prawda? Będę w

domu.

– Niech się pan już o to nie kłopotcie! – szepnął wesoło Emil, popędził i w biegu jeszcze kiwnął mu głową.

Sanin wrócił do domu i nie zapalając świecy rzucił się na kanapę, założył ręce na głowę i oddał się tym uczuciom uświadomionej miłości, których nawet opisywać nie trzeba: kto ich doświadczył, wie, jak są męczące i słodkie; kto nie doświadczył, temu ich nikt nie wytłumaczy.

Drzwi się otworzyły – ukazała się głowa Emila.

– Przyniosłem – szepnął – oto odpowiedź. Pokazał i podniósł nad głową zwinięty papierek. Sanin skoczył z kanapy i wyrwał go z rąk Emila. Zbyt mocno rozgorzała w nim namiętność: gdzieby się tam potrafił teraz maskować, zachowywać pozory – nawet przed tym chłopcem, jej bratem. Opamiętałby się, zmusiłby siebie – gdyby mógł!

Podszedł do okna – i przy świetle latarni ulicznej, stojącej przed samym domem, przeczytał następujące wiersze:

Proszę pana, błagam pana – niech pan przez cały jutrzejszy dzień nie przychodzi do nas, nie pokazuje się. Potrzebne mi to, koniecznie potrzebne, a potem zdecyduje się wszystko. Wiem, że pan mi nie odmówi, ponieważ...

Gemma

Sanin przeczytał dwukrotnie kartkę – o jak wzruszająco miły, jak piękny wydał mu się charakter jej pisma! – pomyślał chwilę i zwróciwszy się do Emila, który chcąc dać do zrozumienia, jaki to z niego skromny młodzieniec, stał odwrócony do ściany i dłubał w niej paznokciem – zawołał go po imieniu.

Emil podbiegł natychmiast do Sanina.

– Co pan rozkaże?

– Niech pan słucha, przyjacielu...

– Mr Dimitri – przerwał mu Emil żałośnie – dlaczego pan mi nie mówi: – ty?

Sanin się roześmiał.

– Więc dobrze. Słuchaj przyjacielu – (Emil podskoczył lekko z zadowolenia) – słuchaj, powiesz tam, rozumiesz, powiesz tam, że wszystko będzie w zupełności wykonane – (Emil ścisnął usta i skinął poważnie głową) – a sam... Co robisz jutro?

– Ja? Co robię? Co pan chce, żebym robił?

– Jeśli możesz, przyjdź rano, wcześniej – i będziemy do wieczora spacerowali w okolicach Frankfurtu... Chcesz?

Emil podskoczył znowu.

– Ależ proszę pana, cóż może być miłszego? Spacerować z panem – ależ cudownie! Przyjdę z pewnością!

– A jeżeli cię nie puszczą?

– Puszczą.

– Słuchaj... Nie mów tam, że cię zaprosiłem na cały dzień.

– Po co mówić? Pójdę i już. Wielka rzecz!

Emil pocałował mocno Sanina i wybiegł.

A Sanin chodził długo po pokoju – i późno położył się do snu. Oddał się tym ostrym i słodkim uczuciom, temu radosnemu zamieraniu w obliczu nowego życia. Sanin był bardzo zadowolony, że wpadł na myśl zaproszenia na jutro Emila; podobny był do siostry. „Będzie mi ją przypominał” – myślał Sanin.

Ale najbardziej go dziwiło: jakże to wczoraj mogło być inaczej niż dziś. Zdawało mu się, że kochał Gemmę „wiecznie” i kochał ją właśnie tak, jak kochał ją dzisiaj.

XXVI

Nazajutrz o ósmej rano Emil z Tartaglią na smyczy przyszedł do Sanina. Nie mógł być bardziej punktualny, gdyby nawet był synem rodziców Niemców. W domu skłamał, powiedział, że pospaceruje z Saninem do śniadania, a potem pójdzie do sklepu. Póki Sanin się ubierał, Emil, co prawda nieśmiało, chciał zacząć z nim rozmowę o Gemmie, o jej zerwaniu z p. Klüberem; lecz Sanin surowo przemilczał jego słowa, a Emil, udając, że nie rozumie, dlaczego nie powinien dotykać tego ważnego punktu, już do niego nie wracał, tylko z rzadka przybierał skupiony wyraz, a nawet poważny wyraz twarzy.

Po kawie obaj przyjaciele udali się, oczywiście pieszo, do Hausen, małej wioski położonej niedaleko Frankfurtu i otoczonej lasami. Cały łańcuch gór Taunus widać było jak na dłoni. Pogoda była piękna; słońce jaśniało i płonęło, ale nie piekło; świeży wiatr szumił rześko w zielonych liściach. Poza niewielkimi plamami ślizgały się gładko i szybko posuwiste cienie wysokich, okrągłych obłoczków. Wkrótce młodzi panowie wydostali się z miasta i zaczęli zwawo i wesoło stąpać po gładko wymiecionej drodze. Weszli do lasu – i długo się tam wałęsali; potem spożyli solidne śniadanie w wiejskiej gospodzie; potem wspinali się po górach, zachwycali się widokami, rzucali na dół kamienie i klaskali w dłonie przyglądając się, jak te kamienie podskakiwały zabawnie i dziwacznie niby króliki, aż przechodzący w dole niewidoczny dla nich człowiek nawymyślał im dźwięcznym i mocnym głosem; potem leżeli rozciągnięci na niskim, suchym, żółtawo-fioletowym mchu; potem w innej gospodzie pili piwo, potem biegali na wyścigi, skakali w zawody – kto dalej. Odkryli echo i rozmawiali z nim, śpiewali, pohukiwali, mocowali się, łamali suche gałęzie, zdobyli kapelusze gałązkami paproci – i nawet tańczyli. Tartaglią, o ile tylko mógł, brał udział w tych wszystkich zajęciach; kamieni wprawdzie nie rzucał, ale sam staczał się kłębkami za nimi, poszczeekiwał, gdy młodzi przyjaciele śpiewali, a nawet, aczkolwiek z widocznym wstrętem, pił piwo; sztuki tej nauczył go student, do którego kiedyś należał. Zresztą Emila nie słuchał – nie tak jak swego pana, Pantaleone – i gdy Emil mu nakazywał „mówić” albo kichać – kręcił tylko ogonkiem i wysuwał język zwinięty w trąbkę.

Młodzieńcy rozmawiali też ze sobą. Na początku spaceru Sanin, jako starszy i dlatego bardziej myślący, zaczął o tym, co to jest fatum, czyli przeznaczenie, i co to jest, i na czym polega powołanie człowieka; ale rozmowa wkrótce przybrała kierunek mniej poważny. Emil zaczął rozpytywać swego przyjaciela i opiekuna o Rosję i jak się tam pojedynkują, czy kobiety są piękne, czy prędko można się nauczyć rosyjskiego i co Sanin odczuwał, gdy oficer do niego celował. A Sanin rozpytywał z kolei Emila o jego ojca, o matkę, w ogóle o sprawy rodzinne, starając się wciąż nie wymieniać imienia Gemmy – a myśląc wyłącznie o niej. Właściwie, myślał nawet nie o niej, lecz o jutrzejszym dniu i o tym tajemniczym jutrze, które przyniesie mu nieznaną, niebywałe szczęście. Wisi jak gdyby cienka, lekka zasłona, wisi kołysząc się lekko przed wzrokiem jego myśli – i za tą zasłoną, czuje... czuje obecność młodej, nieruchomej, boskiej twarzy z uśmiechem pieśczośliwym na ustach i poważnie, z udaną powagą, opuszczonymi rzęsami. I twarz ta to nie oblicze Gemmy – to oblicze samego szczęścia! I oto nagle nadeszła jego godzina, zasłona się podnosi, otwierają się usta, podnoszą się rzęsy – bóstwo go dostrzegło – i teraz tylko jasność, jak od słońca, i radość, i zachwyt nieskończony! Myśli o tym jutrze i dusza jego znów radośnie zamiera w omdlewającej tęsknocie odradzającego się wciąż oczekiwania!

I to oczekiwanie, ta tęsknota nie przeszkadzają mu wcale. Towarzyszą każdemu jego ruchowi i w niczym mu nie przeszkadzają. Nie przeszkadzają mu zjeść z Emilem doskonałego obiadu w trzeciej gospodzie – i tylko czasem jak nagła błyskawica olśniewa go myśl – cóż – gdyby ktoś na świecie o tym wiedział?! Nie przeszkadza mu tęsknota grać po obiedzie z Emilem w skakanki. Zabawa ta odbywa się na wygodnej zielonej łączce... I jakież zdumienie, i jaki wstyd ogarnia Sanina, gdy przy zażartym szczekaniu Tartaglii, rozstawwszy

zręcznie nogi i przelatując jak ptak nad przykucniętym Emilem – widzi nagle przed sobą, na samym skraju zielonej łączki, dwóch oficerów, w których natychmiast poznaje swego wczorajszego przeciwnika i jego sekundanta, pp. Dönhofa i von Richtera! Każdy z nich wstawił szkiełko do oka i patrzy na niego, i uśmiecha się. Sanin opada na nogi, odwraca się, wkłada z pośpiechem zrzucone palto, mówi urywane słowa do Emila; ten również wkłada kurtkę i obaj oddalają się szybko.

Wrócili do Frankfurtu późno. – Skrzyczą mnie – mówi Emil do Sanina przy pożegnaniu – ale wszystko jedno! Za to jak cudownie, cudownie spędziłem dzień.

Po powrocie do hotelu Sanin zastał karteczkę od Gemmy. Naznaczała mu spotkanie – nazajutrz o siódmej rano w jednym z publicznych ogrodów, otaczających Frankfurt ze wszystkich stron.

Jakżeż zabiło mu serce! Jak się ucieszył, że jej tak bez protestu usłuchał! I mój Boże, co zapowiadał... czego nie zapowiadał ten niebyszały, jedyny, niemożliwy i niewątpliwy dzień jutrzejszy!

Wpił się oczami w kartkę Gemmy. Długi, wytworny ogonek przy literze G, pierwszej literze jej imienia, znajdujący się w końcu arkusika – przypominał mu jej palec, jej rękę... Pomyślał, że ani razu nie dotknął tej ręki ustami... „Włoszki – myślał – wbrew opinii o nich, są wstydlive i surowe... A już tym bardziej Gemmy! Królowna... bogini... marmur dziewiczy i czysty...”

„Lecz przyjdzie czas i to niedługo...”

Był tej nocy we Frankfurcie jeden szczęśliwy człowiek... Spał; lecz mógł powiedzieć o sobie słowami poety: „Choć śpię... lecz drżące serce moje czuwa...”

I biło ono tak lekko, jak skrzydełko motyla, co przywarł do kwiatka w blasku letniego słońca.

XXVII

Sanin obudził się o piątej, o szóstej był już ubrany, o pół do siódmej przechadzał się po publicznym ogrodzie w pobliżu małej altanki, o której Gemma wspominała w swej kartce.

Poranek był cichy, ciepły, szary. Czasem zdawało się, że zaraz zacnie padać deszcz; ale wyciągnięta ręka nie czuła nic i tylko na rękawie ubrania można było dostrzec ślady malutkich jak paciorki kropel; lecz wnet i te ustały. Wiatru jakby na świecie nigdy nie było. Dźwięk każdy nie leciał, ale rozlewał się wokół: z dala lekko gęstniały białawe opary, w powietrzu czuć było zapach rezedy i białej akacji.

Sklepów na ulicach jeszcze nie otwierano, ale już ukazali się przechodnie; czasem turkotała samotna kareta... W ogrodzie spacerujących nie było. Ogrodnik skrobał bez pośpiechu ścieżkę łopatą i słaba staruszka w czarnym, sukiennym płaszczu kusztykała przez aleje. Ani przez chwilę nie mógł Sanin wziąć tej nędznej istoty za Gemmę, a jednak serce zabiło mu i uważnie śledził oczami oddalającą się czarną plamę.

Siódma! Zabrział zegar na wieży.

Sanin zatrzymał się. Czyż nie przyjdzie? Zimny dreszcz przebiegł nagle po jego członkach. Dreszcz ten powtórzył się za chwilę, ale już z innego powodu. Sanin usłyszał za sobą lekkie kroki, lekki szelest sukni... Obejrzał się, ona!

Gemma szła za nim po ścieżce. Miała szarą mantylę i niewielki, ciemny kapelusz. Spojrzała na Sanina, odwróciła głowę i zrównawszy się z nim minęła go szybko.

– Gemmo – powiedział ledwie dosłyszalnie. Kiwnęła mu lekko –i szła naprzód dalej. Podążył za nią.

Oddychał z przerwami. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Gemma minęła altankę, skręciła na prawo, minęła niewielki, płaski basen, w którym pluskał się starannie wróbel, i doszedłszy do klombu wysokich bzów opadła na ławkę.

Miejsce było zaciszne i zasłonięte. Sanin usiadł przy niej.

Upłynęła minuta i ani ona, ani on nie przemówili słowem: ona nie patrzyła nawet na niego i on patrzył nie na jej twarz, ale na jej złożone ręce, w których trzymała małą parasolkę. O czym mieli mówić, cóż można było powiedzieć takiego, co by znaczeniem samym równało się już z samą ich obecnością tutaj, razem, sam na sam, tak wcześnie, tak blisko.

– Pani... Pani się na mnie nie gniewa? – rzekł wreszcie Sanin.

Trudno było powiedzieć coś bardziej głupiego... sam to odczuwał... Ale przynajmniej przerwał milczenie.

– Ja? – odpowiedziała. Za co? Nie.

– I pani mi wierzy? – ciągnął dalej.

– Temu co pan napisał?

– Tak.

Gemma opuściła głowę i nic nie powiedziała. Parasolka wysliznęła jej się z rąk. Chwyciła ją szybko, zanim upadła na ścieżkę.

– Ach, niech mi pani wierzy, niech pani wierzy temu co napisałem – zawołał Sanin; cała jego nieśmiałość nagle znikła, zaczął mówić gorąco – jeśli istnieje prawda na świecie, święta, niewątpliwa prawda, to jest nią to, że panią kocham. Gemmo, kocham panią gorąco!

Rzuciła na niego ukośne, nagłe spojrzenie – i znów omal nie wypuściła parasolki z ręki.

– Niech mi pani wierzy – powtarzał. Błagał ją, wyciągał do niej ręce i nie śmiał jej dotknąć. – co pani chce, abym uczynił... żeby panią przekonać?

Znów spojrzała na niego.

– Niech mi pan powie, monsieur Dimitri – zaczęła – przedwczoraj, kiedy pan przyszedł namawiać mnie – więc wtedy pan nie wiedział... nie czuł...

– Czuję – podchwycił Sanin – ale nie wiedziałem. Pokochałem panią już od tej chwili, kiedy panią zobaczyłem, ale nie od razu uświadomiłem sobie, czym się pani dla mnie stała! Przy tym dowiedziałem się, że pani jest zaręczona... Co się zaś tyczy polecenia mamusi pani, po pierwsze, jak mogłem jej odmówić? A po drugie, zdaje mi się, tak pani to zlecenie przekazałem, że pani mogła się domyślić.

Rozległy się ciężkie kroki i dość krzepki pan z sakwojażem na ramieniu, widocznie cudzoziemiec, wysunął się zza klombu i bez-ceremonialnością przejezdnego obrzucił wzrokiem siedzącą na ławce parkę – kaszlnął głośno i poszedł dalej.

– Mamusia pani – zaczął Sanin, jak tylko ucichł stuk ciężkich nóg – powiedziała mi, że pani odmowa wywoła skandal (Gemma nachmurzyła się nieco) – że po części ja sam dałem powód do niepoehlebnych wniosków, że... zatem... na mnie spoczywa obowiązek przekonania pani, żeby pani nie cofała słowa danego narzeczonemu, p. Klüberowi...

– Monsieur Dimitri – rzekła Gemma i przesunęła ręką po włosach od strony Sanina •– niech pan z łaski swojej nie nazywa p. Klübera moim narzeczonym. Nie zostanę nigdy jego żoną. Zerwałam z nim.

– Zerwała pani z nim? Kiedy?

– Wczoraj.

– Z nim?

– Z nim. U nas w domu. Przychodził do nas.

– Gemmo! A więc pani mnie kocha?

Odwróciła się od niego.

– Czyżbym inaczej... przyszła tutaj? – szepnęła i obie jej ręce obsunęły się na ławkę.

Sanin chwycił te bezsilne, dłońmi ku górze leżące ręce – przycisnął je do swych oczu, do swych ust. Oto właśnie podniosła się ta zasłona, o której majaczyło mu się wczoraj! Oto szczęście, oto jego promienne oblicze!

Podniósł głowę i spojrzał na Gemmę – prosto i śmiało. Ona też popatrzyła na niego – nieco z góry na dół. Na pół otwarte oczy jej ledwie migotały zroszone lekkimi łzami szczęścia. A

twarz się nie uśmiechała... nie! Śmiała się rozkosznym, choć bezdźwięcznym śmiechem.

Chciał przycisnąć ją ku swym piersiom, lecz uchyliła się i nie przestając śmiać się tym samym bezdźwięcznym śmiechem, przecząco kręciła głową. „Poczekaj”, zdawały się mówić jej szczęśliwe oczy.

– O Gemmo! – zawołał Sanin – czyż mógłbym myśleć, że ty – serce zadrżało w nim jak struna, gdy usta jego po raz pierwszy wymówiły owo „ty” – że ty mnie pokochasz?

– Sama nie spodziewałam się tego – rzekła cicho Gemma.

– Czy mogłem myśleć – ciągnął Sanin – czyż mogłem myśleć zbliżając się do Frankfurtu, gdzie zamierzałem zatrzymać się tylko kilka godzin, że tutaj znajdę szczęście całego mego życia.

– Całego życia? Naprawdę? – spytała Gemma.

– Całego życia, na wieki i na zawsze! – krzyknął Sanin porywczo.

Łopata ogrodnika zaskrobała nagle w odległości dwóch kroków od ławki, na której siedzieli.

– Chodźmy do domu – szepnęła Gemma – chodźmy razem – chcesz?

Gdyby powiedziała mu w tej chwili: „Rzuć się do morza – c h c e s z ?” nie domówiłaby ostatniego wyrazu, a już leciałby na łeb na szyję w przepaść.

Wyszli razem z ogrodu i skierowali się ku domowi nie przez ulice miejskie, lecz przedmieściem.

XXVIII

Sanin szedł to obok Gemmy, to nieco z tyłu za nią, nie spuszczał z niej oczu i nie przestawał się uśmiechać. A ona jakby się śpieszyła, jak gdyby się zatrzymywała. Prawdę powiedziawszy, oboje – on blady, ona różowa ze wzruszenia – szli jak omroczeni. To, co przed kilkoma chwilami uczynili razem – to oddanie duszy swej drugiej duszy – było tak mocne i nowe, i straszne, tak nagle wszystko w ich życiu przesunęło się i zmieniło, że oboje nie mogli się opanować, odczuwali tylko wicher, który ich porwał, wicher podobny do tej mocnej wichury, co omal nie rzuciła ich sobie w objęcia. Sanin szedł i czuł, że nawet inaczej patrzy na Gemmę; zauważył kilka osobliwości w jej chodzie, w jej ruchach – i, mój Boże, jak mu one były nieskończenie drogie i miłe! I ona czuła, że on t a k na nią patrzy.

Sanin i Gemma pokochali po raz pierwszy, działały się z nimi wszystkie cuda pierwszej miłości. Pierwsza miłość – to rewolucja: jednostajnie prawidłowy kształt ułożonego życia rozbity i zniszczony w jednej chwili, młodość stoi na barykadzie, wysoko powiewa jej płomienny sztandar – i bez względu na to, co tam czeka w przyszłości – śmierć czy nowe życie – wszystko wita z uniesieniem.

– Cóż to? Czyżby nasz staruszek? – powiedział Sanin wskazując palcem owiniętą w płaszcz postać, która przemknęła spiesznie, jakby starając się, by jej nie zauważono. W nadmiarze błogości czuł potrzebę mówienia z Gemmą nie o miłości – to była rzecz postanowiona i święta – ale o czymś innym.

– Tak, to Pantaleone – odparła wesoło Gemma. – Na pewno wyszedł z domu w ślad za mną; już wczoraj wieczór obserwował wszystkie moje kroki... Domyśla się!

– Domyśla się! – powtórzył Sanin zachwycony. Cóż by mogła rzec Gemma, co by go nie wprawiło w zachwyty?

Potem poprosił ją, aby opowiedziała szczegółowo o wszystkim, co zaszło wczoraj.

I Gemma od razu zaczęła opowiadać, śpiesząc się, płacząc, uśmiechając, wzdychając krótkimi westchnieniami i wymieniając z Saninem krótkie, jasne spojrzenia. Opowiedziała mu, jak podczas przedwczorajszej rozmowy mama wciąż domagała się od niej, od Gemmy, czegoś określonego; jak pozbyła się Frau Lenore obietnicą oznajmienia swej decyzji w ciągu doby; jak wyprosiła sobie ten termin – i jakie to było trudne; jak zgoła nieoczekiwanie

pojawił się p. Klüber, bardziej jeszcze wymuskany i nakrochmalony niż zazwyczaj; jak wyraził swe oburzenie z powodu łobuzersko-niewybacznego i dla niego, Klübera, niezmiernie obraźliwego – tak się właśnie wyraził – wybryku nieznanego Rosjanina – miał na myśli twój pojedynek – i jak zażądał, byśmy natychmiast wypowiedzieli tobie dom. „Ponieważ, dodał – i w tym miejscu Gemma przedrzeźniała lekko jego głos i maniery – to rzuca cię na mój honor; tak jak gdybym nie potrafił sam wystąpić w obronie swej narzeczonej, gdybym uznał to za niezbędne i pożyteczne! Jutro cały Frankfurt dowie się, że obcy walczył z oficerem z powodu mojej narzeczonej – do czego to podobne? To plami mój honor!” Mamusia zgodziła się z nim, wyobraź sobie, ale wtedy oświadczyłam mu, że zbytecznie niepokoi się o swój honor i o swoją osobę, niepotrzebnie obraża go to, co mówią o jego narzeczonej – ponieważ narzeczoną jego więcej nie jestem i nigdy jego żoną nie będę. Przyznam się, że przed ostatecznym zerwaniem chciałam wprawdzie porozmawiać z panem... z tobą, ale on przyszedł i nie mogłam się powstrzymać. Mamusia zaczęła nawet krzyczeć przestraszona, a ja wyszłam do drugiego pokoju i przyniosłam mu pierścionek – zauważyłeś na pewno, zdjęłam ten pierścionek już przed dwoma dniami – i oddałam mu go. Strasznie się obraził, ale ponieważ jest okropnie próżny i nadęty, nie wszczynał dłuższej rozmowy – wyszedł. Ma się rozumieć musiałam znieść wiele od mamy i bardzo mnie bolało, że ją zmartwiłam – myślałam, że może się trochę pośpieszyłam, ale przecież miałam twoją kartkę – a ja i bez tego już wiedziałam.

– Że cię kocham – podchwycił Sanin.

– Tak... żeś mnie pokochał.

Tak mówiła Gemma płacząc się i uśmiechając i za każdym razem, gdy ktoś szedł naprzeciw lub przechodził obok, ściszała głos lub milkła zupełnie. A Sanin słuchał zachwycony rozkoszując się samym dźwiękiem jej głosu, tak jak poprzedniego dnia zachwycał się charakterem jej pisma.

– Mamusia jest bardzo zmartwiona – zaczęła znów Gemma i słowa jej biegły szybko, szybko jedno za drugim – w żaden sposób nie chce zrozumieć, że mogłam nabrać wstrętu do p. Klübera i że miałam wyjść za niego nie z miłości, lecz ze względu na jego usilne prośby... Podejrzewa pana, ciebie, to znaczy mówiąc po prostu, jest pewna, że pokochałam ciebie – i to jest dla niej tym boleśniesz, że jeszcze przedwczoraj nic podobnego nie przychodziło jej do głowy – i nawet poleciła ci, byś mnie przekonał... A dziwne to było zlecenie, nieprawdaż? Teraz określa cię... określa pana jako człowieka chytrego, fałszywego, mówi, że pan nadużył jej zaufania i przepowiada mi, że pan mnie oszuka...

– Ależ Gemmo – zawołał Sanin – czyś jej nic nie mówiła...

– Nie mówiłam nic! Jakżesz miałam prawo nie porozumiewały się z panem?

Sanin załamał rękę.

– Gemmo, spodziewam się, że przynajmniej teraz przyznasz się jej do wszystkiego, zaprowadzisz mnie do niej... Chcę udowodnić twojej mamie, że nie jestem oszustem!

Piersi Sanina rozpięła wprost przyływ wspaniałych i płomiennych uczuć.

Gemma spojrzała na niego uważnie. – Pan naprawdę chce iść teraz ze mną do mamy? Do mamusi, która zapewnia, że... że to wszystko między nami jest niemożliwe – i nigdy się nie stanie?

Było jedno słowo, którego Gemma nie miała odwagi wymówić... Palilo jej wargi; tym chętniej powiedział je Sanin.

– Ożenić się z tobą. Gemmo, zostać twoim mężem – nie znam większej rozkoszy!

Jego miłość, wspaniałomyślność i stanowczość nie miały już żadnych granic.

Słyszając te słowa. Gemma, która zatrzymała się na chwilę, poszła jeszcze szybciej... Jakby pragnęła uciec od tego już nazbyt wielkiego i nieoczekiwanego szczęścia!

Ale nagle nogi ugięły się pod nią. O kilka kroków od nich, zza węgła zaułka, ukazał się w nowym kapeluszu i nowej bekieszy p. Klüber – prosty jak strzała, ufryzowany jak pudel.

Zobaczył Gemmę, zobaczył Sanina, parsknął jakoś wewnętrznie i wyprostowawszy swą giętką figurę, elegancko poszedł na spotkanie. Sanin aż się skręcił, ale spojrzawszy na twarz Klübera, której właściciel usiłował, o ile to potrafił, nadać wyraz pogardliwego zdumienia, a nawet współczucia – spojrzawszy na tę rumianą, pospolitą twarz, uczył nagle przyplw gniewu i poszedł naprzód.

Gemma chwyciła go za rękę i podawszy mu ze stanowczym spokojem ramię popatrzyła prosto w twarz swemu byłemu narzeczonemu... Ten zmrużył oczy, najeżył się, skręcił w bok i mruknawszy przez zęby: „Zwykły koniec piosenki!” (*das alte Ende vom Liede!*) oddalił się tym samym eleganckim, lekko podskakującym krokiem.

– Co ten hultaj powiedział? – spytał Sanin i chciał rzucić się za Klüberem, ale Gemma powstrzymała go i poszła z nim dalej już nie wyjmując ręki spod jego ramienia.

Naprzeciw ukazała się cukiernia Rosellich. Gemma zatrzymała się jeszcze.

– Dimitri, monsieur Dimitri – rzekła – jeszcześmy tu nie weszli, jeszcześmy nie widzieli mamy... Jeśli pan chce się jeszcze zastanowić... Dimitri, pan jest jeszcze wolny!

W odpowiedzi Sanin przycisnął mocno jej rękę do swojej piersi i pociągnął dziewczynę naprzód.

– Mamo – powiedziała Gemma, wchodząc z Saninem do pokoju, w którym siedziała Frau Lenore – przyprowadziłam prawdziwego...

XXIX

Gdyby Gemma oznajmiła, że przyprowadziła ze sobą cholere albo śmierć, Frau Lenore nie mogłaby chyba z większą rozpaczą przyjąć tej wiadomości. Usiadła zaraz w kącie, twarzą do ściany, i zalała się łzami, rozszlochała się, jak szlochać umie chyba tylko chłopka rosyjska nad grobem męża czy syna. Gemma z początku tak się stropiła, że nie podeszła nawet do matki, lecz zatrzymała się jak posąg na środku pokoju; a Sanin nie wiedział zupełnie, co począć – chyba rozplakać się także! Całą godzinę ciągnął się ten płacz nieutulony: całą godzinę. Pantaleone uznał za słuszne zamknąć drzwi zewnętrzne do cukierni, aby nie wszedł ktoś obcy – dobrze, że było wcześniej. Starzec sam był zdumiony i w każdym razie nie pochwalał pośpiechu, z jakim Gemma i Sanin powzięli swą decyzję; a zresztą nie odważał się potępiać ich i gotów był okazać im w razie potrzeby pomoc; nazbyt bowiem nienawidził Klübera! Emil uważał się za pośrednika między przyjacielem a siostrą – i prawie był dumny z tego, że się wszystko tak doskonale udało! W żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego Frau Lenore tak rozpacza, i w duchu przyszedł do wniosku, że nawet najlepsze kobiety cierpią na brak rozsądku! Sanin czuł się najgorzej. Frau Lenore wrzeszczała i machała rękoma, ilekroć zbliżał się do niej – i na próżno usiłował kilka razy zawołać z odległości: „Proszę panią o rękę córki!” Frau Lenore zła była na siebie głównie za to, że „jak mogła być taka ślepa i nic nie widzieć!” „Gdyby żył mój Giovan’ Battista – powtarzała przez łzy – nigdy by do tego nie doszło!” „Boże, co takiego? – myślał Sanin – przecież to w końcu głupie!” Nie śmiał spojrzeć na Gemmę ani ta nie miała odwagi zwrócić nań oczu. Ograniczyła się do tego, że krzątała się cierpliwie przy matce, która z początku ją odtrącała...

Wreszcie powoli, powoli burza ucichła. Frau Lenore przestała płakać, pozwoliła Gemmie wyprowadzić się z kąta, do którego się zapchała, usadowić się na krześle przy oknie i dać sobie do wypicia wody z fleur d’orange’em; Saninowi pozwoliła – o nie! nie zbliżyć się – ale przynajmniej zostać w pokoju (przedtem żądała wciąż, że by sobie poszedł) – i nie przerywała, gdy mówił. Sanin skorzystał natychmiast z ciszy po burzy i wykazał nadzwyczajne zdolności krasomówcze: nie potrafiłby chyba tak żarliwie i tak przekonywająco streścić swych zamiarów i uczuć przed samą Gemmą. Uczucia te były najszczerze, zamiary najczystsze – jak Almavivy w „Cyruliku Sewilskim”. Nie ukrywał ani przed Frau Lenore, ani przed sobą pewnych trudności, z którymi wiązały się jego zamiary; ale

trudności te były tylko pozorne. Co prawda jest cudzoziemcem, poznano go niedawno, nie można powiedzieć nic określonego o jego osobie, o jego środkach; lecz gotów jest dostarczyć wszelkich możliwych dowodów, że jest człowiekiem porządnym i nie ubogim; powoła się na niewątpliwe świadectwa swych rodaków! Ma nadzieję, że Gemma będzie z nim szczęśliwa i że potrafi osłodzić jej rozłąkę z krewnymi!... Wzmianka o rozłące – już sam ten wyraz „rozłąka” – omal nie popsuł wszystkiego... Frau Lenore zadygotała i zaczęła się rzucać... Sanin zauważył z pośpiechem, że rozłąka będzie tylko chwilowa; że wreszcie może nie być jej wcale!

Wymowa Sanina nie poszła na marne. Frau Lenore zaczęła patrzeć na niego co prawda z goryczą i wyrzutem, ale już bez poprzedniego wstrętu i gniewu; potem pozwoliła mu podejść i nawet usiąść przy stole (Gemma siedziała z drugiej strony); potem zaczęła mu robić wyrzuty – nie tylko już spojrzeniem, lecz słowami, co do pewnego stopnia świadczyło, że serce jej zmiękło; zaczęła się skarżyć i skargi jej stawały się coraz cichsze i łagodniejsze; przerywały je pytania zwracane to do córki, to do Sanina; potem pozwoliła mu ująć swą rękę i nie oderwał jej od razu... potem znowu zaczęła płakać, ale już zgoła innymi łzami... Potem uśmiechnęła się smutnie i zaczęła żałować, ale już w innym sensie, że Giovan' Battista jest nieobecny... Upłynęła jeszcze chwila i oboje przestępcy – Sanin i Gemma – klęczeli już u jej stóp, a ona kładła im po kolei swe ręce na głowy; minęła chwila – i już obejmowali ją i całowali, i Emil z błyszczącym z uniesienia wzrokiem wbiegł do pokoju i rzucił się również ku stłoczonej grupie. Pantaloneon zajrzał do pokoju, uśmiechnął się i zachmurzył jednocześnie, poszedł do cukierni i otworzył drzwi na zewnątrz.

XXX

Przejście od rozpacz do smutku, a od smutku do „cichej rezygnacji” dokonało się we Frau Lenore dość szybko, lecz i ta cicha rezygnacja nie omieszkała przejść w tajemną radość, którą jednak na wszelki sposób starała się dla przyzwoitości ukryć i powstrzymać.

Sanin od pierwszego dnia znajomości przypadł jej do serca; pogodziwszy się z myślą, że będzie jej zięciem, nie znajdowała już w nim nic specjalnie nieprzyjemnego, choć uważała za obowiązek zachować na twarzy wyraz obrażonej... a raczej zatroskanej. Przy tym wszystko, co w ostatnich dniach zaszło, było takie niezwykle... Jedno po drugim... Jako kobieta praktyczna i jako matka Frau Lenore uważała także za swój obowiązek poddać Sanina rozmaitym pytaniom i Sanin, który udając się rano na schadzkę z Gemmą, nie myślał nawet, że się z nią ożeni – co prawda nie myślał wtedy o niczym, dawał się tylko pociągać namiętności – Sanin z całą gotowością, a rzec można nawet zapałem, wszedł w swoją rolę, w rolę narzeczonego, i na wszystkie pytania odpowiadał dokładnie, szczegółowo i chętnie.

Upewniwszy się, że Sanin jest z urodzenia prawdziwym szlachcicem i nawet zdziwiwszy się nieco, że nie jest księciem, Frau Lenore przybrała wyraz powagi i – uprzedziła z góry, że będzie z nim bezceremonialnie szczerą, gdyż zmusza ją do tego obowiązek matki! – na co Sanin odparł, że nie oczekiwał od niej nic innego i sam nalega, żeby go nie oszczędzała!

Wtedy Frau Lenore zauważyła, że p. Klüber (wymawiając to nazwisko westchnęła lekko, ścisnęła usta i zająknęła się), że p. Klüber, były naręczony Gemmy, już teraz miał osiem tysięcy guldenów dochodu i z każdym rokiem suma ta będzie szybko wzrastać, a jakież jest dochód p. Sanina?

– Osem tysięcy guldenów – powtórzył przeciągle Sanin – to na nasze pieniądze koło piętnastu tysięcy rubli w asygnatach... Dochód mój jest znacznie mniejszy. Mam niewielki majątek w tulskiej guberni... Przy dobrze prowadzonej gospodarce może on dać i bezwzględnie dać musi pięć do sześciu tysięcy... Jeśli wstąpię na służbę, mogę łatwo otrzymać dwa tysiące wynagrodzenia.

– Na służbę w Rosji? – zawołała Frau Lenore. – W takim razie muszę się rozstać z

Gemma?

– Mógłbym pracować w dyplomacji – podchwycił Sanin – mam pewne stosunki... Wtedy służy się za granicą. A oto co mógłbym zrobić jeszcze i to byłoby najlepsze: sprzedać majątek i otrzymany kapitał zużyć na urządzenie jakiegoś korzystnego przedsiębiorstwa, na przykład na rozwinięcie pani cukierni. – Sanin odczuł nawet, że mówi coś niedorzecznego, ale opanowała nim niepojęta odwaga! Wystarczyło mu spojrzeć na Gemmę, która odkąd rozmowa wkroczyła na tematy „praktyczne”, co chwila wstawiała, chodziła po pokoju, znowu siadała – wystarczyło mu na nią spojrzeć i niktęły wszystkie przeszkody, i już gotów był urządzić wszystko, w tej chwili, jak najlepiej, byle tylko ona była spokojna.

– Pan Klüber również chciał mi dać pewną sumę pieniędzy na rozwinięcie cukierni – rzekła po chwili wahania Frau Lenore.

– Mamusiu! Na Boga! Mamusiu! – zawołała Gemma po włosku.

– O tych rzeczach, moja córko, trzeba mówić zawczasu – odparła jej w tym samym języku Frau Lenore.

Zwróciła się do Sanina i jęła go rozpytywać, jakie jest prawo małżeńskie w Rosji, czy nie ma jak w Prusach – przeszkód przy zawieraniu ślubów z katoliczkami. (W owym czasie, w roku czterdziestym, całe Niemcy pamiętały jeszcze zatarg rządu pruskiego z arcybiskupem kolońskim z powodu małżeństw mieszanych.) Gdy zaś Frau Lenore usłyszała, że z chwilą poślubienia szlachcica rosyjskiego jej córka zostanie również szlachcianką, wyraziła pewne zadowolenie. – Ale przecież pan musi najpierw pojechać do Rosji?

– Po co?

– Jak to? Żeby otrzymać pozwolenie od cesarza. Sanin wytłumaczył jej, że to niepotrzebne... Ale, że kto wie, może naprawdę będzie musiał przed ślubem wyjechać na krótko do Rosji (gdy mówił te słowa, serce ścisnęło mu się boleśnie, Gemma, która zrozumiała to – poczerwieniała i zamyśliła się) – i że postara się wykorzystać swój pobyt w ojczyźnie i sprzedać majątek... w każdym bądź razie przywiezie stamtąd potrzebne pieniądze.

– Prosiłabym także, aby mi pan przywiózł stamtąd dobrej archańskiej wełny na mantylę – powiedziała Frau Lenore. – Podobno tam prześliczna i niezwykle tania!

– Na pewno, z największą przyjemnością przywiozę i pani – i Gemmie! – zawołał Sanin.

– A dla mnie wyszywaną srebrem czapkę z safianu – wmieszał się Emil, wsuwając głowę z sąsiedniego pokoju.

– Dobrze – przywiozę i tobie... i dla Pantaleone pantofle.

– Ale po co to? Po co? – zauważyła Frau Lenore. – Mówimy teraz o rzeczach poważnych. A, jeszcze jedno – dodała praktyczna niewiasta. – Pan mówi: sprzedać majątek. Ale jak pan to zrobi? Więc pan sprzedaje go razem z chłopami?

Sanina jakby ukłuło w boku. Przypomniał sobie, że w rozmowie z p. Roselli i jej córką na temat pańszczyzny, która, jak mówił, oburzała go do głębi, zapewnił ją niejednokrotnie, że nigdy i za nic nie sprzedałby swych chłopów, gdyż podobną sprzedaż uważa za rzecz niemoralną.

– Postaram się sprzedać swój majątek człowiekowi, którego będę znał z dobrej strony – rzekł nie bez zająknienia – albo może chłopci zechcą sami się wykupić.

– To najlepiej – zgodziła się Frau Lenore. – Bo jakżeż to Sprzedawać żywych ludzi... – *Barbari!* – mruknął Pantaleone, który pokazał się we drzwiach za Emilem, wzdrygnął się i zniknął.

„Żle” – pomyślał sobie Sanin i ukradkiem spojrzął na Gemmę. Zdawała się ostatnich słów nie słyszeć. „No, nic nie szkodzi!” – pomyślał znowu.

W ten sposób rozmowa na tematy praktyczne ciągnęła się do samego obiadu. Pod koniec Frau Lenore dała się całkiem ugłaskać i nazywała już Sanina Dimitrim, groziła mu pieszczotliwie palcem i obiecała się zemścić za jego intrygi. Rozpytywała go długo i szczegółowo o rodzinę, ponieważ „to takie bardzo ważne”, żądała nawet, żeby opisał

ceremoniał ślubny według obrządku kościoła rosyjskiego – i z góry zachwycała się Gemmą w białej sukni i złotej koronie na głowie.

– Przecież jest piękną jak królewna – rzekła z dumą macierzyńską – nawet nie ma na świecie takiej królewny.

– Nie ma drugiej takiej jak Gemma! – podchwycił Sanin.

– Tak, dlatego właśnie nazywa się Gemmą! – (Wiadomo, że *gemma* po włosku znaczy: drogocenny kamień).

Gemma zaczęła obcałowywać matkę... wyglądało, że dopiero teraz odetchnęła swobodnie i dręczący ciężar spadł jej z serca.

A Sanin uczuł się nagle do tego stopnia szczęśliwy, ogarnęła go taka dziecinna radość na myśl, że spełniły się przecież marzenia, którym oddawał się niedawno w tych samych pokojach; ogarnęło nim takie uniesienie, że natychmiast udał się do cukierni, zapragnął koniecznie za wszelką cenę stanąć za ladą jak przed kilku dniami... „Mam przecież do tego zupełnie prawo! Jestem przecież członkiem rodziny!”

I rzeczywiście stanął za ladą. I rzeczywiście zabawił się w kupca, to znaczy sprzedał dwom dziewczynkom funt cukierków, zamiast którego dał im dwa, wzięwszy od nich tylko połowę ceny.

Przy obiedzie siedział oficjalnie, jako narzeczony, obok Gemmy. Frau Lenore kontynuowała swoje praktyczne wywody. Emil śmiał się co chwila i męczył Sanina, żeby go zabrał ze sobą do Rosji. Postanowiono, że Sanin wyjedzie za dwa tygodnie. Jeden tylko Pantaleone miał wygląd nieco ponury, tak że go nawet Frau Lenore strofowała. „A to ci dopiero sekundant!” Pantaleone spojrzał spode łba.

Gemma prawie przez cały czas milczała, ale nigdy jej twarz nie była piękniejsza i jaśniejsza. Po obiedzie wezwała Sanina na chwilę do ogrodu i zatrzymawszy się przy tej samej ławce, przy której przebierała przed trzema dniami wiśnie, powiedziała:

– Dymitrze, nie gniewaj się na mnie, ale chcę ci jeszcze raz przypomnieć, że nie powinieneś uważać się za narzeczonego... Nie pozwolił jej dokończyć... Gemma odsunęła swoją twarz.

– A co się tyczy tego, o czym wspomniała mama – pamiętasz? – różnicy naszej wiary, patrz!

Chwyciła krzyżyk z granatów, który na cieniutkim sznureczku wisiał na jej szyi, pociągnęła mocno, urwała sznurek – i podała mu krzyżyk.

– Skoro jestem twoja, to i wiara twoja – moja wiara!

Oczy Sanina były jeszcze wilgotne, gdy wrócił z Gemmą do domu.

Do wieczora wszystko weszło na zwykłe tory. Grano nawet w *tresette*.

XXXI

Nazajutrz Sanin obudził się bardzo wcześnie. Znajdował się na najwyższym szczeblu pomyślności ludzkiej, nie to jednak przeszkadzało mu spać, niepokoiło go zagadnienie życiowe, zagadnienie ostateczne: w jaki sposób najprędzej i najkorzystniej sprzedać majątek. W głowie jego krzyżowały się najrozmaitsze plany, ale nic się jeszcze dotychczas nie wyjaśniło. Wyszedł więc z domu, żeby się przewietrzyć, odświeżyć. chciał stanąć przed Gemmą z gotowym już projektem – nie inaczej.

Któż to idzie przed nim, kołysząc się lekko i utykając? Postać dość ciężka, o grubych nogach, przyzwoicie zresztą ubrana. Skąd zna ten kark porośnięty zwichrzonymi jasnobłond włosami, tę głowę jakby nasadzoną wprost na ramiona, te miękkie tłuste plecy, te opuchłe, obwisłe ręce? Czyżby to był Połozow, jego dawny kolega szkolny, którego już od pięciu lat stracił z oczu? Sanin dogonił idącą przed nim postać, odwrócił się... Szeroka, żółtawa twarz, małe, świńskie oczy z białymi rzęsami i brwiami, krótki, spłaszczony nos, grube jakby

sklejone wargi, okrągły pozbawiony włosów podbródek i ten cały kwaśny, ospały i nie dowierzający wyraz twarzy – ależ to on, oczywiście on, to Hipolit Połozow!

„Czyżby znowu działała moja szczęśliwa gwiazda?” – przemknęło w myślach Sanina.

– Połozow! Hipolicie Sidorowiczu! To ty?

Postać zatrzymała się, podniosła swe maleńkie oczy, poczekała trochę i rozkleiwszy wreszcie wargi rzekła chrypliwym falsetem:

– Dymitr Sanin?

– Tak, we własnej osobie! – zawołał Sanin i uściśnił jedną z rąk Połozowa; obleczone w ciasne, giemzowe, szaropopielate rękawiczki zwiślały wciąż bez życia wzdłuż jego wypukłych ud. – Dawno tu! Skąd przyjechałeś? Gdzieś się zatrzymał?

– Przyjechałem wczoraj z Wiesbadenu – odparł nie śpiesząc się Połozow – po sprawunki dla żony i dziś jeszcze wracam do Wiesbadenu.

– Ach prawda! Przecież jesteś żonaty – i podobno masz taką piękną żonę!

Połozow odwrócił oczy. – Tak mówią.

Sanin roześmiał się.

– Widzę, że wciąż jesteś taki sam flegmatyczny, jakim byłeś w szkole.

– Po co się mam zmieniać?

– I mówią – dodał Sanin akcentując specjalnie wyraz „mówią” – że twoja żona jest bardzo bogata.

– Mówią i to.

– Czyżbyś sam, Hipolicie Sidorowiczu, o tym nie wiedział?

– Ja się, bracie, Dymitrze... Pawłowiczu? – tak, Pawłowiczu! Ja się do spraw kobiecych nie mieszam.

– Nie mieszasz się? Do żadnych spraw?

Połozow znowu odwrócił oczy.

– Do żadnych, bracie. – Ona – sobie. No i ja sobie.

– Dokąd teraz idziesz? – spytał Sanin.

– Teraz nigdzie nie idę, stoję na ulicy i rozmawiam z tobą, a gdy skończymy, pójdę do siebie do hotelu – i zjem śniadanie.

– Chcesz, bym ci towarzyszył?

– To znaczy – masz na myśli śniadanie?

– Tak.

– Proszę bardzo, jeść we dwójkę daleko weselej. Ty nie jesteś gadułą?

– Nie sądzę.

– No, to dobrze.

Połozow ruszył naprzód. Sanin ruszył obok niego. Myślał sobie wargi Połozowa sklepiły się znowu, sapał i kołysał się milcząc – myślał sobie: „jak się takiemu bałwanowi udało złapać piękną i bogatą żonę? Sam nie jest ani bogaty, ani wytworny, ani mądry;

w szkole znany był jako chłopiec apatyczny i tępy, jako śpioch i obzartuch – i przezywano go „niuńka”. Cudeńka!

„Ale jeżeli żona jego jest bardzo bogata – powiadają, jest córką jakiegoś dzierżawcy – może by kupiła mój majątek? Chociaż on mówi, że się do żadnych spraw nie wtrąca, ale przecież temu nie można wierzyć! Zresztą cenę naznaczę przystępną, dogodną! Dlaczegooby nie spróbować. Może to naprawdę działa wciąż moja gwiazda... Rzecz postanowiona! Spróbuję!”

Połozow zaprowadził Sanina do jednego z najlepszych hoteli frankfurckich, w którym zajmował, oczywiście najlepszy numer. Na stołach i krzesłach pełno było tekturowych pudeł, pudełek, paczek... – Wszystko, bracie, sprawunki dla Marii Nikołajewny! – (Tak nazywała się żona Hipolita Sidorycza). Połozow opuścił się na fotel, jęknął: – Ależ upał! – i rozwiązał krawat. Potem zadzwonił na starszego kelnera i zamówił u niego obfite śniadanie. – A za

godzinę, żeby była gotowa karetą! Punktualnie za godzinę!

Starszy kelner pochylił się z unізieniem i znikł jak niewolnik.

Położow rozpiął kamizelkę. Już z tego, jak podnosił brwi, sapał i marszczył nos, można było widzieć, że rozmowa będzie dla niego bardzo uciążliwa i że nie bez pewnego niepokoju oczekiwał, czy Sanin zmusi go do obracania językiem, czy też sam weźmie na siebie trud prowadzenia rozmowy.

Sanin zrozumiał nastrój przyjaciela i dlatego nie obarczał go pytaniami; ograniczył się tylko do rzeczy najniezbędniejszej; dowiedział się, że Położow przez dwa lata pełnił służbę wojskową (ułań! dopiero to musiał ładnie wyglądać w króciutkim mundurze), i że ożenił się przed trzema laty i oto już drugi rok przebywa z żoną za granicą, że żona „teraz leczy się na coś tam w Wiesbadenie”, a potem udaje się do Paryża. Sanin ze swej strony nie rozwodził się zbytnio o swej przeszłości, o swych planach; od razu przystąpił do rzeczy najważniejszej – to znaczy zaczął mówić o zamiarze sprzedania majątku.

Położow słuchał w milczeniu, od czasu do czasu tylko spoglądając w stronę drzwi, skąd miało ukazać się śniadanie. Śniadanie ukazało się wreszcie. Starszy kelner w towarzystwie dwóch innych służących wniósł kilka półmisek pod srebrnymi nakrywkami.

– To majątek w guberni tulskiej? – rzekł Położow siadając do stołu i wtykając serwetkę za kołnierz koszuli.

– W tulskiej.

– W powiecie jefremowskim... Znam.

– Znasz moją Aleksówkę? – spytał Sanin siadając również do stołu.

– Znam, jakżeż. – Położow wepchnął sobie w usta trochę jajecznicy z truflami. – Maria Nikolajewna, żona moja, ma w sąsiedztwie majątek... Kelner! Proszę odkorkować tę butelkę! Ziemia przyzwoita – tylko chłopci u ciebie wyrabiali las. A dlaczego sprzedajesz?

– Pieniądzy, bracie, potrzeba. Sprzedałbym tanio. Ot, ty byś mógł kupić... Przydałby ci się.

Położow przelknął szklanekę wina, wytarł usta serwetką i znowu zaczął żuć – powoli i głośno.

– Tak – powiedział wreszcie... – Ja majątków nie kupuję; nie mam pieniędzy. Przysuń no masło. Chybaby żona kupiła. Porozmawiaj z nią... Jeśli nie zażądasz za dużo – ona tym nie gardzi... Ależ z tych Niemców osły! Nie umieją gotować ryb. Cóż, zdawałoby się łatwiejszego? A jeszcze rozprawiają: „trzeba Vaterland zjednoczyć”. Kelner, proszę zabrać to paskudztwo!

– Czyżby twoja żona rozporządzała się gospodarstwem... sama? – spytał Sanin.

– Sama. O, kotlety dobre. Polecam. Powiedziałem ci, Dymitrze Pawłowiczu, że się do żadnych spraw żony nie mieszam – i powtarzam ci to teraz jeszcze raz.

Położow mlaskał dalej.

– Hm... Ale jakże ja, Hipolicie Sidoryczu, mogą z nią porozmawiać?

– A zwyczajnie, Dymitrze Pawłowiczu. Jedź do Wiesbadenu. Stąd niedaleko. Kelner, czy nie macie angielskiej musztardy? Nie? Bydlęta! Tylko nie trać czasu. Pojutrze wyjeżdżamy. Pozwól, że ci naleję kieliszek, dobre wino – nie kwaśna lura.

Twarz Położowa ożywiła się i poczerwieniała; ożywiła się tylko wtedy, kiedy jadł lub pił.

– Doprawdy, nie wiem, jak to zrobić. – mruknął Sanin.

– A co ciebie tak przypiliło?

– Właśnie, właśnie, bracie, przypiliło.

– I dużo potrzebujesz?

– Dużo. Widzisz... jakby ci to powiedzieć! Mam zamiar... ożenić się.

Położow postawił na stole kieliszek, który podniósł do ust.

– Ożenić się? – rzekł ochrypniętym ze zdumienia głosem i złożył swe pulchne ręce na brzuchu. – Tak nagle?

– Tak... wkrótce.

- Narzeczona, ma się rozumieć, w Rosji?
- Nie, nie w Rosji.
- Gdzież więc?
- Tu, we Frankfurcie.
- Któż to taki?
- Niemka, to znaczy, nie – Włoszka. Tutejsza mieszkanka.
- Z kapitałem?
- Bez kapitału.
- Więc widocznie miłość bardzo wielka.
- Jakiś ty śmieszny! Oczywiście, wielka.
- I po to ci potrzebne pieniądze?
- No tak... tak, tak.

Położow przełknął wino, wyplukał sobie usta i wymył ręce, wytarł je starannie serwetką, wyjął i zapalił cygaro. Sanin patrzył na niego w milczeniu.

– Jest tylko jeden sposób – zatrąbił wreszcie Położow odrzucając głowę i wypuszczając kłębuszek dymu. – Udaj się do żony. Jeśli zechce, cały kłopot zdejmie ci z głowy.

– Ale jak ją zobaczę? Mówisz, że pojutrze wyjeżdżacie. Położow zamknął oczy.

– Wiesz, co ci powiem – rzekł wreszcie kręcąc w ustach cygaro i wzdychając. – Idź do domu, zbierz się jak najprędzej i przychodź tutaj. Za godzinę odjeżdżam, karetę mam obszerną – wezmę cię z sobą. Tak będzie najlepiej. A teraz pośpię trochę. Po jedzeniu, bracie, muszę koniecznie trochę pospać. Natura wymaga – i nie walczę z nią. I ty mi nie przeszkadzaj.

Sanin pomyślał, pomyślał – i podniósł nagle głowę; zdecydował się!

– Więc dobrze, zgoda – i dziękuję ci. Będę tu o pół do pierwszej i udamy się razem do Wiesbadenu. Mam nadzieję, że żona twoja się nie rozgniewa.

Ale Położow już spał. Wybełkotał: „nie przeszkadzaj!” zakołysał nogami i zasnął jak niemowlę.

Sanin raz jeszcze obrzucił wzrokiem jego ciężką postać, jego głowę, szyję, wysoko podniesiony, okrągły jak jabłko podbródek – i opuściwszy hotel skierował się prędko w stronę cukierni Rosellich. Należało uprzedzić Gemmę.

XXXII

Zastał ją z matką w cukierni. Frau Lenore, zgiąwszy plecy, mierzyła małym składanym metrem odległość między oknami. Na widok Sanina wyprostowała się i trochę zmieszana powitała go *wesoło*.

– Po wczorajszej naszej rozmowie – zaczęła – wciąż nie daje mi spokoju myśl, jak ulepszyć nasz sklep. Tutaj, myślę, postawię dwie szafki z lustrzanymi półeczkami. Pan wie, teraz są modne. A potem jeszcze...

– Dobrze, dobrze – przerwał jej Sanin: – nad tym wszystkim trzeba będzie się zastanowić... Ale niech pani podejdzie, mam pewną nowinę. Wziął Frau Lenore i Gemmę pod rękę i zaprowadził je do drugiego pokoju. Frau Lenore zaniepokoiła się i wypuściła z ręki miarę. Gemma zaniepokoiła się również przez chwilę, ale spojrzała uważnie na Sanina i uspokoiła się. Twarz jego, co prawda zatroskana, wyrażała jednocześnie pełne śmiałości ożywienie i stanowczość.

Poprosił obie panie, aby usiadły, a sam stanął przed nimi i wymachując rękoma i burząc włosy opowiedział im wszystko o spotkaniu z Położowem, o projektowanym wyjeździe do Wiesbadenu, o możliwości sprzedania majątku. – Niech panie wyobrażą sobie moje szczęście – zawołał wreszcie – sprawa wzięła taki obrót, że może nawet nie będę miał po co wyjeżdżać do Rosji! I ślub może się odbyć znacznie wcześniej, niż przypuszczałem.

– Kiedy pan musi jechać? – spytała Gemma.
– Dziś jeszcze, za godzinę, przyjaciel wynajął karete, on mnie dowiezie.
– Pan do nas napisze?
– Niezwłocznie! Jak tylko rozmówię się z tą panią, zaraz napiszę.
– I pan mówi, że ta pani jest bardzo bogata? – spytała praktycznie Frau Lenore.
– Nadzwyczaj! Jej ojciec był milionerem i zostawił jej wszystko.
– Wszystko jej jednej? No, to pan ma szczęście. Tylko niech pan uważa, niech pan nie sprzeda za tanio! Niech pan będzie rozsądny i stanowczy. Niech pan się nie zagalopuje. Rozumiem, że pan pragnie jak najprędzej zostać mężem Gemmy, ale ostrożność przede wszystkim! Niech pan pamięta: im pan drożej sprzeda majątek, tym więcej zostanie dla was obojga – i dla waszych dzieci.

Gemma odwróciła się i Sanin znów zaczął machać rękoma.

– Na mojej ostrożności może pani polegać, Frau Lenore! Nie będę się z nią nawet targował. Powiem tyle i tyle: da, dobrze, nie da – Bóg z nią.

– Pan ją zna... tę panią – spytała Gemma.

– Nie widziałem jej nigdy na oczy.

– I kiedy pan powróci?

– Jeśli sprawa skończy się na niczym, pojutrze; jeśli zaś pójdzie dobrze, może trzeba będzie zatrzymać się dzień, dwa dłużej. W każdym bądź razie nie stracę ani minuty. Przecież zostawiam tu swoją duszę! Ależ zagadałem się z paniami, a muszę jeszcze przed odjazdem skoczyć do domu. Frau Lenore, niech mi pani da na szczęście swoją rękę. U nas w Rosji zawsze się tak robi.

– Prawą czy lewą?

– Lewą, bliżej serca. Zjawię się pojutrze. Z tarczą lub na tarczy! Coś mi tam mówi, że wrócę jako zwycięzca! Żegnajcie moje dobre, miłe panie...

Objął i pocałował Frau Lenore, a Gemmę poprosił, żeby z nim poszła do swego pokoju – na chwileczkę – gdyż musi jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Chciał się po prostu pożegnać z nią bez świadków. Frau Lenore zrozumiała to – i nie pytała, co to była za sprawa...

Sanin nie był jeszcze dotąd w pokoju Gemmy.

Cały czar miłości, cały jej ogień i zachwyty, i słodki lęk – wybuchły w nim i wtargnęły do duszy, jak tylko przestąpił tajemniczy próg... Obrzucił wszystko rozrzuconym wzrokiem, padł do nóg ukochanej dziewczyny i przycisnął twarz swą do jej kolan.

– Tyś mój – szepnęła – wrócisz prędko?

– Twój... Wrócę – powtarzał zadyszany.

– Będę czekała na ciebie, ukochany!

W kilka chwil potem Sanin już biegł przez ulicę do swego mieszkania. Nie zauważył nawet, że z drzwi cukierni wyskoczył za nim Pantaleone, cały rozwichrzony, i coś krzyczał za nim, i jakby grożąc potrząsał wysoko podniesioną ręką.

Punktualnie trzy na pierwszą Sanin zjawił się u Połozowa. Przed bramą hotelu stała już kareta zaprzęzona w cztery konie. Ujrawszy Sanina, Połozow powiedział tylko: – A, zdecydowałaś się? – i włożywszy czapkę, płaszcz i kalosze, zatkawszy sobie uszy bawełną, chociaż to było lato, wyszedł na ganek. Kelnerzy według jego wskazówek ułożyli wewnątrz karety wszystkie niezliczone sprawunki, obłożyli siedzenie jedwabnymi poduszeczkami, torebkami, węzełkami, postawili w nogach koszyk z żywnością i przywiązali na koźle walizkę. Połozow zapłacił wszystkim szczerze i chociaż z tyłu, ale z szacunkiem podtrzymywany przez usłużnego portiera, wlaź do karety, usiadł, poprawił pięknie wszystko dookoła, wybrał i zapalił cygaro – i dopiero wtedy dał znak Saninowi palcem, niby że „pakuj się i ty!” Sanin ulokował się obok. Połozow nakazała pocztylionowi przez portiera, aby jeśli chce dostać napiwek, jechał dobrze; zadrżały stopnie, trzasnęły drzwiczki, zaturkotały koła i kareta się potoczyła.

XXXIII

Z Frankfurtu do Wiesbadenu jedzie się teraz koleją niecałą godzinę; ekstrapocztą przebywała wówczas tę drogę w trzy godziny. Pięć razy zmieniano konie. Połozow z cygarem w zębach ni to drzemał, ni to się kołysał i mówił bardzo mało; nie spojrzął ani razu do okienka, nie interesował się malowniczymi widokami i nawet oświadczył, że – „przyroda to jego śmierć”! Sanin milczał również i również nie interesował się widokami; nie miał do tego nastroju. Oddał się cały rozmyślaniom, wspomnieniom. Na postojach Połozow płacił akuratnie, sprawdzał czas na zegarku i mniej lub więcej, zależnie od gorliwości, wynagradzał pocztylionów. W połowie drogi wyjął z kosza dwie pomarańcze i wybrawszy lepszą, poczęstował Sanina drugą. Sanin popatrzył uważnie na swego towarzysza i nagle się roześmiał,

– Z czego? – spytał ten starannie zdzierając krótkimi, białymi paznokciami skórę z pomarańczy.

– Z czego? – powtórzył Sanin. – A z naszej wspólnej podróży.

– A co? – spytał znowu Połozow, wkładając do ust jedną z tych podłużnych cząstek, na które się dzieli miąższ pomarańczy.

– Bo jest bardzo dziwna. Przyznam ci się, że wczoraj jeszcze myślałem o tobie tyle, co o cesarzu abisyńskim, a dzisiaj jadę z tobą, żeby sprzedać swój majątek twojej żonie, o której również nie mam najmniejszego pojęcia.

– Różnie bywa – odparł Połozow. – Pożyj tylko dłużej, napatrzysz się różnych rzeczy. Czy możesz, na przykład, wyobrazić sobie mnie jako oficera służbowego podjeżdżającego na koniu? A podjeżdżałem i wielki książe Michał Pawłowicz podał rozkaz:

„Kłusem, kłusem – tego grubasa! Szybciej!”

Sanin podrapał się za uchem.

– Hipolicie Sidoryczu, powiedz, z łaski swojej, jaką masz żonę? Jaki ma charakter? Muszę przecież wiedzieć.

– Dobrze mu komenderować „Kłusem!” – podjął z nagłą zapalczywością Połozow – a ja... a ja? Myślałem: zabierzcie sobie te wszystkie wasze rangi i epolety – niech je tam! A... tak, pytałeś o żonę? Cóż – żona. Człowiek jak wszyscy. Nie kładź jej palca w usta – nie lubi tego. Przede wszystkim – mów jak najwięcej, żeby się było z czego pośmiać. Opowiedz jej o swojej miłości, czy coś takiego... Ale wiesz, na wesoło.

– Jak to, na wesoło?

– No, właśnie tak. Przecież opowiadałeś mi, że jesteś zakochany, że się chcesz ożenić. No, więc opisz to.

Sanin się obraził. – A cóż ty w tym widzisz śmiesznego?

Połozow wodził tylko oczami. Sok z pomarańczy spływał mu po podbródku.

– To żona posyłała ciebie do Frankfurtu? – spytał Sanin po chwili.

– Właśnie.

– A cóż to za sprawunki.

– Wiadomo: zabawki.

– Zabawki? To ty masz dzieci? Połozow aż się odsunął od Sanina.

– To ci dopiero! Z jakiego tytułu mam mieć dzieci? Kobiece *colis fichet*. Stroje. Z zakresu toalety.

– A cóż ty się znasz na tym?

– Znam się.

– A przecież mówiłeś mi, że się do żadnych spraw żony nie mieszasz.

– Do innych spraw się nie mieszam. A do tych... owszem. Z nudów nie szkodzi. A i żona polega na moim guście. Przy tym umiem się dobrze targować.

Położow zaczął mówić urywanie, zmęczył się już.

– A twoja żona bardzo bogata?

– Bogata, bogata. Ale głównie dla siebie.

– Jednak, zdaje mi się, nie możesz się uskarżać?

– Po to jestem mężem. Miałbym nie korzystać! Przecież ma ze mnie pożytek! Jestem wygodny.

Położow wytarł sobie twarz futerałem i ciężko sapnął, „że niby mógłbyś mieć litość i nie zmuszać mnie do mówienia, bo mi tak ciężko”.

Sanin zostawił go w spokoju – i znowu pograżył się w myślach.

Hotel w Wiesbaden, przy którym zatrzymała się karetka, wyglądał jak pałac. Wewnątrz natychmiast zadzwoniły dzwonki, rozpoczął się ruch i krzątanie; poważni mężczyźni w czarnych frakach zaczęli skakać przy wejściu; kapiący od złota szwajcar z rozmachem otworzył drzwi karety.

Położow wysiadł jak triumfator i zaczął wchodzić po posłanych dywanami i pachnących schodach. Podbiegł do niego człowiek również doskonale ubrany, ale o twarzy rosyjskiej – jako kamerdyner. Położow zauważył, że odtąd będzie zawsze brał go ze sobą, gdyż wczoraj we Frankfurcie zostawiono jego, Położowa, na noc bez ciepłej wody. Kamerdyner przybrał minę przerażoną i schyliwszy się, zgrabnie zdjął panu kalosze.

– Maria Nikołajewna w domu? – zapytał Położow.

– Tak jest. Raczy się ubierać. Raczy jeść obiad u hrabiny Łacuńskiej.

– A, u tej!.. Stój! Te rzeczy w karecie wyjmij sam wszystkie i przynieś tutaj. A ty, Dymitrze Pawłowiczu – dodał Położow – weź sobie pokój i przyjdź za trzy kwadransy. Zjemy obiad razem.

Położow popłynął dalej, a Sanin zażądał tańszego numeru i doprowadziwszy swoją toaletę do porządku, i wypocząwszy nieco udał się do olbrzymich apartamentów, zajmowanych przez jego książęcą mość (*Durchlaucht*) księcia von Polozoff.

Zastał tego „księcia” celebrującego na bogatym, aksamitnym fotelu pośrodku wspaniałego salonu. Flegmatyczny przyjaciel Sanina zdążył już się wykapać i przyoblec w kosztowny, atlasowy szlafrok, na głowie miał malinowy fez. Sanin zbliżył się do niego i przez chwilę mu się przypatrywał. Położow siedział nieruchomo jak bóstwo; nie odwrócił nawet w jego stronę twarzy, brwią nie poruszył, nie wydał głosu. Widok był istotnie majestatyczny! Nadelektowawszy się nim ze dwie minuty, Sanin chciał już zacząć mówić, pogwałcić tę sakralną ciszę, gdy nagle otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i w progu ukazała się młoda, piękna pani w białej, jedwabnej sukni z czarnymi koronkami, z brylantami na rękach i szyi – Maria Położowa. Jej gęste, rdzawe włosy spadały z obu stron głowy w zaplecionych, lecz nieupiętych warkoczach.

XXXIV

– Ach, przepraszam – rzekła z na pół stropionym, na pół drwiącym uśmiechem i chwyciwszy nagle ręką koniec jednego warkocza wpiła w Sanina swe duże, szare, jasne oczy.

– Nie myślałam, że pan już przyszedł.

– Dymitr Sanin, mój przyjaciel od dzieciństwa – powiedział Położow nie odwracając się w dalszym ciągu do niego, nie wstając, lecz wskazując nań palcem.

– Tak... Wiem... już mi mówiłeś. Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Ale chciałam cię prosić, Hipolicie... Moja pokojówka jest dzisiaj bez głowy.

– Zaczesać ci włosy?

– Właśnie, właśnie, z łaski swojej. Przepraszam – powtórzyła Maria Nikołajewna z poprzednim uśmiechem, kiwnęła Saninowi głową, odwróciła się szybko, pozostawiając po

sobie przelotne, ale harmonijne wrażenie prześlicznej szyi, uroczych ramion i zachwycającej figury. Połozow wstał i przewalając się ciężko wyszedł tymi samymi drzwiami.

Sanin nie wątpił ani na chwilę, że o obecności jego w salonie „księcia” Połozowa pani wiedziała doskonale; chodziło tylko o to, żeby pokazać swe włosy, które rzeczywiście były piękne. Sanin ucieszył się nawet w duchu z wybryku pani Połozowej: skoro mnie chciała olśnić, zabłysnąć przede mną – to, kto wie, może i co do ceny majątku okaże się ustępliwa. Duszę jego do tego stopnia wypełniała Gemma, że wszystkie inne kobiety nie miały już dla niego żadnego znaczenia: zaledwie je dostrzegał; i tym razem ograniczył się tylko do tego, że pomyślał: „Tak, mówiono mi prawdę – wspaniała kobieta!”

A gdyby się nie znajdował w takim wyjątkowym stanie duchowym, wyraziłby się zapewne inaczej: Maria Połozowa, Kołyszkina z domu, była osobą godną uwagi. I nie dlatego, że była taką niezwykłą pięknoscią; nosiła nawet wyraźne ślady swego plebejskiego pochodzenia. Czoło miała niskie, nos nieco mięsisty, nie mogła się poszczycić ani delikatnością cery, ani wytwornością rąk i nóg – ale cóż to wszystko znaczy? „Nie przed świątynią piękna”, jak mówi Puszkina, zatrzymałby się każdy, kto by ją spotkał, ale przed czarem, przed bogactwem jej kwitnącego ciała, mającego w sobie coś rosyjskiego i coś cygańskiego.

Ale obraz Gemmy chronił Sanina jak ta opiewana przez poetów potrójna zbroja.

Po dziesięciu minutach Maria Nikołajewna zjawiała się znowu w towarzystwie męża. Podeszła do Sanina... A ruchy miała takie, że niektórzy oryginał! w owych czasach, dalekich już, niestety, od samych tych ruchów tracili rozum. Podeszła do Sanina – wyciągnęła do niego rękę i przemówiła po rosyjsku swym łagodnym i jak gdyby opanowanym głosem:

– Pan na mnie poczeka – nieprawdaż? Wróć niedługo.

Sanin uklonił się z szacunkiem. Maria już zniknęła za portierą drzwi wejściowych – a odchodząc odrzuciła znowu głowę w tył i uśmiechnęła się przez ramię – i znowu zostawiła po sobie to wrażenie harmonii i piękna.

Gdy się uśmiechała, na jej policzkach tworzyły się nie jeden, dwa, lecz aż trzy dołeczki – i oczy jej uśmiechały się bardziej niż usta, niż jej pąsowe, długie, smaczne usta, z dwoma malutkimi znamionkami po lewej ich stronie.

Połozow wtoczył się do pokoju i znowu umieścił się w fotelu. Milczał jak przedtem; ale dziwny uśmiech ukazywał się od czasu do czasu na jego bezbarwnych i już pomarszczonych policzkach. Miał wygląd starczy, choć był tylko o trzy lata starszy od Sanina.

Obiad, którym uraczył swego gościa, zadowoliliby naturalnie najwybredniejszego smakosza, ale Saninowi dłużył się on niepomiernie i wydał się nieznośny! Połozow jadł powoli, „z czuciem, znawstwem i z przerwami”, schylał się poważnie nad talerzem, wachając każdy niemal kąsek; najpierw popłucze sobie usta winem, potem już przełknie i pomlaszcze ustami... A przy pieczystym nagle się rozgadał – ale o czym? O merynosach, których miał zamiar sprowadzić całe stado, a mówił tak szczegółowo, tak czule używając wciąż wyrazów zdrobniających. Po wypiciu filiżanki gorącej jak wrzątek kawy (kilkakrotnie upominał płaczącym i rozdrażnionym głosem kelnera, że poprzedniego dnia podano mu kawę zimną, zimną jak lód), przygryzł żółtymi, krzywymi zębami hawańskie cygareto i zgodnie ze swym zwyczajem zdrzemnął się ku wielkiej radości Sanina, który zaczął cichymi krokami chodzić tam i z powrotem po miękkim dywanie i marzył o tym, jak to będzie żył z Gemmą i z jaką wiadomością do niej wróci. Ale Połozow obudził się, swoim zdaniem, wcześniej niż zwykle, gdyż pospał tylko półtorej godzinki, i wypiwszy szklanekę selcerskiej wody z lodem i przełknawszy z osiem łyżeczek konfitur, rosyjskich konfitur, które przyniósł mu kamerdyner w ciemnozielonym, prawdziwym „kijowskim” słoiku i bez których, jak powiadał, żyć nie mógł – wlepił podpuchnięte oczy w Sanina i spytał go, czyby nie pograł z nim w durnia? Sanin zgodził się chętnie w obawie, że Połozow zacznie znowu rozprawiać o barankach, jałówkach i tłustych ogonach. Gospodarz i gość przeszli do bawialni, kelner przyniósł karty i zaczęła się gra, oczywiście nie na pieniądze.

Przy tym niewinnym zajęciu zastała ich po powrocie od hrabiny Łacuńskiej Maria.

Roześmiała się głośno, gdy tylko weszła do pokoju i ujrzała karty i rozsunięty do nich stolik. Sanin zerwał się z miejsca, lecz ona krzyknęła: – Siedźcie, panowie, i grajcie, przebiorę się i za chwilę wrócę – i znowu zniknęła szeleszcząc suknią i ściągając po drodze rękawiczki.

Istotnie wróciła bardzo prędko. Zmieniła suknię wizytową, elegancką, na jedwabną lila bluzkę z otwartymi wiszącymi rękawami; gruby pleciony sznurek przewiązywał jej kibić. Przysiadła się do męża – i doczekawszy się tej chwili, że został durniem, powiedziała mu: – No, dość już, racuszku! – (Przy słowie „racuszku” Sanin spojrział na nią ze zdumieniem, a ta, odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie, uśmiechnęła się wesoło i pokazała wszystkie dołki na twarzy) – dość już; widzę, że chcesz już spać, pocałuj rączkę i idź sobie, a my tu z p. Saninem porozmawiamy we dwójkę.

– Spać mi się nie chce – rzekł Połozow ciężko dźwigając się z fotela: – ale pójść sobie mogę i rączkę pocałuję. Nadstawiła mu swoją dłoń nie przestając uśmiechać się i patrzeć na Sanina.

Połozow spojrział również na niego – i odszedł bez pożegnania.

– No, niech pan opowiada, niech pan opowiada – powiedziała z żywością Maria Nikołajewna, opierając się obu obnażonymi łokciami o stół i niecierpliwie postukując paznokciami jednej ręki o paznokcie drugiej. – Pan podobno się żeni?

To rzekłszy, Maria Nikołajewna przegięła nawet trochę głowę na bok, aby uważniej i bardzo przeszywająco popatrzeć Saninowi w oczy.

XXXV

Swobodne zachowanie się p. Połozowej zapewne onieśmieliłoby w pierwszej chwili Sanina – chociaż nowicjuszem nie był i przetarł się już między ludźmi – gdyby w tej poufałej swobodzie nie dopatrywał się znowu dobrej wróżby dla swego przedsięwzięcia. „Będziemy ulegali kaprysom tej bogatej pani” – postanowił – i tak samo swobodnie, jak ona zadała to pytanie, odpowiedział: – Tak, żenię się.

– Z kim? Z cudzoziemką?

– Tak.

– Pan ją poznał niedawno. We Frankfurcie?

– Właśnie.

– I któż to taki? Można wiedzieć?

– Można. Córka cukiernika.

Maria Nikołajewna rozwarła szeroko oczy i podniosła brwi.

– Ale to przecież cudowne – powiedziała powoli – cudowne! Myślałam już, że takich młodzieńców jak pan więcej się na świecie nie spotyka. Córka cukiernika!

– Widzę, że panią to dziwi – zauważył z pewną godnością Sanin – ale po pierwsze nie uznaję przesądów...

– Po pierwsze, nie dziwi mnie to wcale – przerwała Maria Nikołajewna: – i ja nie uznaję przesądów. Sama jestem córką chłopca. No? Widzi pan? Dziwi i cieszy mnie to, że oto człowiek nie lęka się miłości. Przecież pan ją kocha?

– Tak.

– Czy bardzo ładna?

Sanina omal nie skreśliło, gdy usłyszał ostatnie pytanie... Jednak już nie można było się cofać.

– Pani wie, Mario Nikołajewno – zaczął – każdemu twarz jego ukochanej wydaje się najładniejszą; ale moja narzeczona to naprawdę piękność.

– Rzeczywiście? A w jakim rodzaju? włoskim? antycznym?

- Tak, ma bardzo regularne rysy.
- Nie ma pan jej portretu?

Nie! (W owych czasach nikt jeszcze nie myślał o fotografiach. Dagerotypy dopiero zaczęły się rozpowszechniać).

- Jak się nazywa?
- Na imię ma Gemma.
- A pan?
- Dymitr.
- Po ojcu?
- Pawłowicz.

– Wie pan co – rzekła Maria Nikołajewna tym samym powolnym głosem: – pan mi się, Dymitrze Pawłowiczu, bardzo podoba. Pan jest na pewno dobrym człowiekiem. Niech mi pan da rękę. Będziemy przyjaciółmi.

Uścisnęła mocno jego rękę pięknymi, białymi, mocnymi palcami. Ręka jej była trochę mniejsza od jego ręki – ale daleko cieplejsza i gładsza, miększa i żywsza.

- Tylko, wie pan, co mi przychodzi do głowy?
- Co takiego?

– Pan się nie rozgniewa? Nie? Pan mówi, że ona jest pana narzeczoną. Ale czyż... czyż to koniecznie potrzebne?

Sanin nachmurzył się. – Nie rozumiem pani, Mario Nikołajewno.

Maria Nikołajewna roześmiała się cichutko i wstrząsnawszy głowę odrzuciła w tył spadające jej na policzki włosy. – Stanowczo – on jest cudowny – powiedziała niby w zadumie, niby w roztargnieniu. – Rycerz! I jak tu wierzyć teraz tym, co twierdzą, że idealistów już nie ma na świecie.

Maria mówiła cały czas po rosyjsku, zadziwiająco czystym, wprost moskiewskim językiem – o zabarwieniu ludowym, nie szlacheckim.

– Pan się z pewnością wychowywał w domu w wiernej tradycjom, bogobojnej rodzinie? – spytała. – Pan z jakiej guberni?

- Tulskiej.
- No! Więc jesteśmy z tych samych stron. Mój ojciec... Pan wie, kim był mój ojciec?
- Tak, wiem.

– Urodził się w Tule... Tulak. No, dobra jest... (To „dobra jest” Maria Nikołajewna wymówiła już umyślnie zupełnie po mieszczańsku). A więc zabierzmy się teraz do roboty.

- To znaczy... jak to do roboty? Co pani chce przez to powiedzieć?

Maria Nikołajewna zmrużyła oczy.

– A po cóż pan tutaj przyjechał? – (Gdy mrużyła oczy, wyraz ich stawał się bardzo miły i nieco drwiący; gdy zaś rozwierała je szeroko – w ich jasnym, prawie chłodnym blasku przeświecało coś niedobrego... – coś groźnego. Osobliwego piękna jej oczom przydawały brwi, gęste, nieco ściągnięte, prawdziwie sobole). – Pan chce, żebym kupiła pana majątek? Panu potrzeba pieniędzy na zawarcie małżeństwa? Czy nie tak?

- Tak, potrzeba.

– A dużo ich panu potrzeba?

– Na początek zadowolilibym się kilku tysiącami franków. Małżonek pani zna mój majątek. Może się pani go poradzić – oddałbym za niewielką cenę.

Maria Nikołajewna odwróciła głowę w prawo i w lewo.

– P o p i e r w s z e – zaczęła przeciągając sylaby i uderzając końcami palców po wyłogach marynarki Sanina: – nie mam zwyczaju radzić się męża, chyba, że w sprawach toalety – do tego on chwat; p o d r u g i e, po co pan mówi, że postawi pan niewysoką cenę? Nie chcę korzystać z tego, że pan jest zakochany i gotów do wszelkich ofiar... Żadnych ofiar nie przyjmę. Jak to? Zamiast pobudzać w panu... – No, jakby to najlepiej powiedzieć: – uczucia

szlachetne, czy jak – miałabym pana obdzierać ze skóry? To nie jest w moim zwyczaju. Kiedy trzeba, ja ludzi nie szczędzę – ale nie w taki sposób.

Sanin nie mógł zrozumieć, czy ona śmieje się z niego, czy mówi poważnie. Myślał tylko sobie: „O, z tobą trzeba się mieć na baczności!”

Wszedł służący z samowarem rosyjskim, przyborami do herbaty, śmietanką, sucharkami itp. na dużej tacy, ustawił te wszystkie przysmaki na stole między Saninem i panią Połozow – i oddalił się. Nalała mu filiżankę herbaty. – Pan się nie brzydzi? – spytała wkładając mu palcami cukier do filiżanki... choć szczypczyki leżały opodal.

– Co pani mówi?... Z takiej ślicznej rączki... Nie dokończył zdania i omal nie zakrztusił się łykiem herbaty, a ona patrzyła na niego uważnie i jasno.

– Wspomniałem o niewysokiej cenie mego majątku dlatego, ponieważ pani znajduje się obecnie za granicą, mogę więc przypuszczać, że nie ma pani dużo zbywających pieniędzy, a wreszcie sam czuję, że sprzedaż... że nabycie w podobnych warunkach majątku – jest czymś nienormalnym i muszę to wziąć pod uwagę.

Sanin płątał się i mylił, a Maria Nikołajewna cichutko odkloniła się na oparcie fotelu, złożyła na krzyż ręce i patrzyła na niego tym samym uważnym i jasnym wzrokiem. Wreszcie umilkł.

– Nic nie szkodzi, niech pan mówi – powiedziała, jakby przychodząc mu z pomocą – słucham pana, bardzo mi przyjemnie pana słuchać; niech pan mówi.

Sanin zaczął opisywać swój majątek, ile ma dziesięcin, gdzie się znajduje, co do niego należy i jakie z niego można wyciągnąć korzyści... wspomniał nawet o malowniczym położeniu dworu; a Maria wciąż patrzyła i patrzyła na niego – coraz jaśniej i uważniej i wargi jej poruszały się z lekka bez uśmiechu: kąsała je. Poczul się niezręcznie; zamilkł powtórnie.

– Dymitrze Pawłowiczu – zaczęła Maria i zamyśliła się... – Dymitrze Pawłowiczu – powtórzyła... Wie pan co? Jestem przekonana, że nabycie pańskiego majątku – to dla mnie interes bardzo korzystny i że dojdziemy do porozumienia; ale pan musi mi dać... dwa dni – tak, dwa dni zwłoki. Czy pan może rozstać się na dwa dni ze swą narzeczoną? Dłużej wbrew pana woli trzymać pana nie będę – daję słowo. Ale jeśli panu potrzeba już teraz pięciu, sześciu tysięcy franków, gotowa jestem z wielką przyjemnością je pożyczyć – a potem się porachujemy.

Sanin wstał. – Mario Nikołajewno, czuję się w obowiązku podziękować pani za jej otwartą i uprzejmą gotowość usłużenia nieznanemu prawie człowiekowi... ale jeśli pani tego koniecznie sobie życzy, wolę poczekać na decyzję pani w sprawie majątku – pozostanę tu dwa dni.

– Tak, Dymitrze Pawłowiczu, życzę sobie tego. A panu będzie bardzo trudno? – niech pan powie. – Bardzo?

– Kocham swoją narzeczoną, Mario Nikołajewno – rozłąka z nią nie jest dla mnie łatwa.

– Ach, złoty człowieku! – westchnęła Maria Nikołajewna. – Obiecuję nie męczyć pana zbyt długo. Pan odchodzi?

– Już późno – zauważył Sanin.

– A, pan musi wypocząć po podróży i po tej grze w durnia z moim mężem. Niech pan powie, czy pan jest wielkim przyjacielem mego męża?

– Wychowywaliśmy się w tym samym internacie.

– I on już wtedy był taki?

– Jaki „taki”? – spytał Sanin.

Maria Nikołajewna roześmiała się nagle, roześmiała się, aż się zrobiła czerwona, podniosła chusteczkę do ust, wstała z fotela i chwytając się jakby ze zmęczenia, podeszła do Sanina i podała mu rękę.

Uklonił się i skierował ku wyjściu.

Proszę, niech pan jutro przyjdzie wcześniej, słyszy pan? – krzyknęła za nim. Obejrzał się

wychodząc z pokoju i zobaczył, że znowu opuszcza się na fotel i zarzuciła obie ręce za głowę. Szerokie rękawy bluzki zsunęły się prawie do samych ramion i trudno było nie poznać, że ręce i ta cała postać były czarująco piękne.

XXXVI

Długo po północy paliła się lampa w pokoju Sanina. Siedział przy stole i pisał do „swojej Gemmy”. Opowiadał jej o wszystkim: opisał jej Połozowów – męża i żonę – więcej zresztą rozpisując się na temat własnych uczuć – i zakończył w ten sposób, że nazaczył jej spotkanie za trzy dni!!! (z trzema wykrzyknikami). Nazajutrz rano odniósł ten list na pocztę i udał się na spacer do ogrodu przy kurhauzie, gdzie już grała muzyka. Ludzi było jeszcze mało. Sanin pozostał przed altanką, w której mieściła się orkiestra, posłuchał potpourri z „Roberta Diabła” i po wypiciu kawy poszedł boczną, samotną aleją, siadł na ławce – i zamyślił się.

Rączka parasolki zgrabnie i dość silnie uderzyła go po ramieniu. Ocknął się... Przed nim w lekkiej, szarozielonej, beżowej sukience, w białym tiulowym kapeluszu i szwedzkich rękawiczkach stała Maria Nikołajewna, świeża i różowa jak letni poranek, z pozostałą jeszcze słodyczą beztroskiego snu w ruchach i oczach.

– Dzień dobry – powiedziała. – Posyłałam dzisiaj do pana, ale pan już wyszedł. Przed chwilą właśnie wypiałam swoją drugą szklanekę – wie pan, każą mi tutaj. Bóg wie po co, pić wodę – po co... czyż nie jestem zdrowa? I potem całą godzinę muszę spacerować. Chce mi pan towarzyszyć? A później napijemy się kawy.

– Już piłem – rzekł wstając Sanin – ale chętnie przejdę się z panią.

– Więc niech mi pan poda rękę... Niech się pan nic lęka: narzeczonej tu nie ma – nie zobaczy pana.

Sanin uśmiechnął się z przymusem. Za każdym razem, kiedy Maria wspominała o Gemmie, było mu nieprzyjemnie. Jednak schylił się szybko i posłusznie... Ręka Marii Nikołajewny powoli i miękko opuściła się na jego rękę – zsunęła się po niej, jakby do niej przylgnęła.

– Chodźmy – o, tędy – powiedziała zarzucając otwartą parasolkę na ramię. – W tutejszym parku jestem jak w domu. Oprowadzę pana po pięknych miejscach. I wie pan co (często używała tych słów) – nie będziemy teraz rozmawiali o tej sprzedaży; pomówimy o niej szczegółowo przy śniadaniu; pan musi mi teraz opowiedzieć o sobie... żebym wiedziała, z kim mam do czynienia. A potem, jeśli pan chce, opowiem panu o sobie. Dobrze?

– Ale, Mario Nikołajewno, co może być dla pani ciekawego?

– Niech pan poczeka, niech pan poczeka. Pan mnie źle zrozumiał. Nie chcę pana kokietować. – Maria wzruszyła ramionami. – Ma narzeczoną jak starożytny posąg, a ja miałabym go kokietować? Ale pan ma towar, a ja jestem kupcem. Chcę wiedzieć, jaki pan ma towar. No, niech go pan pokaże – jaki? Chcę wiedzieć nie tylko, co kupuję, ale i od kogo kupuję. To była zasada mego ojczulka. No, niech pan zaczyna... Jeśli nie od dzieciństwa – to przynajmniej – no, jak dawno pan bawi za granicą? I gdzie pan był dotąd? Tylko niech pan idzie wolniej – nie mamy się po co śpieszyć.

– Przybyłem z Włoch, gdzie spędziłem kilka miesięcy.

– A, widocznie pan ma pociąg do wszystkiego, co włoskie. Dziwne, że nie tam znalazł pan przedmiot swojej miłości. Lubi pan sztukę? Obrazy? Czy bardziej muzykę?

– Lubię sztukę. Lubię wszystko co piękne.

– I muzykę?

– Muzykę również.

– A ja jej nie lubię wcale. Podobają mi się tylko pieśni rosyjskie – i to na wsi, i to wiosną, wie pan, z tańcem... Czerwone perkaliki, opaski z wisiorkami, na wygonie młoda trawka, zaciąga dymem... Cudownie! Ale nie chodzi o mnie. Niech pan mówi, niech pan opowiada.

Maria Nikołajewna niby szła, a co chwila spoglądała na Sanina. Była wysoka – twarz jej znajdowała się prawie na tym samym poziomie, co jego.

Zaczął opowiadać – zrazu niechętnie, nieumiejętnie – a potem język mu się rozplatał, rozgadał się nawet. Maria Nikołajewna słuchała bardzo mądrze; a przy tym sama wydawała się taka szczerą, że mimo woli zmuszała innych do szczerości. Miała ten wielki dar „spoufalania” – *ze terrible don de la familiarité* – o którym wspomina kardynał Retz. Sanin opowiadał o swych podróżach, o życiu w Petersburgu, o swej młodości... Gdyby Maria była damą światową o wytwornych manierach, nigdy by się tak nie rozgadał; lecz ona sama nazywała siebie dobrym kolegą, który nie znosi wszelkich ceremonii; tak właśnie przedstawiła się Saninowi. I jednocześnie ten „dobry kolega” szedł przy nim kocim krokiem, opierając się lekko o niego, i zaglądał mu w twarz; a szedł w postaci młodej, kobiecej istoty, od której tchnęła wprost ta obezwładniająca i omdlewająca, cicha i ognista pokusa, którą umieją dojmować nas, grzesznych i słabych mężczyzn, niektóre tylko i to niezupełnie czyste, lecz z przymieszką obcej krwi – słowiańskie natury!

Spacer Sanina z Marią, rozmowa Sanina z Marią trwały przeszło godzinę. I nie zatrzymali się ani razu – wciąż szli i szli przez nie kończące się aleje parku, to idąc pod górę i zachwycając się po drodze widokiem, to schodząc w dolinę i skrywając się w nieprzenikliwym cieniu – a wciąż pod rękę. Chwilami złościło to nawet Sanina; przecież z Gemmą, ze swą ukochaną Gemmą nie spacerował nigdy tak długo... A tu ta pani zagarnęła go – i basta.

– Czy pani nie jest zmęczona? – zapytywał ją niejednokrotnie. – Ja się nigdy nie męczę – odpowiadała.

Czasami spotykali spacerujących i prawie wszyscy kłaniali się jej – niektórzy z szacunkiem, inni nawet uniżenie. Do jednego z nich, bardzo przystojnego, elegancko ubranego bruneta, zawołała z daleka najlepszym paryskim akcentem: „*Comte, vous savez il ne faut pas venir me voir, ni aujourd’hui, ni demain*”. Ten milcząc zdjął kapelusz i złożył niski ukłon.

– Kto to? – spytał Sanin z właściwą wszystkim Rosjanom – złe przyzwyczajenie – ciekawością.

– Ten? Pewien Francuzik – dużo ich tutaj... Też się koło mnie kręci. Czas jednak na kawę. Chodźmy do domu. Pan z pewnością już się wygłodził. Mój poślubiony pewno już teraz przetarł gały.

„Przetarł gały!!!” – powtórzył w myśli Sanin... – I mówi tak świetnie po francusku... Co za cudactwo!

Maria Nikołajewna nie myliła się. Gdy powróciła z Saninem do hotelu „poślubiony” albo „racuszek” siedział, w nieodzownym fezie na głowie, przy nakrytym stole.

– Ależ naczekałem się na ciebie! – zawołał z kwaśną miną. – Chciałem już sam pić kawę.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi – odparła wesoło Maria Nikołajewna. – Gniewałeś się? To ci pójdzie na zdrowie; inaczej byś całkiem zastygł. Przyprowadziłam, jak widzisz, gościa. Zadzwoń prędzej! Pijmy kawę, najlepszą kawę w filiżankach saskich i na śnieżnobiałym obrusie!

Zrzuciła kapelusz, rękawiczki – i klasnęła w dłonie. Połozow spojrzał na nią spode łba.

– Cóżes ty się tak dzisiaj rozbrykała, Mario Nikołajewna? – rzekł półgłosem.

– Co ci do tego, Hipolicie! Dzwoń! Dymitrze Pawłowiczu, proszę siadać – i napić się drugi raz kawy! Ach jak to wesoło rozkazywać. Nie ma większej przyjemności na świecie.

– Kiedy słuchają – mruknął znowu mąż.

– Właśnie, kiedy słuchają! Dlatego mi wesoło. Zwłaszcza z tobą. Prawda – racuszk? A oto i kawa.

Na ogromnej tacy, z którą ukazał się kelner, leżał również afisz teatralny. Maria Nikołajewna od razu go chwyciła.

– Dramat! – powiedziała z oburzeniem. – Niemiecki dramat. Wszystko jedno; lepsze od niemieckiej komedii. Proszę zamówić dla mnie łożę – na parterze – albo nie... lepiej *Fremdeloge* – zwróciła się do kelnera. – Słyszysz pan, koniecznie *Fremdenloge*.

– Ale *Fremdenloge* jest już zajęta przez jakiegoś eksceleńcę dyrektora miasta – (*seine Excellenz der Herr Stadtdirektor*) – ośmielił się zauważyć kelner.

– Niech pan da jego ekscelencji dziesięć talarów, a łoża być musi! Słyszysz pan?

Kelner skłonił głowę pokornie i smutnie.

– Dymitrze Pawłowiczu, pojedź pan ze mną do teatru? Aktorzy niemieccy są okropni ale pan pojedzie... Dobrze? Dobrze! Jaki pan uprzejmy! A ty, grubasku, pójdziesz?

– Jak uważasz – powiedział Połozow do filizanki, którą podnosił do ust.

– Wiesz co – zostań. W teatrze zawsze śpisz, a i po niemiecku rozumiesz kiepsko. Lepiej zajmij się, wiesz czym? Napisz odpowiedź do zarządcy – pamiętasz, w sprawie naszego młyna... w sprawie przemiału zboża chłopskiego. Powiedz mu, że nie chcę, nie chcę! nie chcę! Ot i masz zajęcie na cały wieczór.

– Słucham – odpowiedział Połozow.

– A więc pięknie. Ty jesteś mądrała. A teraz, panowie, skorośmy już zaczęli mówić o zarządcy, pogawędzimy o naszej najważniejszej sprawie. Gdy tylko kelner sprzątnie ze stołu, pan, Dymitrze Pawłowiczu, opowie nam wszystko o swym majątku – jak i co, za ile pan sprzedaje, ile pan chce zadatku, słowem o wszystkim! (Nareszcie, pomyślał Sanin, dzięki Bogu!). Pan mi już coś niecoś mówił o swym ogrodzie, pamiętam, opisał go pan cudownie, ale „racuszka” przy tym nie było... Niech posłucha – coś jednak mruknij! Bardzo mi przyjemnie pomyśleć, że mogę panu pomóc w małżeństwie – zresztą obiecałam zająć się tym po śniadaniu; ja zawsze dotrzymuję obietnicy. Prawda, Hipolicie Sidorowiczu?

Połozow potarł sobie twarz dłonią. – co prawda, to prawda – nie oszukujesz nikogo.

– Nigdy! Nigdy nikogo nie oszukam. A więc Dymitrze Pawłowiczu – proszę – jak to się mówi w senacie, swoją sprawę zreferować.

XXXVII

Sanin zaczął „referować sprawę” – to znaczy znowu, po raz drugi opisywać swój majątek, ale nie dotykając już piękna przyrody, powołując się od czasu do czasu dla potwierdzenia przytaczanych „faktów i cyfr” na Połozowa. Lecz ten chrząkał tylko i kręcił głową, ale potakująco czy przecząco – sam diabeł by tego nie rozpoznał. Zresztą Maria Połozowa nie potrzebowała jego pomocy. Wykazywała takie zdolności handlowe i administracyjne, że pozostało ją tylko podziwiać! Znała doskonale najdrobniejsze szczegóły dotyczące gospodarstwa; o wszystko pytała dokładnie, we wszystko wchodziła; każde jej słowo było trafne, stawiało kropkę nad i. Sanin nie oczekiwał podobnego egzaminu: nie był do niego przygotowany. I ciągnął się ten egzamin półtorej godziny. Sanin doświadczał wszelkich uczuć oskarżonego, siedzącego na wąskiej ławce przed surowym i przenikliwym sędzią. „Tak, to przecież śledztwo!” – szeptał smętnie. Maria Nikołajewna podśmiewała się cały czas i żartowała; lecz Sanin nie czuł się przez to lepiej; gdy w czasie „śledztwa” okazało się, że niezupełnie jasno rozumie znaczenie słów: „podorywek” i „wycugi” – pot mu nawet wystąpił na czoło.

– No, dobrze! – orzekła wreszcie Maria Nikołajewna. – Znam teraz pański majątek... nie gorzej od pana. Ileż by pan żądał od duszy? (Wiadomo, że w owych czasach ceny majątków określano według liczby „dusz”).

– Myślę... tak... nie można wziąć mniej niż pięćset rubli – rzekł z trudnością Sanin. (O Pantaleone, Pantaleone gdzieżeś? Miałbyś znowu sposobność zawołać: *barbari*).

Maria Nikołajewna podniosła oczy ku górze, jakby coś rozważała.

– Cóż – rzekła wreszcie. – Cena nie wydaje mi się krzywdząca. Ale zastrzegłam sobie dwa

dni zwłoki i musi pan poczekać do jutra. Przypuszczam, że się zgodzimy – i wtedy powie mi pan, ile potrzeba zadatku. A teraz *basta cosi!* – podchwyciła widząc, że Sanin chce oponować.

– Dość już zajmowaliśmy się godnymi pogardy rzeczami... *à demain les affaires!* Wie pan co: teraz pana zwalniam (spojrzała na emaliowany zegarek zatknięty za paskiem) – ...do trzeciej... Trzeba pozwolić panu odpocząć. Niech pan pogra w ruletkę.

– W gry hazardowe nigdy nie grywam – odparł Sanin.

– Doprawdy? To z pana doskonałość! Zresztą i ja nie gram. Nie ma sensu rzucać pieniędzy na wiatr. Ale niech pan pójdzie do salonu gry i popatrzy na twarze. Bywają nadzwyczaj pocieszne. Jest tam – jedna staruszka w przepasce z klejnotem we włosach i z wąsami – cudo! Ciekawy jest tam również nasz książę. Wspaniała postać, nos orli, a jak postawi talara – żegna się ukradkiem pod kamizelką. Niech pan poczyta dzienniki, pospaceruje, słowem robi, co chce... A o trzeciej oczekuję pana... *du ped ferme*. Obiad trzeba będzie zjeść wcześniej. Ci śmieszni Niemcy rozpoczynają widowiska o pół do siódmej. – Wyciągnęła rękę. – *Sans rancune, n'est ce pas?*

– Co pani, Mario Nikolajewno, za cóż miałbym się na panią gniewać?

– A za to, że pana męczyłam. Niech pan poczeka, ja pana jeszcze nie tak... – dodała mrużąc oczy i wszystkie dołki wystąpiły równocześnie na zapłonionych policzkach. – Do widzenia!

Sanin uklonił się i wyszedł. Wesoly śmiech rozległ się za nim i w lustrze, obok którego przechodził w tej chwili, odbiła się następująca scena: Maria nasunęła małżonkowi fez na oczy, a ten bezradnie wymachiwał rękami.

XXXVIII

O jak głęboko i radośnie westchnął Sanin, gdy tylko znalazł się w swym pokoju! Istotnie: Maria Nikolajewna miała rację – musi odpocząć, odpocząć po tych wszystkich nowych znajomościach, spotkaniach, rozmowach, po tym omroczeniu, które ogarnęło jego głowę, jego duszę przez to nieprzewidziane, nieproszone zbliżenie z tą obcą mu kobietą. I kiedy to wszystko się dzieje? Pewnie nazajutrz po tym, gdy się dowiedział, że Gemma go kocha, gdy został jej narzeczonym? Przecież to świętokradztwo! Po tysiącokroć prosił w duszy swą czystą, niepokalaną gołębicę o przebaczenie – chociaż właściwie nie miał się o co oskarżać! Po tysiącokroć całował ofiarowany mu przez nią krzyżyk. Gdyby nie miał nadziei, że wkrótce pomyślnie załatwi sprawę, w jakiej przyjechał do Wiesbadenu – uciekłby stąd na łeb na szyję z powrotem do miłego Frankfurtu, do tego drogiego, bliskiego mu już teraz domu, do niej, do ukochanych jej stóp... Ale cóż robić! Trzeba wypić ten kielich do dna, trzeba się ubrać, pójść na obiad – a potem do teatru. Żeby choć jutro puściła go wcześniej!

Niepokoilo go i gniewało jeszcze jedno: myślał o Gemmie, o wspólnym z nią życiu, o szczęściu, które go czekało w przyszłości, z miłością, z miłością, z rozrzewnieniem i wdzięcznym zachwytem – i tymczasem ta dziwna kobieta, ta pani Połozowa unosiła się bez przerwy, nie unosiła – sterczała... tak właśnie z specjalną złośliwością wyraził się Sanin – *sterczała* przed jego oczyma – i nie mógł się pozbyć jej obrazu, nie słyszeć jej głosu, nie wspominać jej słów – nie mógł nawet nie odczuwać tego szczególnego zapachu, subtelnego, świeżego i przenikliwego jak woń żółtych lilii, zapachu, którym tchnęły jej suknie. Ta kobieta najwidoczniej robi z niego dudka i tak, i siak podpała się do niego... Po co? Co jej z tego przyjdzie? Czyżby to był kaprys rozpieszczonej, bogatej, i kto wie, może niemoralnej kobiety? I ten mąż? Co za stworzenie? Jaki jest jego stosunek do niej? I po co te wszystkie pytania pchają się do głowy, jemu, Saninowi, którego właściwie nic nie obchodzi ani p. Połozow, ani jego żona? Dlaczego nie może odpędzić tego natrętnego obrazu nawet wtedy, gdy całą duszą zwraca się ku innemu, świetlanemu i jasnemu jak dzień Boży? Jak śmia te

rysy poprzez tamte, boskie prawie – przenikać? Te szare, drapieżne oczy, te dołki na policzkach, te węzowate warkocze – czyżby to wszystko przylepiło się do niego i nie ma siły, nie może strząsnąć z siebie tego wszystkiego i odrzucić precz?

Bzdury! Bzdury! Jutro wszystko to zniknie bez śladu... Ale czy go puści jutro?

Tak... zadawał sobie te wszystkie pytania – a oto zbliżała się już trzecia – i włożył czarny frak, pospacerował trochę po parku i udał się do Połozowów.

Zastał u nich w salonie sekretarza poselstwa, z pochodzenia Niemca, człowieka wysokiego, jasnowłosego, o końskim profilu i z przedziałem z tyłu (wówczas – było to jeszcze nowością) – i... o dziwo! jeszcze kogo? Von Dönhofa, tego samego oficera, z którym się kilka dni temu pojedynkował! Nigdy w życiu nie spodziewał się, że go właśnie tutaj spotka – i mimo woli stropił się, złożył mu jednak ukłon.

– Panowie się znają? – spytała Maria Nikołajewna, uwagi której nie uszło zakłopotanie Sanina.

– Tak... miałem zaszczyt – powiedział Dönhof i nachylając się lekko w stronę Marii Nikołajewny z uśmiechem dodał półgłosem: Ten sam... Rodak pani... Rosjanin.

– Nie może być! – zawołała również półgłosem, pogroziła mu palcem i natychmiast zaczęła się żegnać i z nim, i z sekretarzem poselstwa, który według wszelkich oznak był w niej śmiertelnie zakochany, gdyż nawet otwierał usta za każdym razem, gdy na nią spoglądał. Dönhof z uprzejmą pokorą poszedł natychmiast, jak przystało na przyjaciela domu, który rozumie z półsłówka, czego się od niego żąda; sekretarz zaczął się gorączkować, lecz Maria Nikołajewna wyprosiła go bez ceremonii.

– Niech pan idzie do swej możnej osobistości – powiedziała do niego (w Wiesbadenie przebywała wówczas pewna *principessa di Monaco*, przypominająca podrzędną loretkę) – po cóż siedzieć u takiej plebejki jak ja?

– Co też pani – zapewniał nieszczęsny sekretarz – wszystkie principessy na świecie...

Tego dnia Maria Nikołajewna wystroiła się, jak mawiały nasze prababki, bardzo na „awantaz”. Miała jedwabną, różową suknię glacée, z rękawami *à la Fontanges*, i w każdym uchu po dużym brylancie. Oczy jej błyszczały nie gorzej od tych brylantów: zdawała się być w doskonałym humorze i nastroju. Usadowiła Sanina obok siebie i zaczęła mu opowiadać o Paryżu, dokąd wybierała się z mężem za kilka dni, o tym, że Niemcy już jej się sprzykrzyli, że są głupi, gdy udają mądrych, a niewłaściwie mądrzy, gdy się wygłupiają: – i nagle, jak to się mówi, prosto z mostu – *à brule pourpoint* – spytała go, czy to prawda, że on właśnie z tym oficerem, który tu przed chwilą siedział, pojedynkował się w tych dniach z powodu pewnej pani?

– Skąd pani wie o tym? – mruknął Sanin zdumiony.

– O tym, Dymitrze Pawłowiczu, wróble świergocą; zresztą wiem, że pan miał rację, po stokroć rację – i zachował się po rycersku. Niech pan powie – ta pani – czy to była narzeczona?

Sanin lekko zmarszczył brwi.

– No, nie będę, nie będę – powiedziała Maria Nikołajewna prędko. – Panu nieprzyjemnie, przepraszam, nie będę! Niech się pan nie gniewa! – Połozow z arkuszem gazety w ręku pojawił się z sąsiedniego pokoju. – Coś ty? Czy obiad gotów?

– Obiad zaraz podadzą, ale zobacz no, co znalazłem w „Pszczole Północnej...” Umarł książę Gromobój. – Maria Nikołajewna podniosła głowę.

– A! Wieczne odpoczywanie! On mi rokrocznie – zwróciła się do Sanina – w lutym na moje urodziny przystrajał wszystkie pokoje kameliami. Ale dla tego jednego nie warto jeszcze spędzać zimy w Petersburgu. Był chyba po siedemdziesiątce? – spytała męża.

– Był. Pogrzeb opisany w gazecie. Cały dwór brał udział. A oto z tej okazji wiersz księcia Kowriżkina.

– No to pięknie.

- Chcesz, to ci przeczytam? Książę nazywa go mężem stanu.
- Nie, nie chcę. Jaki tam mąż stanu! Był po prostu mężem Tatiany Juriewny. Chodźmy na obiad. Życie dopomina się o swe prawa. Dymitrze Pawłowiczu, pańskie ramię.

Obiad był wspaniały, jak i dnia poprzedniego, i bardzo ożywiony, Maria umiała opowiadać... dar rzadki u kobiet, a zwłaszcza u Rosjank! Nie krępowała się w doborze wyrazów; zwłaszcza współrodacy mieli się z pyszna. Sanin musiał roześmiać się nieraz z powodu tego lub owego śmiałego i trafnego słówka. Maria nie cierpiała bigoterii, frazesów i kłamstwa... Znajdowała je prawie wszędzie. Zdawała się popisywać, chlubić tym niskim środowiskiem, w którym zaczęło się jej życie; przytaczała dość dziwne anegdoty o swych krewnych z czasów dzieciństwa; nazywała siebie łapciarką, niegorszą od Natalii Kiryłówny Naryszkinej. Sanin uświadomił sobie, że doświadczyła w swym życiu daleko więcej niż mnóstwo jej rówieśnic.

A Połozow jadł z namysłem, pił uważnie, i tylko od czasu do czasu zwracał to na żonę, to na Sanina swe białawe, na pozór ślepe, a w istocie bardzo bystre oczy. – Jaki z ciebie mądrała! – zawołała zwracając się do niego Maria. – Jakiś ty mi załatwił we Frankfurcie wszystkie moje sprawunki! Pocałowałabym cię w czółko, ale ty za tym nie przepadasz.

– Nie przepadam – odparł Połozow i rozciął srebrnym nożykiem ananas.

Maria Nikołajewna spojrzała na niego i postukała palcami po stole.

– Więc jak, zakład stoi? – rzekła znacząco.

– Stoi.

– Dobrze, ty przegrasz.

Połozow wysunął naprzód podbródek.

– No, tym razem, na cokolwiek byś, Mario Nikołajewno, liczyła, przypuszczam, że przegrasz właśnie ty.

– O co zakład? Można wiedzieć? – spytał Sanin.

– Nie... teraz nie można – odparła Maria Nikołajewna i roześmiała się.

Wybiła siódma. Kelner oznajmił, że karetka już czeka. Połozow odprowadził żonę i od razu powlókł się do swego fotelu.

– Pamiętaj! Nie zapomnij o liście zarządcy! – krzyknęła mu Maria z przedpokoju.

– Napiszę, bądź spokojna. Jestem obowiązkowy.

XXXIX

W roku tysiąc osiemset czterdziestym teatr w Wiesbadenie prezentował się kiepsko nie tylko zewnętrznie; trupa jego ani swą nędzną deklamacyjnością i miernotą, ani staranną, pospolitą rutyną, nie przewyższała na jotę tego poziomu, który dotąd można uznać za normalny dla wszystkich teatrów niemieckich i przedstawicielką zalet którego była ostatnio trupa z Karlsruhe pod „znakomitym” kierownictwem p. Dewrienta. Za lożą zamówioną dla jego ekscelencji p. von Polosov (Bóg raczy wiedzieć, jak kelnerowi udało się ją zdobyć – czyżby naprawdę przekupił dyrektora miasta), za tą lożą znajdował się pokój, zastawiony kanapkami; przed wejściem do niego Maria poprosiła Sanina, żeby podciągnął za firankę dzielącą lożę od teatru.

– Nie chcę, by mnie widziano – powiedziała – bo zaraz by się tu napchali. – Posadziła go obok siebie plecami do sali, tak, żeby loża wydawała się pusta.

Orkiestra zagrała uwerturę z „Wesela Figara”... Kurtyna się podniosła; rozpoczęło się przedstawienie.

Był to jeden z licznych domorosłych utworów, w których odczytani, lecz pozbawieni talentu autorzy, w wyszukany, lecz martwym języku, starannie, lecz niezręcznie usiłowali wypowiedzieć jakąś „głęboką” i „życiową” myśl, przedstawić tak zwany konflikt tragiczny i

sprowadzali nudę... azjatycką, jak bywa azjatycka cholera. Maria Nikołajewna wysłuchała cierpliwie połowy aktu, lecz gdy pierwszy amant, dowiedziawszy się o zdradzie ukochanej, (ubrany był w brązową marynarkę z „bufami” i plisowanym kołnierzem, zielone spodnie z lakierowanymi strzemionkami i białe, zamszowe rękawiczki), gdy ten amant przycisnął do piersi oba kulaki, wysunął pod kątem prostym łokcie i zawył po prostu jak pies – Maria nie wytrzymała.

– Najgorszy francuski aktorzyzna w najgorszej, prowincjonalnej mieścinie gra naturalniej i lepiej niż ta niemiecka znakomitość – zawołała oburzona i przeszła do tylnego pokoiku. – Niech pan tu idzie – powiedziała do Sanina, uderzając obok siebie ręką po kanapie. – Będziemy gawędzili.

Sanin usłuchał.

Maria spojrzała na niego – A pan, jak widzę – jedwabisty! Żona nie będzie miała z panem kłopotu. Ten błazen – ciągnęła dalej wskazując końcem wachlarza na wyjącego aktora (grał rolę nauczyciela domowego) – przypomniał mi moją młodość: kochałam się również w nauczycielu. To była moja pierwsza... nie, moja druga namiętność. Po raz pierwszy zakochałam się w braciszku z Dońskiego klasztoru. Miałam dwanaście lat. Widywałam go tylko w niedzielę. Nosił aksamitny kaftan, perfumował się wodą lawendową, gdy przeciskał się przez tłum z kadzidłem, mówił do pań po francusku: *pardon excuez* i nigdy nie podnosił oczu, a rzęsy miał o takie – Maria oddzieliła paznokciem swego dużego palca całą połowę najmniejszego i pokazała Saninowi. – Nauczyciel mój nazywał się monsieur Gaston! Trzeba panu wiedzieć, że był to człowiek bardzo mądry i surowy, pochodził ze Szwajcarii i miał taką energiczną twarz! Czarne jak smoła bokobrody, grecki profil, a usta jak odlane z żelaza! Bałam się go! W całym swoim życiu bałam się tylko tego jednego człowieka! Był gubernierem mojego brata, który później umarł... utonął. Cyganka również i mnie wywróżyła śmierć gwałtowną – ale to bzdury. Nie wierzę w to. Niech pan sobie wyobrazi Hipolita Sidorowicza ze sztyletem?

– Zginąć można nie tylko od pchnięcia sztyletem – zauważył Sanin.

– Wszystko to bzdury! Pan jest zabobonny. Ja – ani trochę. Monsieur Gaston mieszkał w naszym domu, nade mną. Obudzę się czasem w nocy i słyszę jego kroki – kładł się bardzo późno – a serce zamiera od zachwytu... czy z innego uczucia. Ojciec mój sam zaledwie umiał czytać, ale wychowanie dał nam dobre. Wie pan, ja rozumiem po łacinie.

– Pani? Po łacinie?

– Tak, ja. Monsieur Gaston nauczył mnie. Przeczytałam z nim „Eneidę”. Nudy – ale są miejsca dobre. Pamięta pan jak Dydona z Eneaszem w lesie...

– Tak, tak, pamiętam – powiedział szybko Sanin. Sam już zapomniał swoją łacinę od dawna i o „Eneidzie” pojęcie miał słabe.

Maria Nikołajewna spojrzała na niego, jak to miała w zwyczaju, nieco z boku i z dołu.

– Niech pan nie myśli jednak, że jestem bardzo wykształcona. Skąd, mój Boże, nie – nie jestem wykształcona i nie mam żadnych talentów. Ledwie piszę... Naprawdę; czytać głośno nie umiem; nie gram na fortepianie, nie rysuję, nie szyję – słowem zero! Ot, taka jestem – wszystka! – Rozłożyła ręce.

– Opowiadam panu to wszystko – ciągnęła – po pierwsze, aby nie słuchać tych durniów – wskazała na scenę, gdzie w tej chwili zamiast aktora wyla tak samo z wysuniętymi naprzód łokciami aktorka – a po drugie, dlatego, że jestem panu dłużna; pan opowiadał mi wczoraj o sobie.

– Pani zechciała mnie pytać – zauważył Sanin.

– Maria Nikołajewna odwróciła się nagle do niego.

– A pan nie zechce wiedzieć, jaka ze mnie właściwie kobieta? Zresztą nic dziwnego – dodała opierając się znowu o poduszki kanapy. – Człowiek ma się żenić, do tego z miłości i po pojedynku... jakżesz może myśleć o czymś innym.

Maria Nikołajewna zamyśliła się i zaczęła gryźć rączkę wachlarza swymi dużymi, ale równymi i białymi jak mleko zębami.

A Saninowi zdało się, że głowę jego ogarnia znowu to omroczenie, którego nie mógł się pozbyć – drugi już oto dzień.

Rozmowa między nim a Marią Nikołajewną była prowadzona półgłosem, prawie szeptem, a to drażniło go i niepokoiło jeszcze bardziej...

Kiedyż się to wszystko skończy?

Ludzie słabi nie kończą nigdy sami – wciąż czekają na koniec.

Na scenie ktoś kichał, kichanie to autor wprowadził do swej sztuki jako „moment” czy „element komiczny” i innego elementu komicznego, oczywiście, sztuka już nie zawierała; i widzowie zadowalali się tym momentem, śmieli się.

Śmiech ten również drażnił Sanina.

Były chwile, w których nie wiedział: czy gniewa się, czy cieszy, nudzi się, czy weseli? O, gdyby to wiedziała Gemma.

– Doprawdy, dziwne – zaczęła nagle Maria. – Człowiek oświadcza i to takim spokojnym głosem: „Mam zamiar się żenić”, a nikt nie powie spokojnie: „Mam zamiar rzucić się do wody”. A tymczasem cóż za różnica? Dziwne, doprawdy.

Sanin wpadł w złość.

– Różnica wielka, Mario Nikołajewna! Niejeden wody nie boi się wcale, umie pływać; a poza tym... co się tyczy dziwnych małżeństw... skoro już o tym mowa...

Umilkł nagle i ugryzł się w język.

Maria Nikołajewna uderzyła się wachlarzem po dłoni.

– Niech pan kończy, Dymitrze Pawłowiczu – wiem, co pan chciał powiedzieć. „Skoro już o tym mowa, szanowna pani, Mario Nikołajewno Połozowa” – chciał pan powiedzieć – „trudno sobie wyobrazić małżeństwo dziwniejsze niż małżeństwo pani... przecież męża pani znam od dzieciństwa?” Oto, co pan chciał powiedzieć, panie, który umiesz pływać!

– Niech pani pozwoli... – zaczął Sanin.

– Czyż to nieprawda? Czyż nieprawda? – nalegała Maria Nikołajewna. – No, niech pan mi spojrzy w oczy i powie, że powiedziałam nieprawdę.

Sanin nie wiedział, gdzie podziąć oczy. – No więc, prawda, skoro już pani tego koniecznie żąda – rzekł w końcu.

Maria pokręciła głową. – Tak... tak. No, a czy zadawał pan sobie pytanie, pan umiejący pływać, jaki może być powód takiego dziwnego... postępu ze strony kobiety, która nie jest biedna... ani głupia... ani brzydka? Może to pana nie interesuje; ale wszystko jedno. Wyjawię panu powód nie teraz, ale jak tylko skończy się antrakt. Wciąż się boję, żeby ktoś nie przyszedł...

Nie zdążyła powiedzieć ostatniego słowa, gdy wewnętrzne drzwi rzeczywiście otworzyły się, do połowy rozchyliły – i do loży wsunęła się głowa czerwona, tłusta, spocona, młoda, ale już bezzębna, z płaskimi, długimi włosami, zawieszonym nosem, ogromnymi jak u nietoperza uszami, w złotych okularach na zaczerwienionych i tępych oczkach i w *pince-nez* na okularach. Głowa rozejrzała się, spostrzegła Marię Nikołajewną, wykrzywiła się w brzydkim uśmiechu i kiwnęła... żyłasta szyja wyciągnęła się za nią...

Maria Nikołajewna zaczęła na nią machać chusteczką.

– Nie ma mnie w domu! *Ich bin nicht zu Hause, Herr P.... Ich bin nicht zu Hause... A kysz, a kysz!*

Głowa zdumiała się, roześmiała z przymusem, odezwała się pochlipując, jakby naśladowała Liszta, u którego nóg pełzała ongiś. *Sehr gut! Sehr gut!* i – znikła.

– Co to za osobnik? – spytał Sanin.

– Ten? Krytyk wiesbadeński. „Literat” albo płatny lokaj, jak kto woli. Wynajął go tutejszy

dzierżawca i dlatego wszystko musi chwalić i wszystkim się zachwycać, a tymczasem cały jest nalany wstrętną żółcią, której nie ma odwagi wypuszczać. Obawiam się – to okropny plotkarz; zaraz pobiegnie rozpowiadać, że jestem w teatrze. No, wszystko jedno.

Orkiestra zagrała walca, kurtyna podniosła się ponownie. Na scenie rozpoczęło się znowu jakieś wykrzywanie i poszłochiwanie.

– A więc – zaczęła Maria Nikołajewna opuszczając się znów na kanapę – skoro już pan wpadł i musi siedzieć tu ze mną, zamiast napawać się bliskością swej narzeczonej, niech pan nie wywraca oczu i nie gniewa się – rozumiem pana i już panu obiecałam, że go puszcę na wszystkie cztery wiatry – a teraz niech pan słucha mej spowiedzi. Chce pan wiedzieć, co lubię najbardziej?

– Swobodę – powiedział Sanin.

Maria Nikołajewna położyła rękę na jego dłoni.

– Tak, Dymitrze Pawłowiczu – odezwała się i głos jej zabrzmiał czymś osobliwym, jakąś niewątpliwą szczerością i odwagą – swobodę najbardziej i przede wszystkim. I niech pani nie sądzi, żebym tym się popisywała – tu nie ma się czym chwalić – tylko tak jest i było zawsze i będzie tak do samej śmierci. W dzieciństwie snadź już nazbyt wiele napatrzyłam się na niewolę i nacierpiałam się wskutek niej. No i monsieur Gaston, mój nauczyciel stworzył mi oczy. Teraz może pan rozumie, dlaczego wyszłam za Hipolita Sidorowicza; z nim jestem wolna, zupełnie wolna, jak wiatr, jak powietrze... i wiedziałam o tym przed ślubem, że z nim będę wolnym Kozakiem.

Maria umilkła i rzuciła wachlarz w kąt.

– Powiem panu jeszcze jedno: lubię się zastanawiać... to przyjemnie i na to mamy przecież rozum, ale nie zastanawiam się nigdy nad skutkami tego, co czynię, i gdy trzeba, nie żałuję sobie ani tyle – nie warto! Moje przysłowie to: „*Cela ne tire pas à consequence*” – nie wiem, jak to wyrazić po rosyjsku. Bo i słusznie: co *tire à consequence*? Wszak nie zażądają ode mnie rachunku tu i tam, na tej ziemi; a tam – podniosła palec do góry – no, tam niech mną rozporządzają, jak uważają. Gdy będą mnie tam sądzić, to ja będę już nie ja! Pan mnie słucha? Pan się nie nudzi?

Sanin siedział schylony. Podniósł głowę.

– Nie nudzę się, Mario Nikołajewno, wcale i słucham pani z ciekawością. Tylko... przyznam się... pytam sam siebie, po co to wszystko mówi pani mnie?

Maria Nikołajewna poruszyła się lekko na kanapie.

– Pan sam siebie pyta... pan jest taki niedomyślny? Czy też taki skromny?

Sanin podniósł głowę jeszcze wyżej.

– Mówię panu to wszystko – ciągnęła Maria Nikołajewna tonem spokojnym, który niezupełnie zgadzał się z wyrazem jej twarzy – dlatego, że mi się pan bardzo podoba; tak, niech się pan nie dziwi, ja nie żartuję; dlatego, że po spotkaniu z panem byłoby przykro pomyśleć, że pan zachowa o mnie niedobre wspomnienie... albo nawet nie niedobre – to mi obojętne – ale nieprawdziwe. Dlatego właśnie ściągnęłam pana tutaj i pozostaję z panem we dwójkę, i mówię z panem tak otwarcie... Tak, tak, otwarcie. Ja nie kłamię. I niech pan, Dymitrze Pawłowiczu, zwróci uwagę, wiem, że pan jest zakochany w innej, wiem, że pan ma zamiar z nią się ożenić... Niech pan odda sprawiedliwość mej bezinteresowności! A zresztą ma pan sposobność powiedzieć ze swej strony: *Cela ne tire pas à consequence*?

Roześmiała się, lecz śmiech jej urwał się nagle – i pozostała nieruchoma, jakby uderzyły ją jej własne słowa, a w oczach jej tak wesołych zwykle i śmiałych, błysnęło coś podobnego do nieśmiałości, podobnego nawet do smutku. „Żmija, ach żmija!, myślał tymczasem Sanin, ale jaka piękna żmija!”

– Niech pan mi poda moją lornetkę – rzekła Maria. – Chcę popatrzeć, czy ta *jeune première* jest w istocie taka brzydka? Doprawdy, można pomyśleć, że rząd wydelegował ją w celu moralnym, żeby młodzi nie dawali się zbyt ponosić.

Sanin podał jej lornetkę, a ona biorąc ją od niego, szybko, lecz delikatnie, chwyciła oburącz jego dłoń.

– Niech pan nie będzie taki poważny – szepnęła z uśmiechem.

– Wie pan co? – nie można mnie przykuć łańcuchem, ale przecież i ja nikogo nie więzę. – Kocham swobodę i nie uznaję obowiązków nie tylko dla samej siebie. – A teraz niech się pan trochę odsunie, posłuchamy przez chwilę sztuki.

Maria skierowała lornetkę na scenę i Sanin zaczął patrzeć w tę samą stronę; siedział przy niej w półmroku łoża i wdychał, mimo woli wdychał ciepło i zapach jej wspaniałego ciała i mimo woli rozpamiętywał wszystko, co mu powiedziała w ciągu wieczora – zwłaszcza w ciągu ostatnich minut.

XL

Sztuka ciągnęła się jeszcze przeszło godzinę, ale Maria i Sanin wkrótce przestali patrzeć na scenę. Zawiązała się między nimi rozmowa i rozmowa ta przedzierała się przez tę samą drózkę, co przedtem, tylko Sanin tym razem milczał mniej. W duchu gniewał się na siebie i na Marię Nikołajewnę; starał się jej udowodnić, że cała jej „teoria” jest nieuzasadniona, jak gdyby zajmowały ją teorie! Zaczął się z nią sprzeczać, z czego w duchu ucieszyła się bardzo: skoro się sprzecza, więc ustępuje albo ustąpi. Chwycił przynętę, poddaje się, przestał się dzicyć! Oponowała, śmiała się, zgadzała, zamyślała się, napadała... a tymczasem jego twarz i jej twarz zbliżały się, oczy jego nie stroniły już od jej oczu... Oczy te jak gdyby błędziły, jakby krążyły po jego rysach, i on uśmiechał się w odpowiedzi – grzecznie, ale się uśmiechał. Było jej już na rękę i to, że zapuszczał się w abstrakcje, wydawał sądy o uczciwości wzajemnych stosunków, o obowiązku, o świętości małżeństwa i miłości. Wiadomo, abstrakcje te nadają się bardzo jako początek... jako punkt wyjścia...

Ludzie, którzy znali Marię Nikołajewnę bardzo dobrze, zapewniali, że gdy w całym jej mocnym i krępkim jestestwie występowało nagle coś delikatnego i skromnego, coś prawie dziewczęco wstydliwego – choć pomyśleć, skąd się u niej to brało – wówczas... tak, wówczas sprawa przybierała obrót niebezpieczny.

Taki obrót przybierała widocznie i dla Sanina... Uczułby do siebie pogardę, gdyby udało mu się choć na chwilę skupić; lecz nie zdążył ani się skupić, ani sobą pogardzić.

A ona nie traciła czasu. I wszystko działo się dlatego, że był bardzo przystojny! Z konieczności trzeba powiedzieć: „Nie wiadomo, gdzie znajdziesz, gdzie zgubisz”.

Sztuka się skończyła. Maria Nikołajewna poprosiła Sanina, aby narzucił na nią szal, i nie ruszała się, póki owijał miękką tkaniną jej prawdziwie królewskie ramiona. Potem wzięła go pod rękę, wyszła na korytarz – i omal nie krzyknęła: przy samych drzwiach łoża niby jakieś widmo tkwił Dönhof, a zza jego pleców widniała wstrętna postać wiesbadeńskiego krytyka. Oleista twarz „literata” lśniła wprost od złośliwości.

– Może pani rozkaże, żebym odszukał jej karete? – zwrócił się do Marii Nikołajewny młody oficer, a głos jego drżał ze źle ukrywanej wściekłości.

– Nie, dziękuję – odparła – mój lokaj ją znajdzie. Zostańcie! – dodała rozkazującym szeptem i oddaliła się szybko, pociągając za sobą Sanina.

– Idź pan do diabła! Czegoś się pan do mnie przyczepił? – wycharczał nagle Dönhof do literata. Musiał sobie na kimś ulżyć!

– *Sehr gut!* *Sehr gut!* – mruknął literat i ulotnił się.

Lokaj Marii Nikołajewny, który czekał na nią w przedsionku, odnalazł w mgnieniu oka jej karete – wsiadła do niej zręcznie, za nią skoczył Sanin. Drzwiczki się zatrzasnęły – i Maria wybuchnęła śmiechem.

– Z czego pani się śmieje? – zainteresował się Sanin.

– Ach, przepraszam pana bardzo... Ale przyszło mi na myśl, gdyby Dönhof jeszcze raz

pojedynekował się z panem... o mnie. Czy to nie kapitalne?

– A pani go zna bardzo blisko? – spytał Sanin.

– Jego? Tego smarkacza? On u mnie na posyłki. Niech się pan nie niepokoi.

– Ależ, dlaczego miałbym się niepokoić?

Maria Nikołajewna westchnęła. – Ach, wiem, że się pan nie niepokoi. Ale niech pan słucha – wie pan co: pan jest taki miły, pan nie powinien odmówić mej ostatniej prośbie. Niech pan pamięta: za trzy dni wyjeżdżam do Paryża, a pan wraca do Frankfurtu... Kiedy tam się spotkamy!

– Cóż to za prośba?

– Pan oczywiście umie jeździć wierzchem?

– Umiem.

– Więc niech pan słucha. Jutro rano wezmę pana z sobą i pojedziemy razem za miasto. Będziemy mieli doskonałe konie. Potem wrócimy, ubijemy nasz interes i amen! Niech pan się nie dziwi, niech mi pan nie mówi, że to kaprys, że jestem wariatką – wszystko to możliwe – tylko niech pan powie: zgoda!

Maria Nikołajewna odwróciła ku niemu twarz. W karecie było ciemno, ale oczy jej błysnęły w tej ciemności.

– Służę pani, zgoda – rzekł z westchnieniem Sanin.

– Ach, pan westchnął! – przedrzeźniała go Maria Nikołajewna. – Ale słowo się rzekło. Nie, nie... Pan jest cudowny, pan jest taki grzeczny – a obietnicy swej dotrzymam. Oto moja ręka, bez rękawiczki, prawa, od interesów. Niech ją pan weźmie i proszę wierzyć jej uściskowi. Jaka ze mnie kobieta, nie wiem, ale człowiekiem jestem uczciwym i interesy ze mną mieć można.

Sanin nie zdając sobie sam dobrze sprawy z tego, co czyni, podniósł tę rękę do swych ust. Maria Nikołajewna cofnęła ją spokojnie – i nagle umilkła; milczała, póki kareta się nie zatrzymała.

Zaczęła wysiadać... Cóż to? Czy to się Saninowi zdawało, czy naprawdę uczył na swym policzku jakieś szybkie i palące dotknięcie?

– Do jutra! – szepnęła mu Maria Nikołajewna na schodach, cała oświetlona przez cztery świece kandelabra, podniesionego przez kapiącego od złota portiera z chwilą ukazania się jej we drzwiach. Oczy miała spuszczone. – Do jutra!

Po powrocie do swego pokoju Sanin zastał na stole list od Gemmy. Najpierw się przestraszył – i natychmiast się ucieszył, żeby tylko zamaskować przed samym sobą swój strach. List zawierał kilka wierszy. Gemma cieszyła się z pomyślnego „rozpoczęcia sprawy”, zalecała mu cierpliwość i dodawała, że w domu wszyscy zdrowi i z góry cieszą się, że wkrótce wróci. Sanin uważał, że list jest dość suchy – jednak wziął pióro, papier... i wszystko rzucił. „Po co pisać? Jutro tam wrócę... czas już, czas!”

Położył się natychmiast do łóżka i usiłował jak najprędzej zasnąć. Gdyby pozostał na nogach i czuwał, zaczęłby z pewnością myśleć o Gemmie... a... uspokajał się tym, że jutro wszystko skończy się na zawsze, na zawsze rozstanie się z tą rozbałamuconą panią – i zapomni o tych wszystkich głupstwach!

Ludzie słabi, rozmawiając z samymi sobą, chętnie używają wyrażen energicznych.

...*Et puis... cela ne tire pas à consequence!*

XLI

Oto co myślał Sanin kładąc się spać; ale co pomyślał nazajutrz, gdy Maria Nikołajewna zastukała niecierpliwie koralową rączką szpicruty do jego drzwi, gdy zobaczył ją na progu swego pokoju z trenem ciemnobłękitnej amazonki na ręku, w małym, męskim kapeluszu na grubo zaplecionych włosach, z odrzuconym woalem, z wyzywającym uśmiechem na ustach,

w oczach, na całej twarzy – co pomyślał wtedy – historia o tym milczy.

– No, pan gotów? – zabrzmiał wesoły głos. Sanin zapiął marynarkę i milcząc wziął kapelusz. Maria Nikołajewna rzuciła mu jasne spojrzenie, kiwnęła głową i szybko zbiegła po schodach. I on pobiegł za nią.

Konie stały już na ulicy przed gankiem. Były trzy: złocistoruda, pełnokrwista kobyła o suchym, wyszczerzonym pysku, czarnych, wylupiastych oczach, jelenich nogach, nieco wychudłych, ale piękna i gorąca jak ogień – dla Marii Nikołajewny; silny, szeroki, nieco ciężki, wrony, bez znaków koń – dla Sanina; trzeci koń był przeznaczony dla grooma. Maria Nikołajewna skoczyła zgrabnie na swoją kobyłę... Ta zaczęła przebierać nogami, kręcić się podnosząc ogon i kuląc zad, ale Maria (świetna amazonka) utrzymała ją w miejscu; trzeba było pożegnać się z Połozowem, który ukazał się na balkonie w nieodzownym fezie i w rozpiętym szlafroku i machnął stamtąd batystową chusteczką; nie uśmiechał się zresztą wcale, raczej był pochmurny. Dosiadł i Sanin swego wierzchowca; Maria zasalutowała przed Połozowem szpicrutą, potem uderzyła nią swego konia po wygiętej płaskiej szyi; ten stanął dęba, skoczył naprzód i ruszył drobnym, krótkim krokiem, a wszystkie żyłki mu drgały, kąsał wędzidło, gryzł powietrze i parskał porywiście. Sanin jechał z tyłu i patrzył na Marię Nikołajewnę; pewnie, zgrabnie i harmonijnie kołysała się jej delikatna giętka postać, ciasno ściśnięta gorsetem. Odwróciła głowę i zawołała go samym wzrokiem. Zrównał się z nią.

– No widzi pan, jak dobrze – rzekła. – Mówię panu na ostatek przed rozstaniem! Pan jest cudowny i nie będzie pan żałował.

Powiedziawszy ostatnie słowa kiwnęła kilka razy głową, jakby chcąc je potwierdzić i podkreślić ich znaczenie.

Wydawała się tak szczęśliwa, że Sanin wprost się dziwił; twarz jej nabrała nawet wyrazu tej powagi, jaką mają dzieci, kiedy są bardzo... bardzo zadowolone.

Dojechali stępa do pobliskiej rogatki, a stąd poklusowali po szosie. Pogoda była piękna, prawdziwie letnia; wiatr płynął im na spotkanie, szumił przyjemnie i gwizdał w uszach. Czuli się dobrze; poczucie młodości, zdrowia, swobodnego pędu naprzód ogarnęło oboje; rosło z każdą chwilą.

Maria Nikołajewna osadziła konia i zaczęła znów jechać stępa: Sanin poszedł za jej przykładem.

– Oto – zaczęła głębokim, przyjemnym westchnieniem – oto dla tego jednego warto żyć. Udało ci się uczynić to, czegoś pragnęła, co się zdawało niemożliwe – i między duszo – po same brzegi – przesunęła ręką po gardle. – I wtedy człowiek czuje się taki dobry! Na przykład ja... jaka jestem teraz dobra! Wydaje mi się, że cały świat wzięłabym w objęcia. To znaczy, nie, nie cały świat. Tego oto w objęcia bym nie wzięła... – wskazała szpicrutą na przemykającego się bokiem, ubranego jak żebrak, starca. – Ale gotowa jestem go uszczęśliwić. Macie – weźcie – krzyknęła mu głośno po niemiecku – i rzuciła do jego nóg sakiewkę. Ciężka sakiewka (o portmonetkach nie było wówczas jeszcze mowy) stuknęła o drogę. Przechodzień zdumiał się, zatrzymał, a Maria Nikołajewna roześmiała się i puściła konia galopem.

– Wesoło pani tak na koniu? – spytał dopędziwszy ją Sanin.

Maria Nikołajewna osadziła od razu konia – nie zatrzymywała go inaczej.

– Chciałam tylko uciec od podziękowań. Kto mi dziękuje, ten psuje mi przyjemność. Przecież zrobiłam to nie dla niego, lecz dla siebie. Jakżeż więc śmie dziękować? Nie dosłyszałam, o co pan pytał?

– Pytałem... chciałem wiedzieć, dlaczego pani dziś taka wesoła?

– Wie pan co – odezwała się Maria Nikołajewna; nie dosłyszała słów Sanina albo nie uważała za potrzebne odpowiedzieć na nie. – Sprzykrzył mi się ten groom, który sterczy za nami i myśli tylko pewnie o tym, kiedy to państwo wrócą do domu. Jakby się go pozbyć? – wydobyła zwinnie z kieszeni notesik. – Posłać go z listem do miasta? Nie... nie wypada. A,

wiem już. Co tam widać? Gospodę?

Sanin spojrział w kierunku, który wskazała.

– Tak, zdaje się, że to gospoda.

– Doskonale. Każę mu tu zostać i popijać piwo do naszego powrotu.

– Ale co on sobie pomyśli?

– A cóż to nas obchodzi? Wcale on zresztą nie będzie myślał, tylko będzie pił piwo. No, Sanin (po raz pierwszy nazwała go po nazwisku), naprzód, klusem!

Zrównawszy się z gospodą Maria Nikołajewna przywołała grooma i oznajmiła mu swe życzenie. Groom, Anglik z pochodzenia i temperamentu, podniósł w milczeniu rękę do daszka czapki, zeskoczył z konia i wziął go za uzdę.

– No, wolneśmy teraz ptaki! – zawołała Maria Nikołajewna. – Dokąd mamy jechać: na północ, południe, wschód czy zachód? Proszę patrzeć – jestem jak król węgierski podczas koronacji – wskazała końcem szpicruty we wszystkie cztery strony świata. – Wszystko jest nasze! Nie, wie pan co? Widzi pan, jakie tam piękne góry i jaki las! Pojedziemy tam, w góry, w góry, w góry!

In die Berge, wo die Freiheit thront!

Skręciła z szosy i popędziła po wąskiej, nieprzetorowanej drożyni, która istotnie ciągnęła się jakby ku góróm. Sanin popędził za nią.

XLII

Drożyna ta przeszła wkrótce w ścieżkę i wreszcie znikła zupełnie. Sanin radził zawrócić, ale Maria Nikołajewna powiedziała: – Nie. Chcę w góry! Pojedziemy wprost, jak lecą ptaki – i zmusiła konia do przeskoczenia rowu. Sanin przeskoczył także. Za rowem zaczynała się łąka, najpierw sucha, potem wilgotna, wreszcie już zupełnie błotnista; wszędzie przesączała się woda, stały kałuże. Maria Nikołajewna umyślnie puszczała konia na te kałuże, śmiała się i powtarzała: „Będziemy dokazywać!”

– Czy pan wie – spytała Sanina – co to znaczy polować na rozpryskach.

– Wiem – odparł Sanin.

– Mój wuj polował z psami – ciągnęła. – Jeździłam z nim wiosną. I my z panem teraz – na rozpryskach. Tylko widzę: pan Rosjanin, a chce się pan ożenić z Włoszką. No, ale to nie moje zmartwienie. Cóż to? Znowu góry? Hop!

Koń przeskoczył, ale kapelusz spadł jej z głowy i włosy rozsypały się po ramionach. Sanin chciał zejść z konia i podnieść kapelusz, ale krzyknęła na niego: „Niech pan nie ruszy, sama dostanę”, przegięła się nisko na siodle, zaczęła rączką szpicruty o woalkę i rzeczywiście dosięgnęła kapelusza, włożyła go na głowę, ale włosów nie poprawiła i pomknęła znowu, nawet okrzyk wydała. Sanin pędził obok niej, przeskakiwał rowy, ogrodzenia, strumyki, zapadał się i wdrapywał, mknął pod górę, na górę i wciąż patrzył jej w twarz. Co za twarz! Cała jakby otwarta: otwarte oczy, pożądliwe, jasne, dzikie; usta, nozdrza również otwarte i oddychają chciwie; patrzy uporczywie wprost przed siebie i zda się, dusza ta chciałaby zagarnąć wszystko, co widzi, ziemię, niebo, słońce i samo powietrze, i jednego tylko żałuje, że niebezpieczeństw mało – pokonałaby wszystkie! – Sanin! – krzyknęła. – Przecież to jak w bürgerowskiej „Lenorze!” Tylko pan nie jest martwy – co? Pan nie jest martwy? Ja jestem żywa! Rozpętały się potężne moce. To już nie amazonka puszcza konia galopem, to cwałuje młody, kobiecy centaur – półzwierz i półbóg – i zdumiewa się stateczny i dobrze wychowany kraj, deptany przez jej zuchwałe szaleństwo.

Maria Nikołajewna zatrzymała wreszcie spienionego, obryzganego konia; chwiały się pod nią, a potężny, ale ciężki ogier Sanina oddychał z trudem.

– Co? Przyjemnie? – spytała Maria Nikołajewna jakimś cudownym szeptem.

– Przyjemnie! – odezwał się Sanin zachwycony. I w nim krew zagrała.

– Niech pan poczeka, będzie jeszcze lepiej! – wyciągnęła rękę. Miała na niej rozerwaną rękawiczkę. – Powiedziałam, że doprowadzę pana do lasu, do gór... Oto one, góry! Rzeczywiście: pokryte wysokim lasem góry zaczynały się dwieście kroków od tego miejsca, z którego wyjechali pędem rączy jeźdźcy. Niech pan spojrzy: oto i droga. Ruszamy – i naprzód, ale stępa. Konie muszą wypocząć.

Pojechali. Silnym ruchem ręki odrzuciła Maria do tyłu włosy. Spojrzała potem na rękawiczki i zdjęła je. – Ręce będzie czuć skórą – powiedziała: – ale to pana nie obchodzi? Co... – Maria Nikołajewna uśmiechnęła się i Sanin uśmiechnął się również. Ten wściekły pęd jakby już ostatecznie zbliżył ich i połączył.

– Ile pan ma lat? – spytała nagle.

– Dwadzieścia dwa.

– Niemożliwe! I ja mam dwadzieścia dwa lata. Piękny wiek. Dodać je razem i jeszcze do starości daleko. Jednak gorąco. Jestem czerwona?

– Jak kwiat maku!

Maria wytarła twarz chusteczką. – Żeby się tylko dostać do lasu, tam już będzie chłodno. Taki stary las – to jak stary przyjaciel. Czy pan ma przyjaciół?

Sanin pomyślał trochę.

– Mam... ale mało. Prawdziwych nie mam.

– A ja mam prawdziwych – tylko nie starych. Oto koń też przyjaciel.. Jak ostrożnie cię niesie! Ach, tu jest cudownie. Czyż to naprawdę pojutrze jadę do Paryża?

– Ale, czyżby? – podchwycił Sanin.

– A pan do Frankfurtu?

– Ja na pewno do Frankfurtu.

– No cóż – z Bogiem! Za to dzień dzisiejszy jest nasz... nasz... nasz!

Konie dotarły do skraju lasu i weszły w cień. Cień okrył ich szeroko i miękko ze wszystkich stron.

– Ależ tu raj! – zawołała Maria Nikołajewna. – Głębiej, dalej, Sanin, w ten cień!

Konie ruszyły spokojnie „głębiej w cień” kołysząc się lekko i pochrapując. Dróżka, którą jechali, skręciła nagle w bok i przeszła w dość ciasny wąwóz. Zapach wrzosu, paproci, smoły sosnowej, wilgotnego, zeszłorocznego listowia nasycił go gęsto i usypiająco. Ze szczelin borych, wielkich głazów tchnęło mocną świeżością. Po obu stronach dróżki wznosiły się okrągłe wzgórza, porośnięte zielonym mchem.

– Niech pan się zatrzyma! – krzyknęła Maria Nikołajewna. – Chcę przysiąść i odpocząć na tym aksamicie. Niech mi pan pomoże zejść.

Sanin zeskoczył z konia i podbiegł do niej. Oparła się o jego ramiona, zeskoczyła momentalnie na ziemię i siadła na jednym z omszałych pagórków. Sanin stał przed nią, trzymając cugle obu koni.

Podniosła na niego oczy... – Sanin umie pan zapomnieć?

Sanin przypomniał sobie o wczorajszym.. w karecie.

– Co to: pytanie... czy wyrzut?

– Nigdy w życiu nie robiłam nikomu wyrzutów. A wierzy pan w uroki?

– Jak to?

– W uroki, wie pan, śpiewa się o nich w naszych pieśniach, w ludowych pieśniach rosyjskich.

– A, o tym pani mówi... – rzekł Sanin przeciągle.

– Tak o tym. Wierzę... i pan uwierzy.

– Uroki... Czary – powtórzył Sanin. – Wszystko na świecie możliwe. Dawniej nie

wierzyłem – teraz wierzę. Sam siebie nie poznaję.

Maria Nikołajewna pomyślała i obejrzała się. – A mnie się to miejsce wydaje jak gdyby znajome. Sanin, niech pan popatrzy, za tym szerokim dębem – stoi tam drewniany czerwony krzyż, czy nie?

Sanin zrobił kilka kroków w bok.

– Stoi.

Maria Nikołajewna uśmiechnęła się do siebie.

– A, to dobrze. Wiem, gdzie jesteśmy. Nie zabłądziliśmy jeszcze. Co to za uderzenia? Drwal?

Sanin spojrzął w gąszcz. – Tak... jakiś człowiek rąbie tam suche gałęzie.

– Trzeba włosy doprowadzić do porządku – powiedziała Maria Nikołajewna. – Zobaczysz ktoś – i potępi. – Zdjęła kapelusz i zaczęła splatać swe długie warkocze w milczeniu i z powagą, Sanin stał przed nią... Jej harmonijne kształty rysowały się wyraźnie pod ciemnymi fałdami sukni z przylepionymi gdzieś gałązkami mchu.

Jeden z koni za plecami Sanina otrząsnął się nagle, Sanin zadrżał mimo woli od stóp do głów. Wszystko się w nim pomieszało – nerwy naprężyły się jak struny. Nie na próżno powiedział, że nie poznaje samego siebie... Był rzeczywiście zaczarowany. Całe jestestwo jego wypełniało jedno... jedna myśl, jedno pragnienie. Maria rzuciła na niego przenikliwe spojrzenie.

– No, tak, teraz wszystko w porządku – rzekła wkładając kapelusz. – Pan nie siądzie? O, tutaj. Nie, niech pan poczeka... Niech pan nie siada. Co to?

Po wierzchołkach drzew w leśnym powietrzu przetoczył się głuchy wstrząs.

– Czyżby grzmot?

– Zdaje się, że naprawdę grzmot – odpowiedział Sanin,

– Ach, to prawdziwe święto! Wprost święto! Tego tylko brakowało! – Głuchy pogłos rozległ się powtórnie, wzmógł się i runął grzmotem i piorunem. – Bravo! Bis! Pamięta pan, wspominałam wczoraj o Eneidzie? Przecież ich także zaskoczyła burza w lesie. Trzeba się jednak wynosić. – Wstała szybko. – Niech mi pan przyprowadzi konia... Proszę podstawić rękę. Nie jestem ciężka.

Jak ptak uniosła się na siodło. Sanin również dosiadł konia.

– Pani do domu? – spytał niepewnie.

– Do domu... – odpowiedziała rozciągając sylaby i podebrała cugle. – Za mną – rozkazała prawie brutalnie.

Wyjechała na drogę i mijając czerwony krzyż spuściła się w dolinę, dotarła do skrzyżowania dróg, zawróciła na prawo, wciąż w górę... Wiedziała widocznie dokąd dążyła – droga szła wciąż w głąb lasu. Nie mówiła nic, nie oglądała się; poruszała się rozkazująco naprzód, on posłusznie i pokornie postępował za nią bez iskry woli w zamierającym sercu. Zaczął kropić deszczyk. Popędziła swego konia – i Sanin nie pozostawał za nią w tyle. Wreszcie wskroś zieleni jodeł spod nawisu szarej skały wychynęła uboga budka strażnika z niskimi drzwiami w plecionej ścianie. Maria Nikołajewna zmusiła konia do przedarcia się przez gęstwiny, zeskoczyła z niego i znalazłszy się u wejścia budki obróciła się do Sanina – i szepnęła: „Eneasz!”

Po czterech godzinach Maria i Sanin wrócili w towarzystwie drzemającego na siodle grooma do Wiesbadenu do hotelu. P. Połozow spotkał swoją żonę, trzymając w ręku list do zarządcy. Gdy wpatrzył się w nią bacznie, na twarzy jego ukazał się wyraz pewnego niezadowolenia – i nawet mruknął: – Czyżbym przegrał zakład?

Maria wzruszyła tylko ramionami.

A tegoż samego dnia, w dwie godziny później, Sanin stał przed nią w swoim pokoju, jak

stracony, zgubiony.

– Dokąd więc jedziesz? – pytała go. – do Paryża czy do Frankfurtu?

– Jadę tam, gdzie ty będziesz, i będę z tobą, póki mnie nie odpędzisz – odpowiedział z rozpaczą i przypadł do rąk swej władczyni. Uwolniła je, położyła mu je na głowie – i wszystkimi dziesięcioma palcami chwyciła go za włosy. Przebierała powoli i kręciła te bezwolne włosy, cała wyprostowana, na ustach miała uśmiech triumfu – a oczy, szerokie i jasne aż do bieli, miały jedynie wyraz bezlitosnej tępoty i sytość zwycięstwa. Jastrząb, który wbija szpony w schwytanego ptaka, takie miewa oczy.

XLIII

Oto, co przypomniał sobie Dymitr Sanin, gdy, w ciszy gabinetu porządkując swoje stare papiery, znalazł między nimi krzyżyk z granatów. Zdarzenia opowiedziane przez nas zjawily się jasno i kolejno w jego pamięci. Lecz doszedłszy do chwili, gdy z takim ponizającym błaganiem zwrócił się do p. Połozowej, gdy rzucił się jej do nóg, gdy zaczęła się jego niewola – odsunął się od wywołanych przez siebie obrazów, nie pragnął ich więcej wspominać. Nie dlatego, żeby go pamięć zawiodła – o nie! Wiedział, wiedział nazbyt dobrze, co nastąpiło po tej chwili, ale nawet i teraz, po tylu latach, dławił go wstyd; bał się tego uczucia nieprzewycięzonej pogardy dla samego siebie, uczucie, które, nie wątpił o tym, napłynie na niego z pewnością i zaleje swą falą wszystkie inne uczucia, jeśli tylko nie każe umilknąć swej pamięci. Ale jakkolwiek odpędzał zjawiające się wspomnienia, nie mógł ich zagłuszyć zupełnie. Przypomniał sobie list, nędzny, płaczliwy, wykrętny list do Gemmy, który pozostał bez odpowiedzi... Zjawić się przed nią, wrócić – po takim oszustwie, po takiej zdradzie, nie, nie, jeszcze tyle sumienia i uczciwości w nim pozostało. Przy tym stracił do siebie wszelkie zaufanie, wszelki szacunek; nie śmiał już ręczyć za nic. Sanin przypomniał sobie jeszcze, jak później – o hańbo! – wysłał lokaja Połozowów po swoje rzeczy we Frankfurcie, jak tchórzył, jak myślał tylko o jednym: odjechać czym prędzej do Paryża! Jak z rozkazu Marii Nikołajewny zabiegał o względy Hipolita Sidorowicza, jak prawił uprzejmości Dönhofowi, na którego palcu zauważył zupełnie taki sam żelazny pierścionek, jak dała mu Maria Nikołajewna!!! Potem napłynęły wspomnienia jeszcze gorsze, jeszcze haniebniej sze... Kelner podaje mu bilet wizytowy, na którym widnieje nazwisko Pantaleone Cippatoli, śpiewaka nadwornego jego księżęcej wysokości księcia Modeny. Chowa się przed starcem, ale nie może uniknąć spotkania z nim w korytarzu – i zjawia się przed nim rozjątrzona twarz pod siwym czubem; oczy starca płoną jak węgiel i słycać groźne okrzyki i przekleństwo: *maledizione*, słycać nawet okropne słowa: *Codardo! Infame traditore!* Sanin mruży oczy, wstrząsa głową, odwraca się znowu i znowu, a jednak widzi siebie siedzącego w podróżnym powozie, na wąskim miejscu z przodu... Na tylnych wygodnych miejscach siedzą Maria Nikołajewna i Hipolit Sidorycz – czwórka koni kłusuje zgodnie po wiesbadeńskim bruku – do Paryża, do Paryża. Hipolit Sidorycz je gruszkę, którą mu on, Sanin, obrał, a Maria Nikołajewna patrzy na niego i uśmiecha się tym znanym już jemu, niewolnikowi, uśmiechem posiadaczki, władczyni...

Ale, o Boże, czy to nie Pantaleone znów stoi, o tam, na rogu ulicy, niedaleko rogatki wyjazdowej – i kto przy nim? Czyżby Emilio? Tak, to on, ten pełen zapału, oddany chłopiec. Dawnoż to jego serce korzyło się przed swym bohaterem, ideałem, a teraz ta blada, piękna twarz – tak piękna, że Maria Nikołajewna zauważyła go i wyjrzała przez okno karety – jego szlachetna twarz dyszy gniewem i pogardą; oczy, tak podobne do t a m t y c h oczu! – wpijają się w Sanina, a usta się zaciskają... i otwierają nagle do obelg...

A Pantaleone wyciąga rękę i wskazuje Sanina – komu? Stojącemu przy nich Tartaglii, i Tartaglia szczeka na Sanina – i to szczekanie uczciwego psa brzmi w uszach jak nieznośna zniewaga... Okropne!

A potem – życie w Paryżu – i wszystkie poniżenia, wstrętne męki niewolnika, któremu nie wolno ani być zazdrosnym, ani się poskarżyć i którego wreszcie odrzuca się jak znoszoną odzież...

Potem powrót do ojczyzny, puste, zatrute życie, drobne kłopoty, drobna krzątanina, gorzka i bezpłodna skrucha – podobnie bezpłodne i gorzkie zapomnienie – kara nie jawna, ale stała i trwała jak ból nieznaczny, lecz nieuleczalny, splata po groszu długu, którego zliczyć nawet nie można.

Czara przepelniona – dość!

W jaki sposób ocalał krzyżyk, ofiarowany Saninowi przez Gemmę, dlaczego nie zwrócił go, dlaczego dotąd nie natknął się na niego ani razu? Długo, długo siedział w zadumie – i już nauczony przez tyle lat doświadczeniem – wciąż nie mógł zrozumieć, jak mógł porzucić Gemmę, tak tkliwie, tak namiętnie ukochaną – dla kobiety, której nawet w ogóle nie kochał... Nazajutrz ku zdziwieniu wszystkich swych przyjaciół i znajomych oznajmił, że wyjeżdża za granicę.

Zdumienie szerzyło się w towarzystwie. Sanin porzucił Petersburg wśród białej zimy, mimo że dopiero co wynajął i umeblował prześliczne mieszkanie, a nawet zaabonował miejsce w operze włoskiej, w której brała udział p. Patti, sama, sama, sama p. Patti. Przyjaciele i znajomi nie mogli zrozumieć, lecz ludzie w ogóle nie mają zwyczaju zajmować się długo cudzymi sprawami i gdy Sanin udał się za granicę – odprowadzał go na dworzec tylko pewien krawiec, Francuz, i to w nadziei otrzymania należności za niezapłacony rachunek – *pour un saute en-barque en velours noir, tout à fait chic*.

XLIV

Sanin powiedział przyjaciołom, że wyjeżdża za granicę – nie powiedział jednak dokąd; czytelnik łatwo się domyśli, że udał się wprost do Frankfurtu. Dzięki rozpowszechnionym wszędzie kolejom, czwartego dnia po wyjeździe z Petersburga był już na miejscu. Nie odwiedzał go od owego 1840 roku. Hotel pod „Białym Łabędziem” stał na dawnym miejscu i prosperował, choć już nie był pierwszorzędny: Zeil główna ulica frankfurcka, zmieniła się niewiele, nie pozostało natomiast śladu ani po domu pani Roselli, ani nawet po ulicy, przy której stała cukiernia. Sanin włóczył się jak oszalały po miejscach tak dobrze niegdyś znanych – i niczego nie poznawał; dawne budynki znikły, zastąpiły je nowe ulice, zabudowane ogromnymi, stłoczonymi domami, wytwornymi willami; nawet ogród publiczny, gdzie odbyło się jego ostatnie spotkanie z Gemmą, rozrósł się i zmienił do tego stopnia, że Sanin pytał się siebie: doprawdy, czy to ten sam ogród? Co miał czynić? Jak i gdzie zdobywać informacje? Od tego czasu upłynęło trzydzieści lat... To nie żarty! Do kogokolwiek się zwrócił – nikt nie słyszał nawet o nazwisku Rosellich; właściciel hotelu radził mu zasięgnąć informacji w bibliotece miejskiej; „tam pan znajdzie wszystkie stare gazety” – ale jaką stąd może on wynieść korzyść, właściciel sam nie umiał wytłumaczyć. Zrozpaczony Sanin dowiadywał się o p. Klübera. Nazwisko to gospodarz znał dobrze – lecz i tu nastąpiło niepowodzenie. Elegancki c o m m i s, narobiwszy wiele hałasu i osiągnąwszy tytuł kapitalisty, stracił na handlu majątek, zbankrutował i umarł w więzieniu. Wiadomość ta zresztą nie zmartwiła Sanina bynajmniej. Wreszcie zaczął już uważać całą swą podróż za rzecz nieco lekkomyślną... gdy nagle przerzucając pewnego razu frankfurcką książkę adresową natknął się na nazwisko majora w stanie spoczynku (Major a D.) von Dönhofa. Wynajął natychmiast kareta i pojechał do niego, choć dlaczego ten Dönhof miałby mu udzielić jakichś wiadomości o rodzinie Rosellich? Wszystko jedno, tonący chwyta się słomki.

Sanin zastał dymisjonowanego majora von Dönhofa w domu – i w osiwiłym panu, który go przyjął, poznał natychmiast byłego swego przeciwnika. I tamten go poznał, i nawet

ucieszył się na jego widok; przypomniał mu młodość i figle młodości. Sanin dowiedział się od niego, że rodzina Rosellich od dawna przesiedliła się do Ameryki, do New Yorku; że Gemma wyszła za mąż za kupca, że Dönhof zresztą ma znajomego, również kupca, który prawdopodobnie zna adres jej męża, gdyż prowadzi dużo interesów z Ameryką. Sanin uprosił Dönfoha, żeby ten zaszedł do owego znajomego – i o radości! – Dönhof przyniósł mu adres męża Gemmy, p. Jeremiasza Slocoma – Mr J. Slocom, New York, Broadway, N. 501. – Tylko że adres ten odnosił się do roku 1863.

– Miejmy nadzieję – zawołał Dönhof – że nasza dawna piękność frankfurcka jeszcze żyje i nie porzuciła New Yorku! A propos – dodał ścisząc głos – a cóż się dzieje z tą Rosjanką, która – pamięta pan? – przebywała wówczas w Wiesbaden – pani von Bo... von Bolosoff? Czy jeszcze żyje?

Nie – odparł Sanin – dawno umarła.

Dönhof podniósł oczy, lecz widząc, że Sanin odwrócił się nachmurzony, nie rzekł ani słowa – i odszedł.

Tego samego dnia Sanin wysłał list do Gemmy Slocom w New Yorku. W liście tym wspominał, że pisze do niej z Frankfurtu, dokąd przybył jedynie po to, by znaleźć jej ślad; że rozumie bardzo dobrze, do jakiego stopnia stracił wszelkie prawo, żeby się do niego odezwała; że nie zasłużył niczym na jej przebaczenie – i liczy tylko na to, że ona w szczęśliwym otoczeniu, w jakim się znajduje, zapomniała dawno nawet o jego egzystencji. Dodał, że zdecydował się przypomnieć jej o sobie z powodu przypadkowej okoliczności, która zbyt żywo obudziła w nim obrazy przeszłości; opowiedział jej o swym życiu, o samotnym, bezradosnym życiu; zaklinał ją, żeby zrozumiała przyczyny, które skłoniły go do napisania tego listu, by nie zabierał z sobą do grobu gorzkiego poczucia swej winy – dawno przecierpianej, lecz nie wybaczonej – i by ucieszyła go choć krótką wiadomością o tym, jak żyje w tym nowym świecie, dokąd się udała. „Jeżeli pani napisze do mnie choć jedno słowo – zakończył Sanin swój list – spełni pani dobry uczynek, godny pięknej duszy pani – a ja pozostanę wdzięczny do ostatniego tchu. Zatrzymałem się w hotelu „Pod Białym Łabędziem” (słowa te podkreślił) i będę czekał do wiosny na pani odpowiedź”.

Wysłał list – i zaczął czekać. Przemieszkał w hotelu całych sześć tygodni, nie wychodząc prawie z pokoju i nie widując prawie nikogo. Nikt nie mógł do niego napisać ani z Rosji, ani z nikąd. I było mu z tym dobrze; gdy nadejdzie list, będzie już wiedział, że to ten, na który czeka. Czytał od rana do wieczora nie dzienniki, lecz książki poważne, dzieła historyczne. To długotrwałe czytanie, to milczenie, to ślimacze, ukryte życie – wszystko to właśnie odpowiadało nastrojowi jego duszy: już za to samo dzięki niech będą Gemmie! Ale czy żyje? Czy odpowie?

Wreszcie nadszedł list – z amerykańskim znaczkiem pocztowym z New Yorku, na jego nazwisko. Adres na kopercie był napisany po angielsku... Sanin nie poznał charakteru pisma i serce mu się ścisnęło. Nie od razu zdecydował się na złamanie pieczęci. Spojrzał na popis. Gemma! Łzy trysnęły mu wprost z oczu; już to jedno, że podpisała się swym imieniem, bez nazwiska – było zadatkiem zgody, przebaczenia! Rozwinął cienki arkusz niebieskiego papieru listowego – wypadła z niego fotografia. Podniósł ją z pośpiechem i zdrętwiał: Gemma, żywa, młoda Gemma, taka, jaką znał trzydzieści lat temu! Te same oczy, te same usta, ten sam typ całej twarzy! Na odwrotnej stronie fotografii widniał napis: „córka moja, Marianna”. Cały list był bardzo miły. Gemma dziękowała Saninowi za to, że nie zwątpił o niej, że się do niej zwrócił, że miał do niej zaufanie, nie ukrywała przed nim tego, że po jego ucieczce przeżywała chwile ciężkie, ale dodała natychmiast, że uważa jednak – i uważała zawsze spotkanie z nim za szczęście, spotkanie to bowiem przeszkodziło poślubieniu p. Klübera – i w ten sposób, choćby pośrednio, przyczyniło się do jej małżeństwa z obecnym mężem, z którym żyje już od dwudziestu ośmiu lat zupełnie szczęśliwa, w dostatku i wygodzie; dom ich jest

znany w całym New Yorku. Gemma zawiadomiła Sanina, że ma pięcioro dzieci – czterech synów i jedną osiemnastoletnią córkę, która jest zaręczona, i której fotografię dołącza, ponieważ, jak wszyscy mówią, Marianna jest bardzo podobna do matki. Smutne wiadomości zostawiła Gemma na koniec listu. Frau Lenore zmarła w New Yorku, dokąd wyjechała z córką i zięciem – zdążyła jednak nacieszyć się szczęściem swych dzieci i poniańczyć wnuczęta; Pantaleone wybierał się również do Ameryki, ale zmarł przed samym wyjazdem z Frankfurtu. „A Emilio, nasz niezrównany, miły Emilio zginął chwalebną śmiercią za wolność ojczyzny na Sycylii, dokąd udał się w liczbie tego „tysiąca”, którym dowodził wielki Garibaldi; wszyscy oplakiwali gorąco śmierć naszego nieocenionego brata – ale wylewając łzy byliśmy z niego dumni i szczeni się nim będziemy wiecznie, i czcić święcie jego pamięć! Wzniosła, bezinteresowna jego dusza godna była męczeńskiego wieńca!” Potem Gemma wyraziła żal, że życie Sanina, jak widać, tak źle się ułożyło, życzyła mu przede wszystkim spokoju i równowagi duchowej i mówiła, że chętnie by się z nim zobaczyła – choć zdaje sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest takie spotkanie.

Nie podejmujemy się opisanie uczuć doświadczanych przez Sanina po przeczytaniu listu. Na określenie podobnych uczuć – brak dostatecznych wyrazów; są głębsze i mocniejsze – i bardziej nieokreślone niż wszelkie słowa. Tylko muzyka mogłaby je oddać.

Sanin odpowiedział natychmiast – i jako prezent ślubny posłał Mariannie Slocom od nieznanego przyjaciela” – krzyżyk z granatów oprawiony we wspinały naszyjnik z pereł. Prezent ten, choć bardzo cenny, nie zubożył go: w ciągu trzydziestu lat, które upłynęły od czasu jego pierwszego pobytu we Frankfurcie, zdążył już dorobić się znacznej fortuny. W pierwszych dniach maja wrócił do Petersburga – ale czy na długo? Mówią, że sprzedaje cały majątek i wybiera się do Ameryki.

Baden-Baden 1871.